



Okładka 2

Cena zł 80,-

O fascynującym talencie Jana Papugi (1915—1974) wyrażali się z uznaniem m.in. Zofia Nałkowska, Jarosław Iwaszkiewicz, Bohdan Czeszko. Ten (jak o sobie mówił) „plebejusz”, „niesyty włóczęga”, „poszukiwacz piękna”, uchodził za pisarza przełamującego materię literacką z mozołem i pokorą, więc i mało płodnego. A jednak dzięki kilku zbiorom opowiadań („Szczyry morskie”, „Guadalajara, Guadalajara”. „Rio Papagaio”. „Oceany, oceany”) zyskał pozycję jednego z najwybitniejszych polskich pisarzy-marynistów.

I oto powieść Papugi spoczywająca w maszynopisie od śmierci pisarza w 1974 roku, ogląda — teraz dopiero — światło czytelniczego zainteresowania. Również druga jego powieść pt. „Okrutny świat” (w maszynopisie od około 30 lat!) doczeka się niebawem publikacji u tego samego wydawcy. Wydobyć tych

powieści z zapomnienia stało się możliwe dzięki konsekwentnemu dążeniu, którego owocem jest to, co środowisko winno było urzeczywistnić wiele lat wcześniej. Kto wie czy te dwie powieści nie podważą przedwczesnej chyba opinii niektórych krytyków, że Papuga to wyłącznie mistrz krótkiej formy.

Czytelnicy na pewno ulegną urokowi języka tej prozy — szorstkiego, niekiedy dalekiego od szkolarskiej poprawności, skrzącego się indywidualnym bogactwem.

M.C.

Jan Papuga odbył w 1966 r. podróż do Afryki. Książkę pisał z przerwami, także wtedy, gdy w 1974 r., musiał pójść do szpitala, gdzie zmarł przed ukończeniem powieści.

5

Leżał na gołym cemencie; na wznak, z rozrzuconymi rękami, jak powalone drzewo.

Po krótkim brzasku, dzień coraz jaśniej wsączał się z wysoka, przez wąskie szczeliny, na ścianie tuż pod sufitem. Cień stawał się coraz widniejszy.

Z rogu podniósł się drugi człowiek. Spojrzał na leżącego przy nim i już nie odwracał oczu. Usiadł,

plecami oparł się o ścianę i wpatrywał z pierwotną ciekawością i zdziwieniem.

Rozległ się brzęk kluczy. Ostry zgrzyt kolejno otwieranych zamków. Rozwarły się drzwi, weszło kilka postaci. Ciągłe wchodzili aż powstała ciżba. Bosi, półnaczy, w spodenkach. „Biały” wymawiali w swoich językach z nienawistną radością. Obstąpili go i wpatrywali się.

Srebro siwizny głowy krótko strzyżonych włosów na zieleni luźno wypełnianego chlebaka. Koszula khaki, takie kiedyś spodenki, bardzo krótkie, sprane, wpadające aż w biel. Z dala od stóp równo ustawione, o grubych spodach „apostoły”. Potężnie umięśnione lędźwie i trochę za szerokie barki do

6

jego niskiego wzrostu. W sprężeniu musiał mieć siłę i zręczność. Ogorzały jak Arab, z czerwonym nalotem. Ciało miał jak gladiator. Był gladiatorem życia — areną świat. Tenże wrogi świat powalił go. Na czole daleka zaduma .i kosmyki włosów. Pociągła twarz. W jej czystości był poryw szaleństwa. Skłonność do uśmiechu ze swych poczynań, nic z Don Kichota. Wiara w ludzi, mająca aż dziecięcą naiwność, sprawiała że szedł otwarty. Stąd wesoło wyzywająca śmiałość.

Nigdy nie widzieli takiego zmęczenia, utrudzenia. „Biały” — zagrzemiał ogromny mężczyzna ze zjadliwą wrogością. Twardym spojrzeniem odparli go inni. W

leżącym czuli jednego z nich. Wyczuwali bezsens z takim trudem nabieranego przez nich człowieczeństwa, jeśli ma być tak powalone. Zdziwieni ufnością, całkowitym poddaniem się we śnie. Zdziwieni kiedy się tu znalazł i jak. Wybuchnęła szybka i głośna rozmowa. Siedzący powstał. Zdecydowanie wyrzucił z siebie kilka chrapliwych słów, wysuniętymi rękami wypędził wszystkich i zamknął drzwi.

Dobrył się zbolący głos z drugiego rogu, skulonego człowieka. Odpowiedział z przejęciem i usiadł jak poprzednio. Znow wpatrywał się. Tamten śmiertelnie nienawidził białych. Jego życie było krzywdą i upokorzeniem a ten wydawał mu się bliższy niż jego krajanie. Narzucał mu to instynkt nie do odparcia. Jeśli odrzucili go biali to oni też powinni go przyjąć. Nie wierzył, by popełnił przestępstwo a jeśli — to nie na nich, czarnych. Tak musiało być —

7

wierzył do głębi swych przeczuć. Wszedł na korytarz. Obstała go gromada ciekawych. Stał przy drzwiach i nie wpuszczał nikogo. Odpowiadał na pytania krótkimi słowami i z przejęciem. Zaczął przechadzać się. Gromada przez uchylone drzwi przyglądała się obcemu. Odpędził ciekawych. Wszedł do środka i znow przyglądał się leżącemu. Z ciągłą troską wychodził jeszcze i przychodził.

Około południa śpiący otworzył oczy. Zobaczył nad

sobą czarną twarz, wąskie, zaciśnięte usta, oczy osadzone w twardych kątach. Po sekundach wpatrywania się w siebie bez zelżenia, uśmiechnął się. Przyjaźnie zadrgały nad nim oczy. Uśmiechnęli się do siebie.

Był zmęczony do kresu sił. Koszmarne wspomnienie. Spojrzeniem powiódł po gołym betonie. Żaden zwierze nie wybrałoby takiego legowiska. A jednak nie bolały go kości ani żaden mięsień. Czuł się wypoczęty, gotowy do drogi — ale drogi nie było.

Włożył sandały i powstał. Wpuścił koszulę w spodnie, przygładził włosy. Ogarnął się, wyszedł na korytarz a za nim sąsiad z betonu.

Obstąpiła go głośna cizba ludzka. Nie rozumiał słów, zapytań. Patrzył im w oczy i uśmiechnął się jakby mówił — jesteście razem. Spontaniczne uśmiechy — odpowiedź podobała im się. Swobodnie wyszedł z gromady. Po kilku krokach doskoczyło doń dwóch młodych chłopaków. Powtarzali kilka słów, w nich często manże, potem lekliwie palcami dłoni dotykali ust, jakby mieli umrzeć z głodu. Już dzień

8

nie jedli nic. Sięgnął do kieszeni spodni po kilkanaście franków luzem i dał im. Jeden z nich chwycił je a obaj zaczęli przepychać się do kraty wyjściowej. Od niej ruszyła nań ludzka nawałnica, z natrętnie wyciągniętymi dłońmi. Przecież biali w ich kraju zawsze mieli dużo pieniędzy. Powiódł po nich

uśmiechem i pokręcił głową, że nie dostaną. Usłyszał głos sąsiada z betonu, wymyślał wszystkim twardo, z pogardą. Zaczęli rozchodzić się, niektórzy z odrobiną wstydu. Ruszył korytarzem. Coraz mocniej atakował smród, ostry, amoniakalny i stary, stężałego, ludzkiego łajna. Po obu stronach cele. Betonowy barak z płaskim dachem, solidnej roboty. W jego połowie z jednej strony dwie muszle klozetowe. Wyschnięty starowina zlewał jedną i przepychał kijem. Śmiesznie spieszył się, jak najwięcej donieść wody, w cieknącej, półlitrowej puszcze z odległego kranu. Były i zbiorniki zlewające — zardzewiały szmelc. Po drugiej stronie ścianka do oddawania moczu, z czerwoną skorupą osadu. Naprzeciw umywalnia, długie, betonowe koryto. Wszystko w tłustej mazi oparów i brudu narastających latami. Smród uderzał napastliwie. Minął urządzenia sanitarne. Po obu stronach drzwi cel z grubej blachy. Wszystko tu było z betonu i stali, nawet waterklozety. Korytarz bez drzwi wchodził do końcowego pomieszczenia baraku na całej jego szerokości. Na gołym betonie leżało kilkanaście nagich ciał, w przepaskach, spodenkach. Na obu ścianach były tu szczeliny z płytkami opadowymi z betonu, chroniące przed zacinianiem ulewy

9

a dające przewiew. Najlepsze miejsce do przetrwania południowej spiekoty. Miejsce wypoczynkowe, towarzyskie. Popatrzył na leżących. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Leżeli jak martwi,

niektórzy z otwartymi oczami. Uciekali od życia, jakby to było najlepsze do przetrwania. Zawrócił. Zdjął koszulę i złożył na chlebaku w swojej celi. Od oblepionej ludźmi kraty oderwali się chłopcy, którym dał pieniądze. Uciekali od wyciągających się rąk. Niosący banany, wdzięcznym ruchem oderwał z pęka owoc i dawał mu. Przecząco pokręcił głową. Zadowoleni odmową, rozsiedli się w celi i jedli szybko z niepokojem, jakby tylko to co w brzuchu, było ich. Przechadzał się korytarzem. Powstrzymywał wdech przy mijaniu urządzeń sanitarnych. Nie chciało mu się jeść, mimo, że poprzedniego dnia nic nie jadł. Odczuwał dotkliwą potrzebę umycia się. Przed trzema dniami wziął wannę jeszcze na statku. Potem następnego dnia na stacji benzynowej, nie było prysznicu, umył pod kranem stopy, dłonie i twarz. W tym kraju ciągłego oblewania się potem, bez codziennej kąpieli trudno było wytrzymać. Tu mógł umyć się cały, ale gdy oczyści pory skóry, gorące, lepkie i smrodliwe powietrze znów oblepi go łajnem. Stary brud wydawał mu się przyjemniejszy i nie tak groźny.

Od wejścia rozległo się wołanie. Popędziło dwóch ludzi. Zrobiono im przejście. Przez kratę kobiety podały im łubianki z jedzeniem, kilka słów pożegnania bez uśmiechu. Gromadka postępowała za

10

szczęśliwcami. Byli głodni, nie mieli pieniędzy ani nikogo kto by im przyniósł jedzenie. Szczęśliwcy

wpuścili do swoich cel po jednym z najgłodniejszych i zamknęli za sobą drzwi. Pozostali powrócili do kraty.

Ubawiło go to niezmiernie, miast przerażać. Nie dotykając kranu, z lejącej się strugi popił kilka łyków wody. Smakowała mu jak nigdy. Przedramieniem otarł usta. Przyplływ ożywienia w spacerze. Jakiś chłopak zdjął przepaskę biodrową i oblewał się wodą z puszki dla ochłody. Odpryski padały na korytarz. Zawrócił. Wszedł do pomieszczenia gromadzkiego. Usiadł pod ścianą, wygodnie oparł się plecami. Na gołym betonie leżeli pokotem nadzy, wygłodniali. Tak w Oświęcimiu czekali swojej kolejki do pieca. Cóż to tu byli za zbrodniarze?

Leżący w pobliżu ocknęli się. Spoglądali na niego przyjaźnie. Ujmowała ich jego łagodność wypływająca z siły a nie słabości. Zaczęli do siebie mówić, aż leżący najbliżej zwrócił się do niego:

– Sigerets?

Poderwał się. Miał jeszcze w chlebaku z pół paczki. Poczęstunek sprawiał im radosne wyróżnienie, że od białego. Brali, ale ostatniego zostawili dla niego. W tym dzieleniu się była jedność i wspólnota losu. Palili mocno, po męsku i przyglądali mu się. Kiedy patrzyli mu w oczy, byli pogodzeni z ich swoistością, a kiedy na jego skórę smutnieli, przypominała im, że są Murzynami. Nie było jego zasługą, że urodził się z jaśniejszą. Nikt nie wybiera

matki i ojca. Śmieszny przesąd, a jednak cierpieli. Chciał im to powiedzieć. Nie umiał po francusku, a angielskiego nie znali.

– France? — dobył się pytający głos.

– Polone — odpowiedział.

– Polone — powtarzali, jakby pytali — cóż to jest?

Ale jeden z nich wiedział, że jest taki kraj, nawet statki tego kraju przyplływają do nich.

Pytali czy w jego kraju są Francuzi czy Anglicy, Amerykanie — zaprzeczał zdecydowanie. Spoglądali z powątpiewaniem. Cóż to za kraj, o którym nigdy nie słyszeli i nie rządzą tam Francuza, Anglicy, nawet Amerykanie. Ciekawi byli jego ojczyzny. Rozumieli, niektóre angielskie - słowa, dawały im całe obrazy, pojęcia. Byli bardzo domyślni. Immigration — jedno wyrażenie dawało im zupełną jasność dlaczego on tu jest. Także za nielegalne przebywanie było tu kilku Nigeryjczyków i jeden Hausa z Mali, pozostali z powodu taxi. W żaden sposób nie mógł domyślić się ani pojąć, cóż z podatkami mieli ci nędzarze.

– Manže, manže — zachęcali go do jedzenia.

– No manže — odpowiedział swobodnie.

– No franks?

Zrozumieli, że niewiele, ale ma.

– Chcesz umrzeć, la mort? — wymawiali żałośnie.

No — zaśmiał się z lubością życia. — Chcę być wolny, liberty.

12

Nie rozumieli go. Na smutno, głęboko ciągnęli dymy.

Był wzburzony aż do szybkiego obiegu krwi.

Uśmiechał się, by nie zawrzała i zabiła go. W głowie natłok burzliwych harców. Nie popełnił żadnego przestępstwa i wpędzono go do więzienia. Ukazywali mu się ludzie, przez których tu się znalazł i uśmiech jego nabierał jadowitości koralówki. W łagodniejszym uśmiechu wybaczał im ale niecałkowicie. Nie można ich było sądzić jednostkowo, oni byli ustanowionym porządkiem świata. W jego uśmiechu było szaleństwo i groźba dla tego porządku. Rozjątrzony jak skorpion. Wiedział, że przemyślenie tych spraw do końca nie pomoże mu nic. Szczęśliwie, że nie zaczynał. Zrozumiałby wtedy, że los jego jest daleko okrutniejszy. Uciekł we wspominki, jak maleńki chłopiec pod pierzynę. Wspominał swoje, mroźne miasto.

A wszystko to zaczęło się jeszcze poprzedniego lata...

W południe, przed redakcją „Głosu” spotkał sekretarza Fabiana. Wysadzisto sklepione czoło, oczy tańczące w uśmiechu.

— Mógłbyś sobie pojechać w rejs. Już dawno nie byłeś nigdzie. Na Kubę. Należy ci się — wydałeś książkę. Odchodząc dodał: — Idź do dyrektora PŻM-u. Całą

sprawę uważał urzędowo za załatwioną. Zostawił go w zadziwieniu i kierował się do pobliskiego gmachu Komitetu Wojewódzkiego.

Podobało mu się to. Kilka słów w przejściu, bez

13

odkładania. Zadowolony był i Fabian, uzyskał kilka minut. Celebracja zarzęłaby jego urzędowy młyn, a ludzie są bardzo czuli. Wszystkim mówił ty i lubił, jeśli ktoś śmielszy tak samo zwracał się do niego. Ludowo bezpośredni, polotny. Za kadencji, jego poprzednika umarł pisarz Gil z wycieńczenia, skrajnej nędzy. Za Fabiana byłoby to nie do pomyślenia. A jednak to on pozwolił odstawić Stasia, ciągnącego jak byk całą robotę Klubu Marynistów, przy nim i inni dzielnie napierali.

Staś, bezpartyjny, samodzielnie myślący. Wielkie plany, zamierzenia na wskroś socjalistyczne. Najlepszy Klub w Szczecinie a może i w Polsce. Tym bardziej wszystko to drażniło i przerażało miejscowych kołtunów.

Przez więcej niż dwadzieścia lat nikt nie zaproponował mu wyjazdu, a kiedy starał się, odtrącali. Umęczony wydawnictwami. Wydawali najgorsze chały a jego nie. Obrażał dyrektorów, recenzentów, bo jakże można się łąsić mułom. Z jego reportaży miejscowe gazety obdzierały wszystko, co żywe i barwne, zostawał tylko suchy badył. Wszystko to, gdyby było pisane z doskonałością nie do

odrzućenia, musieliby wydawać. Zmusić ich doskonałością, ale tego nie potrafił. Wina za niepowodzenia była wyłącznie jego. Teraz, kiedy czekał go słoneczny rejs i wytchnienie, uczył zmęczenie niemożnością swoich usiłowań, duszącą monotonnie myślą. Poostrzy zmysły, dosyci wrażenia, spotęguje emocje — rozpuści wygłodniałe wilki.

14

Żył rejssem, radośnie przerażała czekająca uciecha. Jak głodzący się smakosz przed czekającą ucztą, by zaznać więcej rozkoszy, ostro wziął się do pisania nowel, opowiadań. Przychodził z Witoldem do Henryka i urządzał im czytanko, co nigdy nie trafiło mu się w życiu. Dwa tęgie zuchy z ostatniej wojny słuchały uważnie. Potem Henryk dawał smakowity poczęstunek wykwintnie podany. O dziwo — ich uwagi w złym i dobrym sprawdzały się później z opinią redaktora Twórczości. Nie pytali o rejs jakby w cichej zmowie — „jeśli pisze niech siedzi”. Henryk był chłopakiem o gorącym sercu a Witold całą swoją wolę wciskał w niego na pisanie. Naprawdę pisał wtedy dla nich. Starał się jak mógł by jak najmniej sprawiać im smutnych rozczarowań.

Od kraty wejściowej rozległ się krzyk. Wepchnięto jakiegoś nieszczęśliwca. Niektórzy poderwali się, by zobaczyć go.

Nie ruszył się z betonu, ciągle był w swoim, chłodnym mieście. Przyszła jesień. W dżdżysty dzień

z samochodu wyskoczył Fabian. Zatańczyły mu oczy i zawołał:

– Paszport masz?

– Jeszcze nie — odpowiedział z winą.

– A byłeś u dyrektora?

– Jeszcze nie.

– Nie chcesz jechać?

– Chcę.

Chciał wytłumaczyć się, że mu się pisze, że chce

15

jak najbardziej, że żyje tylko rejsiem, ale Fabiana już nie było. Zniknął w wielkim urzędzie.

By nie przeciążać jego cierpliwości, z miejsca poszedł do dyrektora. Wprowadziła go sekretarka.

Reprezentacyjny luksus gabinetu. Szeleszczące nowością ubranie. Z góry, urzędowe oczy. Stał, by zaznaczyć że nie będzie to trwało długo.

– PŻM daje panu rejs. Za to chcę, aby pan napisał o PŻM książkę — i do gazet też.

– I ja chcę tego. Może być jedno i drugie, a może być i nic. Trudno obiecywać — odpowiedział swobodnie.

– Obciąża nas pan na kilkanaście tysięcy złotych.

– Kampania jest bardzo bogata — uśmiechnął się.

Spostrzegł twardniejące oczy i usłyszał słowa kończące przyjęcie.

— Kiedy zdecyduje się pan, proszę zgłosić statek i datę w Wydziale Pasażerskim.

Po wyjściu z gabinetu poczuł się raźniej. Chropowato, ale jedno miał już załatwione. Wielkie stanowisko, dyrektor czuł się jak lew, mimo, że nie stwarzał nowych linii żeglugowych. Nie bardzo trudziło się i Ministerstwo Żeglugi. Jeśli linie powstawały to pod naporem Ministerstwa Handlu Zagranicznego, płacącego rocznie ponad trzydzieści milionów dolarów obcym statkom za frachty.

Na komendę milicji szedł z oporami. Poprzednio była to długa spowiedź nieufnie przyjmowana. Na stole w poczekalni Wydziału Paszportowego luzem

16

rozłożone formularze. Wziął jeden jednokartkowy, poprzednio było ich z pięć. Przy składaniu podania było uciążliwiej. Zatłoczona poczekalnia z ogonem na korytarzu. Ludzie walili w świat, żeby sobie odbić poprzednie zamurowanie. Był prawie ostatni. Po kilku godzinach w kolejce przyjął go cywil z powściągliwą wesołością w skorych do uśmiechu oczach.

— I pan do nas, wielki czas, nareszcie — jeszcze z dala mówił podniesionym głosem.

Daremnie próbował przypomnieć sobie twardą a życzliwą mu twarz.

— Jesteśmy obaj starymi szczeciniakami — szedł mu z pomocą. — Czasami czytam pana w gazetach. Jest tego trochę za mało — podniósł z serdecznym wyrzutem.

Nie wiedział co odpowiedzieć.

— To trochę trudne, ale i wasza praca nie jest łatwa.

— Dajemy sobie radę. Znam teren — uśmiechnął się. — Gdybyście wy pisali dobre książki to mielibyśmy mniej pracy. Znałem osobiście Gila. Rozmawiałem z nim kilka razy — akcentował, że sobie to ceni. To był naprawdę mądry chłopiec.

Cywil miał przenikające w głąb oczy i nawyk władania każdą sytuacją. Był milicjantem. Żał mu było ludzi z pokiereszowanym życiem. Cenił literaturę.

Po miesiącu miał nowiuteńki paszport. Uskrzydlające uczucie — obywatel świata, „Ziemia, ojczyzna

17

ludzi". Teraz mógł stawić czoło Fabianowi, ale nie spotkał go.

Wybrał się do Warszawy. W ambasadzie wykwinł, przejęci Latynosi. Trochę za poważna, urokliwa seniorita, język jej dźwięczał perlistą kaskadą. To już Kuba. Tu formularzy ciągle było dużo. Po dopełnieniu przepisów zwrócił się do niego urzędnik:

— O przyznanie wizy zwrócimy się do Hawany.

Potrwa to miesiąc, może dłużej. Możemy zadepeszować na pański koszt trzystu złotych, wtedy odpowiedź powinna przyjść po kilku dniach.

Podał mu banknot, ten szoferowi, by zmienił. Warszawski cwaniak wrócił po chwili z niezmiennym.

— Panowie, wypijcie po jednym głębszym za moją podróż — powiedział i pożegnał ich.

Miał trochę myślenia z tą pobytową wizą. Sam tylko rejs wydawał mu się goły, skąpy. Miał ich sporo w wojnie. Pożyje sobie, a wróci następnym statkiem, może; drugim, trzecim... Kupił Książki do nauki hiszpańskiego. Nie szło mu łatwo. Odłożył na przymus konieczności, kiedy tam będzie. Witold twardo żądał pisania. Było to przedziwne. Przeważnie spotykał drwinę, by dał spokój tym fanaberiom i wziął się do uczciwej pracy. Jeśli pisał to wbrew wszystkim i wszystkiemu. Jak to dobrze mieć chociaż jednego, wspierającego w szaleństwie. Ciągnął zrywami. Nie było warunków na jednostajny, nieustępliwy nurt myśli. Przyszły pluchy, śnieżyce, mrozy a tam gorące słońce, mocna zieleń, orgia ko-

18

lorów. Roje nagich ciał na plażach. Ciepłe morza. Noce z żółtym księżycem, gitary, śpiew. Ludzie o gorącej krwi, spontanicznie wylewni. Dziewczęta o ognistych temperamentach. W tańcu stają się rytmem, pulsującą rozkoszą. Hawana była amerykańskim

burdelem. Zobaczy ludzi, którzy pragnęli wywalczyć sobie godność. To nakłada obowiązki. Kochał ten mały liczebnie naród tak ciężko obarczony. Mieć tylko odrobinę talentu. Nie miał pieniędzy i nie będzie ich miał. Zupełnie o tym zapomniał, nie myślał, jakby to było najmniej ważne. Będzie pracował na wielkich budowach czy plantacjach trzciny cukrowej. Stopi się z tamtejszymi ludźmi i krajem. Miraże, wyobrażenia napierały. Szły coraz cięższe mrozy, a jemu było coraz cieplej. Żył tam. Ani się spostrzegł jak minął miesiąc a z ambasady żadnej wiadomości. Czekał teraz dzień po dniu aż dni minęło za dużo — coraz mroźniejsze, bardziej napastliwe. Zrobiło mu się zimno. Ciężki przyrodziewek tłamsił radość ciała.

Znów wybrał się do Warszawy. W ambasadzie ten sam urzędnik, co poprzednio, bezradnie rozłożył ręce.

—Czekamy.

—Może i nie być odpowiedzi — wymówił z uśmiechem.

—Powinna być, musi być. Trzeba czekać. Mamy adres. Powiadomimy pana — jakby pocieszał go na drogę powrotną.

Po wyjściu zrozumiał z całą jasnością, że odpowiedzi nie będzie. Miała być w kilka dni, a minęło

19

dwa miesiące. Któż sobie nim zajmuje głowę. Pisarz — to tylko jemu czasami tak się zdaje, może i nim

trochę jest w Szczecinie. Pisarz w obcym kraju istnieje wtedy, kiedy jest drukowany w tamtejszym języku.

Paszport radośnie uciskał mu pierś, jak obywatelowi świata. Może sobie przecież wybrać inne kraje. A gdyby tak do Meksyku — tam też chodzą statki PŻM.

Zaopatrzył się w pismo z Zarządu Głównego ZLP — pokładał w nim duże nadzieje — do Jego Ekscelencji Ambasadora Meksyku i załączył do podania wraz z formularzami. Urzędnik — Polak przyjął go spokojnie ze sprawnością doskonałego mechanizmu. Dowiedział się, że to potrwa miesiąc, może trochę dłużej. Opłata nieduża, ale dolarami.

Wrócił na Krakowskie Przedmieście. Było przedpołudnie. W Kawiarni Literackiej pusto, to skłaniało do snucia własnych myśli. Był pod silnym wrażeniem nowej podróży. Meksykańczyka zawsze wyobrażał sobie z koniem, który był koniecznym dopełnieniem urody w tym romantycznym kraju. Na koniu myśli pędziły lotniej. Rozległy kraj przemierzał wzdłuż i wszerz. Przypomnił mu się doskonały odczyt o Meksyku w „Muzach”. Starszy pan z dziewiętnastowieczną bródką mówił w nabrzmiałych treściach, zwartych skrótach. Przez kilkanaście lat był tam ambasadorem. Słuchał go z żywym zainteresowaniem. W pytaniach i on musiał się wtrącić. Że na tak wielkim stanowisku można wiele zrobić dla

dobra obu krajów; ułożenie współpracy, ogromne możliwości dla ludzi wybitnych. Z obszernej odpowiedzi zapamiętał ostatnie słowa: „Ambasador nie jest więcej samodzielny ani odpowiedzialny. Minęły te czasy”. Dobrotliwie uśmiechał się z własnej naiwności. Po skończonym odczycie nie mógł się od niego oderwać. Starszy pan pozwolił mu przysiąc się. Ogromna wiedza i znajomość współczesnego świata służyły mu tylko do snucia własnych myśli i sądów. Nie rozwodził się o prezydentach i oficjalnych osobistościach. Organizował polskie placówki dyplomatyczne w Ameryce Łacińskiej. Znał Carpentiera. Wypił niejedną dzban z Siqueirosem i Diegą. Potem przeczytał jego książkę o Meksyku. Uderzyła go głęboka troska o lud. Był nawet inicjatorem wybudowania szkoły w indiańskiej wsi. O panu z bródką mówiono z przekąsem — socjalistyczny hrabia. Dla niego rzetelność i lojalność to było zupełnie normalne. To właśnie szlachetność ducha przywiodła go do socjalizmu. Podobnie było z Pruszyńskim. Dobrze byłoby porozmawiać z nim, pomyślał sobie. Na pewno nie pamięta go. Posmutniał. A jednak spróbuje.

Usłyszał w słuchawce, że jest przy telefonie. Pamięta go. Będzie za pół godziny.

Spoglądał na zegarek, siedział niespokojnie. Zaczęły się schodzić piękne kobiety, potem poeci. Tu mieli otoczkę snobek, kochających, szydzących. W

Szczecinie z szoferami Gałczyński pił wódkę.

Pięć minut przed umówionym czasem wyszedł na
21

ulicę. Zobaczył z, daleka, punktualnie nadchodzącego starszego pana. Wrócił z nim i przy małej kawie mówił mu o Kubie.

Trzeba było podać, że jest pan poetą. Podobno chętniej przyjmują niż prozaików. Szkoda.

Zaraz wpadł mu z Meksykiem.

– Najłatwiej byłoby dołączyć do sportowców. Popularyzacja sportu. Najlepsze podejście. Oni też tam nie bardzo chętnie widzą piszących z tej strony. Trochę pieniędzy pan ma?

– Będę pracował na jakiej hacjendzie...

– Oficjalnie nie wolno panu tam pracować — przerwał mu.

– To nieoficjalnie. W Stanach, Meksykańczycy tak właśnie pracują.

Przyzwolił taką możliwość.

– Kupię sobie konia i zjadę Meksyk wzdłuż i wszerz. Pan w swojej książce poprzez mechanizm polityczny oddaje los tego narodu. Reporterzy lubią sensację. Ja będę żył z łaski ludu i pisał o nim. Mój Meksyk będzie od dołu.

Odrobina zdumienia. Wyznał, że nie będzie to łatwe. Doskonale wiedział, że chodzi mu o jego znajomości, które pomogłyby mu w tym rzuceniu się w nieznane. Patrzyli sobie w oczy. Był powściągliwy. Cień minionego okresu dławił i najrzetelniejszych, w najlepszych poczynaniach. Woleli nie narażać się na niebezpieczne domysły, podejrzenia.

Nie utrzymuję korespondencji. To już stare

22

czasy — mówił znacząco. Piszę biografię Lincolna, w jego działaniu. Nie jest to łatwe.

— Kategorie jego myślenia nie są panu obce. On je realizował i to jego wielkość.

— Serce — dłonią dotknął piersi — daje już znać, ale myślę że ją skończę.

— Na pewno.

Powstali. Odprowadził go do drzwi.

— Jak będzie pan miał już wizę, proszę napisać — odezwał się przed pożegnaniem.

Tego samego dnia wyjeżdżał z Warszawy, w najlepszych myślach. Pismo Zarządu Głównego ma wagę najpoważniejszego związku, bo takim jest ZLP. Starszy pan też zostawił mu nadzieję.

Podobnie jak poprzednio Kubą, żył teraz Meksykiem. A gdyby tak pojechał. do stolicy i wszedł w kontakt z

redakcjami gazet. Ambasada ułatwi mu to. Przypomniawszy sobie, że jest tam Edmund — wielka radość — nie będzie sam. Może zechcieliby drukować reportaże, bardzo impresyjne i świeże, o kraju tak bardzo różnym od jego. Ktoś z miejscowej Polonii będzie tłumaczył je. W ten sposób uciuła szybciej na kupno konia. Statek zawinie do Tampico, może Veracruz. Wsiądzie w tym drugim; będzie ciekawsza droga, przepaści i niebotyczne góry z czapami wiecznych śniegów. Autostopem dotrze do stolicy. A jeśli z redakcjami nic nie wyjdzie, to w ten sam sposób odbije daleko, na pasterską Północ i tam na jakiejś hacjendzie wysłuży sobie konia. Wybierze ze stadniny smukłego o szerokiej piersi, średnio ros-

23

łego. Takie są najszybsze i wytrzymalsze od dużych. Będzie to ogier z nieoklapłym unerwieniem i temperamentem. O wysokich a mocnych, skocznych pęcicach, suchym łbie z mądrymi oczami i dużych chrapach na wiatr. Każda sierść ze zdrowym błyskiem jest piękna. Będzie nie ujeżdżony, by od samego początku współżycia z ludźmi przyłgnał tylko do niego. Złapie go, zaprowadzi do boksu. Sam będzie pasł i doglądał go przez kilka dni. Zawsze przyniesie mu kaczan młodej kukurydzy, kawałek tortilli czy kawałek cukru. Kiedy będzie jadł ugłaszczaje mu szyję i będzie mówił pochlebstwa łagodnym głosem, by narastało między nimi zbliżenie i zaufanie. Sam spróbuje ujeździć go, a jak spadnie — no to co. Gdy

miał trochę więcej niż dziesięć lat, w jedno lato był na wsi u wuja. Ten zgodził się dla żartów, by przyprowadził koniki z łąki. Popędził z przejęciem. Najsamprzód rozpętał źróbkę, chodzącą już w zaprzęgu, potem starą. Ledwo dosięgnął rękami kłaka na kłębie i po kolanie wgramolił się na grzbiet. Po pierwszym uskoku znalazł się na ziemi a kobyłka spokojnie skubała trawę. Znów wlaźł na nią i znów spadł. Aż za czwartym razem pozwoliła mu siedzieć, jakby żartów miała już dość. Pamięta zdziwienie wuja kiedy wjechał w opłotki a źróbka wbiegła za nimi. To była radość. W sobotę po pracy wszystkie konie ze wsi pasły się na odległym gromadzkim pastwisku. Kilku starszych chłopaków z psami, paliło nocą ognisko i drzemali przy nim. W niedzielę przed zmrokiem schodziła się młodzież. Łapali i dosiadali

24

swoje, chłopskie bieguny. Ustawiali się w linię i z okrzykiem ruszali w cwał. Z miejsca naprzód wychodziła Andziula, córka Wojtka z za rzeki, na niedużym koniku prawie kucu. W podganiętej wysoko kiece, obejmowała go mocnymi nogami. Chłopaki pędzili jakby to był wyścig po nią. Kiedy zbliżali się, krzykiem i różgą dobywała z kuca wszystkie siły. Z rozwianymi, płowymi włosami i podniesionymi rękami, na oczach całej wsi pierwsza przebywała mostek w cwale. I tak było każdej niedzieli. Na chłopaków patrzyła swobodnie i z dumą. Uwielbiał ją i kochał. Jak łatwo przypominał sobie jej dziki krzyk

pełen upojenia. To pozostało mu na zawsze. We wczesnym dzieciństwie kiedy prowadzono go za rękę, ojciec i matka mieli z nim utrapienie — musieli przystawać przy każdej przechodzącej szkapie. Potem, na widok pięknego konia zawsze wpadał w zachwyty. To też mu pozostało. Jeździł przy każdej okazji i zawsze na oklep. W wyciągniętym galopie krew rozpalala się jak kiedyś w barbarzyńskiej hordzie. Nie wyobrażał sobie, że można nie umieć jeździć. To było jak z pływaniami, też po przodkach żyjących kiedyś w wodzie. Jeśli nie da rady ujeździć swojego ogiera, to zrobi to jakiś meksykański zuch. Nie pozwoli okrutnie złamać go a wdroży, by zachował swoją, końską dumę. Potem będzie układał go sam, bez żadnego cackania. Z koniem jak z kobietą, wymagająca twardość wydobywa z niej zalety. Umieści go w ogrodzonym wybiegu. Nauczy odzywać się na zawołanie, przybiegać na inne, cho-

25

dzić za sobą. Zawsze będzie miał dla niego jakiś smakołyk, wdzięczną pieszczotę — tak by pojał za co. Aż zrozumieją się. Miast ciężkiego, roboczego siodła postara się o lekkie i któregoś ranka z mapą w troku, ruszy w prerię. Będzie jechał nago, tylko w spodenkach khaki, by skóra nabrała barwy tego kraju i bez sombrera — Indianie też nie nosili. Kierując się słońcem; w każdej, dalekiej wsi gościnni ludzie, święto. Przy spędach bydła, stawianiu ogrodzeń, zawsze zarobi sobie trochę pesos. Będzie brał każdą

robotę, w pracy najlepiej poznaje się ludzi. I znów dalej. Będzie przebywał garby, płaskowyże, chaszczce, lasy. Noclegi pod gwiazdami przy strumykach z młodą trawą. Ogiera nie będzie pętał, by nie uszkodzić mu pięknych pęcín. Przy ognisku nie jest się samotnym; wolna, jak kraj rozległa myśl. Chrapanie ogiera, wycie kojotów aż zaśnie otulony w poncho. Przygotowany stos chrustu na odstraszenie pumy czy niedźwiedzia. Rankiem, jak w krótkiej modlitwie popatrzy na słońce i znów dalej. Samotni jeźdźcy, może kawalkady, łączenie się z nimi, gawędy. W lot będzie uczył się języka aż nie spostrzeże się kiedy zacznie nim myśleć. Przed miastami wciąganie długich, wąskich, skórzanych portek, z krótką frendzlą na zewnętrznych szwach. Kowbojskie za rapciate. Koszula khaki i mokasyny miast ciężkich buciorów. Trafi i na rodeo. Przed nimi często odbywają się wyścigi, popędzi i on w nich. Osiągnie Rio Grande, od niej pociągnie na Zachód przez rozległe pustkowia. Pustynia przy Colorado,

26

Pacyfik. Zawróci na Południe zachodnim wybrzeżem. Po wioskach, nim pomyśli o sobie, najsamprzód ogierowi przysposobi ziarna. Tak będzie zawsze. Będzie puszczał go na końskich hacjendach, by sobie pohulał w tabunie, pokrywał klacze, walczył, zdany tylko na siebie. A jednak jego największą, końską rozkoszą, będzie cwał. Musi ochraniać go, by nie spalił się. Spotniałego wytrze koszulą. Przeniknie ich

wspólny zapach, odrażający dla mieszczuchów. Arabowie mówią, że są dwie, męskie rozkosze — „na grzbiecie końskim i na łonie kobiety”. Tej pierwszej będzie doznawał ciągle. O drugiej miał za bogate wyobrażenie, a rzeczywistość była skąpa, stąd poryw do większych uniesień. Pierzynowy bohater to najsmutniejszy objaw męski. W końcu uzyska jego, końską miłość. Ogier będzie toczył po nim oczami, że czas już w drogę, chce cwału, odpoczynku. Razem będą śmiać się i smucić. Będzie z ogierem ale bez broni. Jego podbój — sercem. Otworzy serca ludzi i przeniknie je. Jego książka będzie inna od wszystkich innych. Zobaczy ich tańce, kukuracze, Niepojęta różnaitość widoków, klimatów, różność ludzi. Przed zimą zajędzie na Jukatan — tropikalne puszcze, Indianie, piramidy Majów. Stamtąd pociągnie do stolicy. Zajędzie do ambasady i zostawi im ogiera, by czasami poczuli się bardziej Polakami i trochę zmeksykanieli. Zobowiąże ich do opieki nad przyjacielem. Dzień rozstania będzie najsmutniejszym dniem podróży. Jak wór wrażeń i medytacji,

27

wróci do swojego kraju, uodporniony na szarość i ziąb.

Zima trwała a on wędrował w podobnych wariantach. Z ambasad ciągle nie było żadnej odpowiedzi. I naszło go dziwne przypuszczenie, że z obu dostaje wizy. Wykorzysta obie. To dopiero będzie podróż — radość niesytego nigdy włóczęgi. By odciąć się od podejrzeń,

najsamprzód pojedzie do Meksyku. Różnie przyjmują tam przybyszów z Kuby.

Minął miesiąc a z ambasad żadnego odgłosu. Coraz częściej wdzierało się zwątpienie. Nie mógł żyć w pustce. A gdyby tak do Brazylii? Chodzą tam statki z PLO. Cóż, że inna kompania, armator wspólny, i on w jakimś stopniu jest właścicielem. Nie czuł się nim, ale to już pewno jego wina. Najważniejsze, że ma rejs, reszta to sprawa papierkowa w nowym biurze. I znów wskoczył całym sobą pod Krzyż Południa.

Od wejścia rozległo się wołanie. Więźniowie powstawali i szli do swoich cel. Strażnik potrząsał pękiem kluczy, urzędowym głosem przynaglał i spędzał.

W celi. Usiadł przy swoim chlebaku. W drzwiach pokazała się głowa strażnika. Głośno liczył. Zamknął drzwi na klucz, na końcu kratę. Nastąpiła zupełna cisza. Nie miał nic do czytania. Zaczął przeglądać słownik języka angielskiego. Ile wyobrażeń w sło-

28

wach, ciekawe, aż zdumiewające. Żarówka ledwo tliła się. Nędzne światło. Musiał zaniechać czytania. Z prawej strony w odległym rogu człowiek o nieokreślonym wieku, odwrócony plecami, z

podkurczonymi nogami, przesypiał utrapienie więzienne. Spojrzenie sąsiada z lewej zawsze czuł na sobie, troskliwe, gniewne, kiedy spotykali się oczami. Aż poderwał się, by dać mu swoje legowisko wymoszczone tekturami z jakichś pudełek. Kłócili się długo, ale legowiska nie przyjął. Zgasło światło. Z przyległej ulicy huczenie samochodów, głośnie śmiechy, coraz rzadsze, aż stały się akcentem ciszy, dopełnieniem. Ciepła noc jak pierzyna. Swobodnie rozciągnął się na betonie i zaraz zasnął jak stary łotr.

Rankiem zbudził go zgrzyt kluczy, potem w jego zamku. Toaleta była prostsza niż u zwierząt. Oby ludzie tak dbali o siebie. Zwierzęta ciągle liżą się, gładzą, aż wymuskane, sprężają się do życia. Na korytarzu doskoczyli ci sami chłopcy, jakby byli na jego utrzymaniu. Dał im dwadzieścia franków na banany. Przy kamiennym korycie niektórzy myli twarze, najmłodsi gimnastykowali się z przejęciem. Największa gromada skupiła się przy kracie w oczekiwaniu jadła, krewnych, przyjaciół, że spotka ich coś dobrego, że może nawet wyjdą stąd i będą wolni. Przechadzał się korytarzem samotny. Któż wiedział, że on tu jest. Ludzie bliscy mu byli o tysiące kilometrów. Wszędzie wymagano papierków i spisów, a tu nie. Bez żadnych słów co z nim poczną, schowano go na idealne zagłodzenie. Powinien przypo-

imigracyjnym. Przepchnął się przez ciżbę. W stróżówce umundurowani po wojskowemu dwaj policjanci. W rozmowie przez kratę zrozumieli jego angielski, z pomocą niektórych więźniów łapiących poszczególne słowa, że chce widzieć się z komisionerem imigracyjnym. Odpowiedzieli przychylnie. Po godzinie odpowiedzieli mu, że już zameldowali, a po dwóch wzruszali ramionami.

W stróżówce był telefon. Więźniowie nie korzystali z niego nigdy. Powinien spróbować. Z chlebaka dobył książeczkę przedstawicielstw PŻM, odnalazł S.O.C.O.P.A.O.. W dłoni z nią dopchał się do kraty. Strażnicy byli zdziwieni, jeden z nich jednak otworzył kratę i przepuścił go. Wykręcił cyfry. Usłyszał głos, że rozumie go. W kilku zdaniach opowiedział o swojej biedzie. Był to sam agent, zaraz przyjedzie. Odłożył słuchawkę. Przez wejście widać było ludzi spieszących po podwórku. Dwóch wyrostków i ślicznie wyrośnięta Murzyneczka przestali kopać piłkę, przyglądali mu się smutnie. Strażnik zamknął za nim kratę.

Radosny spacer. Jak łatwo to mu się udało. Za mało powiedział, powie więcej kiedy przyjedzie. Wszystko pójdzie dobrze. Był cały w oczekiwaniu. Głosy i wołania przy kracie biły w niego niepokojem. Z trudem panował nad wzruszeniem. Mijały godziny i czas pracy w biurach. Złudzenie, że przyjedzie po pracy. Znow godziny. By wytrwać w osamotnieniu, wskoczył pod Krzyż Południa.

— — —

Ile radości było w tamtych, pierwszych wyobrażeniach pełnych wiary. W sawannach poprzetykanych tropikalnymi lasami nad Rio Mortes w Mato Grosso żyją Szawanci, od prawie trzystu lat w wojnie z białymi. Spychani przez nich, prawie z pół tysiąca kilometrów przesunęli się na Zachód. Oni też wyparli lub wyrznęli inne plemiona, bo dżungla nie jest pusta. Ciągłe nieposkromieni. Wolni. Wybijają wyprawy rządowe, które chcą wejść z nimi w zbliżenie, by skierować w nowe, cywilizacyjne życie. Gdyby tam byli Jankesi, już dawno wycięliby Szawantów w pień. Tyle dzielności, hartu, a jednak czeka ich zagłada. Ocalić ich, poprzez literaturę zwrócić na nich większą uwagę. Statek zawinie do Rio, tu zejdzie. Weźmie jakąś pracę, by zarobić na życie. Może tu uda się drukować reportaże. Intensywna nauka języka portugalskiego. Wejdzie w łączność z Wydziałem dla Spraw Indian w Interiorze. Wszystko o Szawantach przewertuje i przegada. Potem wyjedzie do ich maleńkiej osady nad Rio Mortes w Mato Grosso. Tu dowie się od nich wszystkiego co tylko możliwe. Spotka ludzi, co żyją w ich pobliżu. Jeśli będzie jakaś przyjazna wyprawa rządowa, to weźmie w niej udział. Sam będzie usiłował spotkać się z okolicznymi sertenjeros. Pobyt tam może nasunie mu pomysł ocalenia Indian. Przeniknie skąd się bierze upór

trwania w dzikości. Co nie pozwala im wejść w porozumienie z białymi? Na

31

pewno mają niezłą organizację i silną więź plemienną, to zalety, ale są w absolutnym władaniu wodzów, czarowników bojących się utraty władzy i przywilejów.

W Szczecinie kęsał mróz, a on rozgrzewał się w wyobrażeniach, jakby to można zrobić. Najsamprzód pokaże życie Szawantów w ciągłym zagrożeniu od białych. Początek tego byłby ze trzydzieści lat temu. Z San Paulo ciągnie po bezdrożach więcej niż tysiąca kilometrów osadnicza bandeira złożona z Polaków. Polacy jeszcze mają dość niewyżytego szaleństwa i bezinteresowności, więcej od innych. Osiedlą się na ziemi Szawantów. Polacy nie atakują ich sami, odpierają ataki. Poznają tragiczną historię i całym sercem są z Szawantami, ocalenie ich wchodzi im bezwiednie w krew jak misja. Zostawiają w pobliżu ich koczowisk podarki, najprostsze narzędzia, podpędzają bydło w głodowych przednówkach dżungli. Ochroniają przed innymi osadnikami. W końcu Szawanci nie atakują ich, to już wiele, ale każda próba spotkania się z nimi kończy się ucieczką lub walką. Dzieci osadników nasłuchawszy się od ojców o Szawantach, ocalenie ich przyjmują jako swoją powinność. Podrostki ciągle urządzą sobie podchody. Niektórzy giną, chowają się i żyją z Indianami. Wyrośnięte chłopaki w wyprawach konnych

i pieszych wyrastają na prawdziwych sertenjeros. Porywają indiańskie branki i żenią się z nimi. Wszyscy uczą się języka Szawantów, w końcu posługują się nim w mowie prostej, a już zawsze gdy

32

mówią o dżungli; ich język jest bogatszy. Daremnie próbują przyjaznych kontaktów. Zabierają maleńkie dzieci zostawione po pierzchających Indianach i wychowują troskliwie jak własne, tak jednak, by czuli się Szawantami. Po zwycięskich pojedynkach ze znamienitymi wojownikami, dają im życie i wolność. Ciągłe trwa stan jakiejś serdecznej wojny, giną ludzie z obu stron, plemię jednak nie odchodzi na Zachód. Ze związków mieszanych powstaje piorunująca mieszanka — dżungla w krwi i jasna, śmiała myśl, hoże dziewczęta i najtężsi sertenjeros. Wyrastają Indianie wychowywani przez osadników. Zachowali swój język, bo wszyscy nim tu mówią. Dużo słów przeniknęło do polskiego, a polskich do szawanckiego. Czują się Szawantami, w końcu i Polacy tak nazywają Siebie. Ciągłe nie udaje się przyjazne zbliżenie. Wtedy jeden z młodzieńców pojedzie do najsilniejszego szczepu władającego plemieniem. Powie jak on tu żyje i z nim inni Szawanci. By zaprzestali nędznego koczowania. Jak długo mają uciekać? Przekona ich, by współżyli z białymi braćmi. Pozwolono mu pójść. Po trzech dniach przybiegł do osady nieznanego Indianin z wieścią, że starszyzna zabiła ich wysłannika. To co on mówił, podobało się

ludziom. Wodzowie przygotowują plemię do pójścia na Zachód, chociaż ogół nie chce. Po naradzie mężczyźni wsiedli na konie. Osadzie nic nie grozi, a jeśliby, to kobiety umieją same obronić się. Bronią posługują się nie gorzej od mężczyzn. Prowadzi przybyły Indianin z kilku zwiadowcami, wy-

33

suniętymi do przodu. Za nimi konni. Otaczają toldo, ciasno na odległość kilkunastu metrów. Kilkuset ludzi z kobietami, z dziećmi. Nie wyglądają na wystraszonych. Szawanci z osady wjeżdżają w środek zebranych i z grupą wodzów nawiązują rozmowę. Nic ona nie daje. Odpowiadają, że pójdą na Zachód. Wtedy jeden z posłów zwraca się do całego szczepu, mówi głośno, że przyszli tu jako bracia, by razem rozpocząć nowe, lepsze życie. Wodzowie zagłuszają go. Nawołują do walki. Uderzają pierwsi. W gwałtownym, krótkim starciu giną. Ogół zahuczał i odetchnął swobodniej. Wygrana wojna Polaków, właściwie jest wygraną wojną Szawantów. Następują wielkie mowy, że Polakos, mimo iż są biali, są ich braćmi, że mają dość wędrówki od pokoleń, chcą mieć stada i orać ziemię, domy, których nie rozwali żadna wichura ani ulewa i wiele dobrych rzeczy białych. Po każdej mowie zgodliwy chór: ho! Wybierają nowych wodzów. Wielki potłaf. Polacy odjeżdżają przyjaźnie odprowadzani. Pozostają Szawanci z osady i Metysi. Objeżdżają inne szczepy, rozsyłają znanych wojowników. Przygotowują zjazd

wodzów i delegatów całego plemienia. Na nim zostaje wybrana Najwyższa Rada Szawantów i ta poprzez wodzów szczepowych i podległą im starszyznę ma wprowadzać nowe życie. Odpowiedzialna za to wobec całego plemienia. Uroczyście zakopano topór wojny z białymi. Są i Polacy z głosem doradczym. Brakuje dwóch szczepów, które poszły na Zachód. Wróciły po kilku miesiącach bez starych wodzów, musiały zabić ich,

3 — Papierowa dżungla

34

by mogły powrócić. Współżycie z białymi. Matki odnajdują dzieci wychowywane w toldach i osadzie. Wyrośnięte nie do poznania. Przy spotkaniach witają się szczerym podniesieniem obu rąk: Wspólnie doglądają stad i orzą ziemię. Po kilku latach Szawanci mają własne stada i zaorywują najlepsze ziemie. Budują trwałe domy. Wykształceni Polacy z San Paulo, sprowadzeni do osady, opracowują książkowo język Szawantów, układają najprostsze podręczniki drukowane na koszt rządu. W szczepie, na który odbył się ostatni zajazd, uroczyste otwarcie szkoły w obecności przedstawiciela rządu, dyrektora Wydziału dla Spraw Indian w Interiorze. W uroczystej mowie wspomniał z serdeczną radością, że to spotkanie z krwawo okrutnymi Szawantami jako z przyjaciółmi i braćmi, jest jego najradośniejszą chwałą w życiu. Ucieszenie mylił Polaków z Szawantami, a Szawantów z Polakami. By zaprzestać tego, nazywał wszystkich

Brazylijczykami.

— — —

Manże — doszedł go głos.

Uczucie jakby spadł na ziemię. Dno piekła i wyciągnięta czarna ręka z kawałkiem chleba.

No — odpowiedział łagodnie.

Wspomniał marzenia, które kiedyś wierzył, że urzeczywistni. Paliło się już światło. Brzęk kluczy, spędzanie do cel. Przed snem popatrzyli na siebie

35

z sąsiadem, pokiwali głowami, wymienili uśmiechy. Zgasło światło.

Najlepsza podróż byłaby jednak do Brazylii. Szawanci w smolistej czerni, ludzie z urojenia żyli; we własnym, indywidualnym życiu, w splocie wspólnego losu z nazwiskami, imionami, kształtem, barwą, w przestrzeni i w czasie. Ze snu marzeń, w nieuchwytnym przejściu zapadł w sen rzeczywisty.

Następnego dnia wstał późno. Przechadzał się po korytarzu ze swoją Szawantią. To byłaby i sprawa Polaków. Latarnik, Pan Balcer w Brazylii — co za ckliwe rozwlekane myśli. Za marzeniem winno iść działanie. Gdziekolwiek są, winni starać się opanować swój los. Najpiękniejszą jest osadnicza pionierskość,

nabywanie hartu w wytężonej pracy, wrośnięcie w ziemię i zespolenie z krajem. Potem powinni myśleć o przemyśle i budować go.

— Polone! Polone! — rozległo się wołanie.

Więźniowie przyłgnęli do ścian, zrobili mu przejście. Przy kracie strażnik odemknął i przepuścił go do dyżurki. Zobaczył białego; średniego wzrostu, w luźno skrojonym, ciemnym ubraniu, biała koszula rozpięta pod szyją. Pozdrowił go po angielsku, ten odpowiedział mu i wyciągnął dłoń.

Brudny jestem — wzbraniał się.

Z przyjaznym uśmiechem, zdecydowanie podjął ego dłoń i wymówił:

— Jestem z S.O.C.O.P.A.O.

Któż inny przyszedłby tu. Dobrze że w ogóle przybyłeś.

36

— Och — zaprzeczył takiemu przypuszczeniu. -Duzo pracy. Pokaż bilet statkowy.

Podał go wraz z legitymacją ZLP.

Uważnie przejrzał. Zwrócił mu legitymację, która szczęśliwie miała także i francuską wersję.

— A paszport? — wyciągnął dłoń.

— Nie mam.

Zaśmiał się, jakby to był żart.

– Zabrali mi w Ambasadzie Polskiej w Lagos w Nigerii — upewnił go.

– Dlaczego?

– Powiedzieli, że dla mojego dobra.

Nie rozumiał. Nie chciał się rozwodzić. Nie miał czasu.

– Tak bez paszportu — śmiał się z jego niedorzeczności.

Śmiali się obaj, tylko policjanci ciągle poważnie wyprężeni przy tak ważnej wizytacji. Sztywno trzymający się, ogromny Afrykanin nasłuchiwał z rezerwą, elegancko upięty i w krawacie. Stał przy płowym, sportowym samochodziku.

Myślałem, że w Jaunde da się co zrobić, nie wyszło.

– Czy masz pieniądze?

– Mam trochę.

– A dlaczego nie jesz?

– Najsamprzód umyć się muszę.

Agent znów popadł w wesołość.

– Tak. Jestem okropnie brudny.

– A tu nie można umyć się?

– Można ale po co. Wystarczy wejść tam, by poczuć się oblepionym mazią. Otrząsnął się z odrazą.

– Bilet zatrzymam. Będę starał się umieścić ciebie na polskim statku. To dla ciebie — wskazał na stół, na którym były dwie długie bułki nadziewane masłem i szynką, pęk bananów i dwie duże butle owite cynfolią.

– Co to, szampan? — zapytał ze śmieszną powagą.

– Piwo — odpowiedział skromnie, ale radował się jak uczynny człowiek.

W pierwszej chwili chciał odmówić przyjęcia. Uśmiechnął się i nawet nie podziękował.

Muszę już iść — wymówił zdecydowanie. Uścisnął mu dłoń i odjechał w zrywie.

: Popatrzył na kratę.. Zawsze przy niej skupiali się najgłodniejsi. Teraz powstał za nią ściśnięty, szamocący się kłęb. Twarze przyległe do żelaza. Pożądliwe, głodne oczy. Wyciągnęły się ręce. Pierwszy szczapił bułkę ogromny chłop, jego prześladowca. Drugą rozerwano w kawałki. Zatoczył ręką, że dla wszystkich i przecisnął pęk bananów. Piwo zostawił policjantom. Zelzały im twarze we wdzięcznych Uśmiechach.

Kiedy był już za kratą, więźniowie obstępowali go, spoglądali i dziwnie uśmiechali się. Wymieniali

między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

Wpatrywali mu się w oczy, jakby chcieli przeniknąć, czy jest przy zdrowych zmysłach i wzruszali głowami,

38

bo jak traktować kogoś, co sam. głodny, rozdaje pyszne kęski. To co przed chwilą uczynił, było nie pojęte. Dla nich jedzenie było najważniejsze. Tu miało swoją istotną wartość, wszystko inne było małe, ledwo widoczne. Agent. U niego przenikały się serdeczność z ironią. Był daleki od przejęcia się jego dołą, by wyrwać go stąd. Godził się z ustanowionym porządkiem. Był gotów do niesienia pomocy; przyniósł mu jedzenie, umieści go na statku. To ostatnie było najnormalniejsze, łatwe, bez kłopotów. Czeka go udręka w smrodzie i noce na betonie. Jeśli agent sam nie podjął się uwolnienia go, to powinien mu to powiedzieć. Przyjdzie jeszcze, a jeśli nie, to mu, się sam przypomni. A może nie jest w stanie uczynić tego, jest to poza jego możliwościami. Nie wolno mu go tak obarczać. Był w rozterce.

Nocą, plecami oparty o ścianę, siedział w celi W dyżurce rozmawiali policjanci, coraz ciszej, zamilkli. Pewno zdrzemnęli się.

— — —

Myślał o swoim dalekim mieście. Z ambasad nie było żadnych wieści. Znajomi żartowali z jego wyjazdu. Ci, którzy jeździli za granicę, radzili łapówki.

Obruszał się: takie wielkie czcigodne urzędy!
Uśmiechali się z jego naiwności. Prezes miejscowego
ZLP natarł na niego:

– Jedziesz, czy nie jedziesz?

Opowiadał o swoich staraniach.

39

– Jeszcze się łudzisz. To trwa już pół roku.

Opowiedział mu o Brazylii.

– Tam chodzą statki z PLO. Inna kompania. To tak
jakbyś zaczął od początku, a mogą i nie zgodzie się.

Posmutniał.

– Tamujesz innym, w PZM mówią, że ,stare wyjazdy
jeszcze nie wykorzystane. Jedź chłopie do Afryki albo
zrezygnuj.

Odbył już niemal podróż w papierowym gąszczu. W
jego wyobrażeniu ZLP znaczył wiele. Pismo z
Zarządu Głównego wsiąkneło jednak bez śladu w
Ambasadzie Meksykańskiej. Gdyby złożył drogę po
urzędach, sięgnęłaby Afryki. Ciągłe był w tym samym
miejscu co na początku. PLO to teren Gdyni. Daleko.
Przeląkł się urzędowego kołowrotu od początku.
Afryka była zupełnie pewna. Dookreśny rejs statkiem
wydawał mu się śmieszny. To tak jak tramwajem
przez miasto, w trochę większej skali. Powiedział
Fabianowi, że jedzie do Afryki ale chciałby tam
trochę pobyc, wróci innym statkiem. Fabian uśmieł

się, że wybiera się jak sroka za morze i zgodził się. Dostanie dwa bilety, ten na drogę powrotną bez daty.

Znów obskoczyły go wyobrażenia nowej podróży. Statki PŻM płyną aż do Angoli. Trzeba wybrać jak najdalej. Kilka portów europejskich i dużo afrykańskich. W starej Europie, widocznie, wszystko niewiele zmienia się. Długi proces narastania cywilizacji.

Dostrzegają ją kiedy zatruwa powietrze, wody

40

i ziemię, kiedy człowiek staje się robotem produkcyjnym, a jego żarłoczność materialna jedyną wartością kulturalną. Stara Europa zaczyna bronić się przed cywilizacją, chce mieć czyste powietrze, ocalić wartości duchowe, bez których nie wyobraża sobie kultury. Między człowiekiem kulturalnym a cywilizacyjnym większa jest różnica niż między tym drugim a dzikim. Afryka nie ma takich obaw. Przeskoczyła tysiąclecia. W dżungli nowoczesne miasta o śmiałej architekturze. Odrzutowce i człowiek z łukiem na skraju lotniska. Narzędzia kamienne i zautomatyzowane elektrownie. Mknące bolidy po asfalcie i juczne karawany ludzi. Zobaczy elegantów cywilizujących się przez masę niepotrzebnych ubrań. Ze też nie poduszają się. Przed takim małpowaniem ocalił Malajów sarong. Jak przyjęli wolność? Czy przysporzyła im radości i wróciła godność? Wyobrażał sobie porty, których na linii

zachodnioafrykańskiej było wiele. Tylko porty — zdeptane, zatłoczone, to wydawało mu się za mało. Kusił środek kontynentu; dziewiczy, nieskalany, o wielkich widokach, agresywnej roślinności, najbogatszej faunie i przeróżnych ludziach, żyjących jak przed tysiącletkami. Jeszcze pokolenie, dwa i tego wszystkiego już nie będzie. Europa, Ameryka potrzebują coraz więcej ogromnych ilości kopalin, ziemiopłodów. Miejscowe kraje już weszły w ostry proces cywilizacyjny. Za niewiele lat kontynent zmieni się nie do poznania. Jak to dobrze, że zobaczy go przed tą zmianą. Czy na gorsze — trudno przewidzieć. Będzie inny. Natu-

41

ry w pierwotnej formie już nie będzie. Ludzie wyrąbiają stare drzewa, pozabijają dzikie zwierzęta. Gdyby miał dużo pieniędzy, kupiłby sobie landrover z bardzo silnym motorem pędzącym cztery koła, z karoserią chroniącą przed drapieżcami. Dobry byłby chociaż stary dżip; odkryty, przewiewny, z zadaszeniem przeciw ostremu słońcu i tropikalnym ulewom. Oto rozkosze ludzi bogatych — zazdrościł. Możliwy byłby kajak, wioselka, żagle. Wielkie rzeki.

O, Niger — ponad trzy tysiące kilometrów. Jak świetnie układają się jego źródła. Zaledwie czterysta kilometrów od wybrzeża. Wielka łatwość osiągnięcia wspaniałej rzeki. Kolej z Konakry zawiezie go wraz z bagażem aż nad sam jej brzeg w Kouroussa. Stąd zaczęłby śródlądowy rejs, niewiele ustępujący

dalekością oceanicznemu. Szybki spływ na wartkim nurcie. Przełomy, pagóry, wysoczyzny porośnięte puszciami. Wśród wąskich, wesołych brzegów przyjazna rzeka jak w niedzielnej przejażdżce. Zamówione słońce, chłód wody, orzeźwiająca tchnienie z góry. Gwinea. Stada garbatego bydła pijące przy niskich dojsciach. Wszystko trochę jak nad Wisłą, w jakiejś bajkowej odmianie. Plantacje bananów, palm. Poletka jak działki przyzagrodowe. Kobiety, jak Bóg je stworzył, przy praniu, rozgadane, rozśpiewane. Dojrzałe brzuchy, gotowe na przyjęcie płodu. Młódki o węzowych brzuchach — od tańca i do tańca. Ustawiają się bokiem by osłonić krocze. Dumne z jędrnych pośladków. Piersi jak zawiązujące się kokosy, pysznie sterczące. Rozchichotane z nie-

42

paradności męskiej. Staruchy ośmielają je, by wadziły ostrzej. Liczne wioski. Przy każdym przybyciu zbiega wszystko co żyje, ciekawe, zdziwione, śmiech, małe święto. Dzielą się jadłem, pośłaniem, wielką gościnność. Czarne, stężałe noce, ogniska i tańce przy tam-tamach. Rytm brzuchów zawiera szczerą jawność pożądania, śmiałe wołanie o rozkosz, obietnicę i dziką rzetelność dotrzymania jej. Kiedy plecy zaczynają drżeć, ekstatyczny wybuch skandującego przyśpiewu i załamania się. Mężczyźni naładowani pożądaniem jak dynamitem, a jednak są biedni. Kobietom urządzają małe operacje, by złagodzić ich pobudliwość. Bronią się. Spływ skalistymi przejściami. Parkowa sawanna.

Mali, inne państwo. Ludzie surowi, ale bardzo gościnni. Seks ponury, jak coś nieczystego. Muzułmanie. Stada antylop przy wodopojach. Stołeczne Bamako, o starych tradycjach tutejszej państwowości. Arabski rys na twarzach. Sporo miasteczek jak ze średniowiecza. Żaglowe barkasy, płynące i pod motorami. Liczne rozwidlenia rzeki i wielkie bagna. Masa najróżnorodniejszego ptactwa, krokodyle, hipopotamy. Wioski na palach. Rzeka zbiega się. Timbuktu, jedno z najbardziej tajemniczych miast. Sahara podchodząca do lewego brzegu. Karawany pojące wielbłądy. Tuaredzy, rycerze pustyni. Rzeka kieruje się ku Południowi. Nowe państwo Niger. Pierwsza, duża katarakta. Stolica Niamej. Z prawego brzegu Dahomej i w końcu Nigeria. Kilka katarakt. Gęste, różnoplemienne zalud-

43

nienie. Duże statki rzeczne. Wiecznie zielone lasy. Ogromna delta podmokłej dżungli i ocean.

Byłaby to niezła książka, nie wątpił w to i teraz. Sprawy ludzkie związane z rzeką, od której wzięły nazwy aż dwa wielkie państwa, z nią rosłyby jak i ona, w barwie brzegów i nieba. Wszystko przenikające się wzajemnie dałoby jej charakter i wygląd. Rzeka kończy się w oceanie. Dążenia i marzenia ludzi mieszkających nad nią płyną w ocean ludzi Ziemi, by nabrać wielkości.

Kajakiem w pojedynkę byłoby za uciążliwe. Ze

znajomych tylko Jurek (Afrykańczyk) mógłby zdecydować się. Powiedział mu, podobało mu się bardzo. Wybrałby się, ale zdrowie nie pozwalało.

Nawet nie spostrzegł jak minął dzień. Przedziwnie odrywał się od miejsca, w którym można było tylko zdychać. Nawet więźniowie szanowali jego bycie ze sobą. Zadrgał mu uśmiech nie spotykanej nigdy radości.

Nocą przebudził się, bolały go plecy od betonu. Usiadł i oparł się o ścianę. Miał w sobie cały Niger. A jednak i z tego nic nie wyszło. Przemyśliwał nowe możliwości. Najłatwiej w jakimś porcie zejdzie ze statku albo go zgubi i pobędzie trochę w Afryce. Z Nigerią Polska miała wymianę kulturalną, ambasada nasza może mu ułożyć pobyt. Wszystko to wy-

44

dato mu się małe. Przeglądanie map Afryki wprawiało go w podziw.

Afryka w poprzek — nagłe olśnienie — od oceanu do oceanu. Od wybrzeża Kamerunu do wybrzeża Kenii nie było nawet cztery tysiące kilometrów. Przejście wyjątkowo krótkie, a bardzo efektowne. Najbardziej różnorodne ukształtowanie ziem, odmienność ludzi. Nie spotykane nigdzie indziej bogactwo roślin i odmian zwierząt. W legowisku Środkowej Afryki

Natura wszystko płodzi najhojniej. Wiecznie zielone lasy Kamerunu o potężnych drzewach, jakich nie widział nigdy w życiu. Pachnące po ciepłych, tropikalnych ulewach. Dróżki wijące się w zielonych tunelach, pełne chłodu przy najgorętszym słońcu. Ryk leśnego morza w gwałtownych burzach, w łagodnych wiatrach jak poszum fal. Liczne rzeki, wesołe potoki. Wyżynne garby przechodzące w wypryski skał. Królestwo potężnej zieleni, zwierząt i ludzi, żyjące w harmonii, w której śmierć jest naturalnym odejściem. Przedziwni Pigmeje, sami nazywający siebie po prostu ludźmi, w co pyszni Bantu powątpiewają dobrotliwie. Republika Środkowo Afrykańska, serce kontynentu. Eksport diamentów, jedyne co można w tych bezdrożach i ogromnych odległościach.. Majestatyczna Ubangi, szeroka jak Kongo. Nad nią lasy poprzetykane sawannami. Wioski coraz rzadziej, na samym wschodzie koczujące plemiona pasterskie. Południowy Sudan; Bantu, ludy nilockie, niespokojnie upojone wolnością. Pełna jezior, górzysta Uganda — Afrykańska Szwajcaria.

45

Kenia o suchym i niespotykanie przejrzystym powietrzu, o najzdrowszym klimacie na wyżynach. W morzu ludów afrykańskich, liczne wysepki białych plantatorów. Miejsce zabaw bogaczy całego świata w safari. Zbór arystokracji w Najrobii. W bibliotece były pobieżne, francuskie monografie, w nich na mapkach zaznaczone drogi. W Kamerunie nawet dość liczne i

łatwe aż do Bangui stolicy Republiki Środkowo-Afrykańskiej. Dalej szedł trakt brzegiem Ubangi. W Bangassu — nawet prom na drugi brzeg. Przez północne Kongo byłoby nawet prościej. Z Bangassu trakt pędził dalej brzegiem Bomu, dopływu Ubangi, wtedy wydawało mu się ciekawiej, przez pustkowia aż do Juby w Sudanie. Kiedy osiągnie Ugandę, dalej będzie to już łatwizna. Poprzednie drogi mogą mieć i kilometr szerokości, może i ślad zagaść po ostatniej ulewie, ale jeżdżą tam samochody. Nieczęsto, czasami tylko w porze suchej, ale jeżdżą. A więc autostopem. Trzydziestokilometrowy spacer to jak dla zdrowia. W takich odległościach na pewno są wioski i osiedla. Dzikie zwierzęta... Przecież tam ludzie żyją, chodzą i nawet cieszą się. A sami ludzie — podobni do niego. Kai-kai, to stare czasy i wcale nie tak częste jak to sobie wyobrażają biali. Miejscowi ludzie powiedzą mu, czy można iść dalej, czy lepiej poczekać na samochód. Wszystkich zagrożeń niepodobna przewidzieć. Trzeba zdać się na spostrzegawczość, orientację i dzielność. Samo czekanie na samochód ile będzie mieć uroku. Jak mocno przecinają się doznania, gdy ludzie są

46

tak inni. Droga w złym i dobrym wydawała mu się jak jedno wielkie święto. Kąpiel Natury, kuracja na jego nerwicowe serce. Trzeba zmienić tryb życia — powiedział mu kiedyś lekarz. Najpiękniejszą podróżą i największą przygodą w swoim życiu pożegna swój

wiek męski. Stanley w kilkadziesiąt strzelb był dobrym rzeźnikiem. Livingstone miał pokojowy nie mniejszy poczet z tubylców. Czasy się zmieniły. Teraz łatwo za to pójdzie w pojedynkę i w tym cały urok.

Zamiar takiej podróży znajomi przyjęli z wesołą niewiarą, nawet obawą. Podobał się tylko dwu osobom. W nich oczywiście i Witoldowi. „Śmiało — napierał — to nie będzie książka dewizowych pisarzy”.

— — —

Rozsądnie pomyślał o wizach, przynajmniej Kamerunu i Republiki Środkowo-Afrykańskiej, ale państwa te nie miały stosunków konsularnych z Polską. Postanowił jechać bez wiz i na miejscu postarać się o nie.

Popędził do PŻM. W Wydziale Pasażerskim atmosfera kontemplacyjna, ledwo mu odpowiedziano na powitanie. Kłopotliwe spojrzenia.

— Kiedy najbliższy statek płynie do Kamerunu? — zapytał.

Za tydzień, „Tychy” — odpowiedział elegancki pan kierownik wydziału.

47

— Proszę umieścić mnie na nim — był tu już

poprzednio po informację, więc znano go.

– Miejsca mamy już zamówione na dwa miesiące — dramatyczne niedomówienie.

– Może jeszcze jest — napierał.

– Niech pani zobaczy — wydał polecenie. Młodsza dama w skupieni zaglądnęła w teczkę.

– Jeszcze jest — nieśmiało odpowiedziała, jakby dającemu polecenie wyrządzała przykrość.

Skoczyło mu serce z radości. Zaraz dostanie bilety i pójdzie sobie stąd.

– Właściwie można by pański rejs unieważnić — wymówił kierownik — wolno, znacząco.

Zadrzał. Zrozumiał że był pod wpływem uwag dyrektora. Mimo wszystko był to jednak wydział dla pasażerów a nie nad pasażerami. Inaczej by z nim rozmawiano, gdyby zapłacił w dolarach. Wypominano mu darmochę. Stłumił gniew.

– Och, poprzednio nie pasowało mi — odpowiedział z uśmiechem.

Maszynistki skrywały śmiech. Praktykant po szkole handlu zagranicznego usztywniał twarz.

– Proszę paszport — wymówił kierownik. Przeglądał uważnie kartka po kartce w nasilającym się zdziwieniu.

– Mając także bilet powrotny bez daty, myśli pan zatrzymać się w Afryce, gdzie pan ma wizę pobytową?

Potrzebne by były raczej tranzytowe. Chcę sobie urządzić mały spacer przez Kamerun i Republi-

48

kę Środkowo-Afrykańską, ale z tymi państwami nie mamy stosunków dyplomatycznych. Myślę, że uzyskam je już w tamtych krajach.

– A w innych państwach myśli pan wychodzić na ląd?

– Tak.

– Nie ma pan przecież żadnej wazy.

– W obcych portach urzędnicy imigracyjni przychodzący na statek dają zwykle zezwolenie na wyjście do miasta. A w Afryce wychodzi się i bez nich.

– Kapitan statku będzie miał z panem duży kłopot — mówił jak wyrocznia.

Młodsza dama aż westchnęła tragicznie, jakby tym kapitanem był jej ojciec. Inni tłumili uśmiechy. Co za tramwajowy pasażer — mówiły spojrzenia.

Zapałał szacunkiem dla skromnych konduktorek. W czasie największego nasilenia ruchu, każda w godzinę wypełniała roczną normę Wydziału Pasażerskiego PZM. Każda z nich mogłaby sprzedawać bilety w

szacownym wydziale. Trafi się obcokrajowiec, nauczyłyby się kilkudziesięciu słów angielskich. A jednak nie zostałyby przyjęte — tu obowiązuje celebracja.

Kierownik powiedział datę odejścia statku i kłopotliwie podał mu bilety. Podziękował i szybko wyszedł, by zaczerpnąć tchu.

Potem przypomniało mu się, że przecież może mieć pięć dolarów. W Banku Polskim młody chłopiec po oglądnięciu paszportu i biletu, jak wielki fetysz wyłożył pięć zielonawych, zaczarowanych papierków,

49

Dolary bajecznie tanio, opłata za kupno ich wyniosła kilka razy więcej. Transakcja miała coś z łamigłówki.

— A gdybym miał własne dolary? — zapytał.

— To musi je pan sprzedać Bankowi Polskiemu a my znów panu — odpowiedział wielki fetysz.

Schował dolary. Zmiął kwit, który dostał, by wrzucić do kosza.

— Co pan wyrabia — pohamował go chłopiec. — To potrzebne do odprawy walutowej.

Rozprostował kwitek i ułożył z walutą.

Paszport, bilet, dolary — co za możliwości, rozpierało mu pierś.

Pamięta, było to już na statku. Przeglądał w chlebaku cały swój dobytek.

– Zapomniałeś co? — zapytał Witek.

– Właśnie patrzę — odpowiedział.

– Zapomniałeś wziąć pieprzu trochę.

– Po co?

– Byś lepiej smakował im.

– Och, muszą obejść się bez pieprzu.

Zaśmiali się uciesznie. Taki był Witold. Pędził go w drogę i uodporniał na przesady. Poszedł porozmawiać ze znajomym kapitanem. Kiedy wrócił, zastał go w gromadce kobiet, dołączył do nich. Panie były pierwszy raz na statku. Wszystko zadziwia je, są lekko podniecone, podoba im się. Jedna z nich, pani Łucja architekt z Krakowa, jest pasażerką.

Szczecińskie znajome odprowadziły ją, co jest wydarzeniem i dla nich. Opowiadają o swoich podró-

4 — Papierowa dżungla

50

zach, ile to przedtem było obawy i jak dobrze wyszło. Jedna z nich każdego lata, kiedy zakwitają rzepaki, koniczyny, wrzosy, wyjeżdża z pszczołami. Wśród kwitnących pól, wraz z małą córeczką biwakuje w cygańskim obozie. Przechodzą burze, czasami nocą trzeba iść po wodę do rzeczki. Nie boi się. Była

łagodna, harmonijna i pachniała miodem. Po kolacji zbierają się do odejścia. W pożegnaniu tkliwe ale zaraz oznajmiają, że same pojechałyby chętnie, gdyby tylko mogły. Chcą przejść się do tramwaju, podpatrzeć życie portowe, tym bardziej, że idzie z nimi Witold ogromny, opiekuńczy. Wśród mglistych światła znikają na brzegu.

Pozostał sam. Popatrzył na miasto twarde, nieprzyjazne, a jednak przyjął je za swoje. Poszedł do kabiny, zastał w niej współmieszkańca, także pasażera. Kilka słów. Statek ma odejść nocą. Legł w koi, by wyspać się i wstać na odejście.

Następnego dnia statek ciągle stoi przy nabrzeżu. Jeszcze huczą krany. Pasażerowie schodzą się do salonu oficerskiego na śniadanie. Nieporadni i nieśmiali. Steward wita ich przyjaznym uśmiechem, wskazuje wolne stoliki, że można wybrać, sadza. Pędzi z jajecznicą, sadzonymi, na boczku. Podsuwa chleb, nalewa herbatę, i kawę. Pasażerowie wchodzą w swoje role, każdy różnie. Przy stoliku pod samą burtą siedzi maleńka mama z dorastającą córą i młodszym chłopaczkiem. Trzymają się tego, są w rodzinie.

Usiadł pierwszy z samego skraju. Przysiedli się już

51

znajomi; pani Łucja i współlokator z kabiny z ostentacyjnym — czy można? Jest jeszcze jedna pasażerka faliście bujna i ruda, siedzi samotnie. Z

oficerami są kobiety, piękne jak żony marynarzy. Wchodzi kapitan, w ubraniu khaki z dystynkcjami, wysoki, smukły i młody. Skinieniem głowy i cichym „dzień dobry” kłania się wszystkim. Jest w tym coś pięknego, że pierwszy. Siada przy swoim stoliku od burty, pośrodku salonu z widokiem na wszystkich. Ma ostre oczy i pewno wie o tym, skupiony jak sam ze sobą. Rezerwa, dystans, panowanie. Oficerowie dalej zajęci sobą, tylko pasażerowie kierują oczy na niego. Pierwszy kończy śniadanie i odchodzi kapitan. Wychodzą i oficerowie do swych zajęć.

Zostają pasażerowie; nieporadni, zagubieni, w osamotnieniu. Spoglądają po sobie szukając wsparcia..

Statek jest pełen kobiet, jak przed odejściem. Napotyka je w korytarzach. Zagnieździły się w kabinach, stwarzając z nich dom, łóżnice. Przebywają w nich w ciągłym oczekiwaniu. Marynarze odrywają się od pracy w każdej, możliwej chwili i pędzą wprost w objęcia. Przy obiedzie spowici w tkliwe uśmiechy, opiekuńczość, nawet w zadumę. Kobiety rzucają czar. Mężczyźni poddają się, trochę zmieszani swoim szczęściem. Ostatni dzień. Jest i nalot smutku. Po skończonym obiedzie pozostają pasażerowie, nie mają ochoty pójść do swych pustych kabin. W gromadce bronią się przed samotnością. Steward przyniósł kilkudniowe racje owoców i soków pitnych. Mała biesiada. Wykręca z radia muzyczkę.

Przygnębienie jest jednak tak dotkliwe, że nie wychodzi żadna rozmowa.

Opuścił ich. Zaniósł swój przydział do kabiny i wymknął się do świetlicy oficerskiej piętro wyżej, W biblioteczkę ze sto książek, w nich kilka dobrych. Trochę pism sprzed kilku miesięcy. Poprzerzuczał literackie. Jak mało w nich do czytania, po tak niewielkim opóźnieniu. Na pewno nie jest więcej i na bieżąco, gdyby nie świeża ciekawość. Szybko zjadł kolację, by nie poddawać się nastrojom. Wziął gorącą kąpiel w kucki, w wannie bardzo krótkiej, za to głębokiej. Wyparzył się do rozluźnienia mięśni i nasycił gorącem. Kiedy wychodził z łazienki jego współtowarzysz kreślił plany techniczne. Porozkładał papiery na stole, kanapkach, pochłonięty całkowicie. Bez słowa kropnął się w łóżko i szybko zasnął.

Przebudził się. W ostatnich dźwiękach poznał, że to telegraf do maszyny a więc odchodzą. Ubrał się starannie we wszystko co miał. Przydałyby się jeszcze długie gacie. Nałożył cienką koszulkę sweterko-wą, na nią khaki, slipy i dunkry, bardzo lekki sweter, skarpety i „apostoły”. Miał jeszcze krótkie spodnie na tropik. W kilka dni przeskoczą zimne strony a potem ustawiczne słońce, nawet sweter nie będzie już potrzebny. Jeszcze powolny chrzęst mielącej śruby, ożywia, raduje. Nareszcie statek przebudził się do biegu. Na pokładzie szalupowym oblepia go zimna, mokra noc. Wyżej na mostku Łucja; w długich spodniach, wysoka, smukła, uważna, wszędzie jej peł-

no, chciwa widoków, nastrojów, wrażeń. Spostrzegła go, kobieco przerażona znikomością jego przyrodziewku. Sama w kożuszanej wiatrówce. Chce mu przynieść drugą, też skórzaną ze swojego sakwojażu dobrze zaopatrzonego. Nieodparta. Nie mogąc pohamować jej uczynności zaprowadził ją koło komina. Blachy aż parzą w dotyku. Narasta przestrzeń wody, statek odsuwa się od nabrzeża. Na nim skupione w gromadkę kobiety, wznoszą ręce, jedna powiewa chustką, by być lepiej widoczną. Coraz bardziej mgliste aż wchłania je noc. Statek sunie rzeką. Na stocznjach spokój, światła przytłumione mgłą. Od strony Stołczyna rozbłysk i krwawo-rude odbicie na niskich chmurach. Potęguje się, kłębi w mgle jak wybuch wulkanu. Spust surówki w hucie. Zamiera w nagłych opadach i gaśnie. Trochę świateł przy Policach. Łucja wypuszcza się na skrzydła, by popatrzeć za burty. Przychodzi do komina grzać się. Na Zalewie nie widać brzegów, ledwo widoczne boje, światła bram. Zszedł do świetlicy oficerskiej. Pościągał zasłony, zgasił światło. Duże okna po obu burtach i na tylnej ścianie. Doskonała widoczność. Chciał porwać za sobą Łucję, ale ona woli mieć dotyk nocy na skórze i śledzić żeglugę jak marynarz. W świetlicy przechadza się od burty do burty. Nie widać żadnych świateł, Zalew jak misa pełna mgieł. Za oknami trochę rozjaśnienia — to brama wejściowa do kanału. Wyszedł koło komina. Smużka ledwo widocznej wody, po obu stronach

podmokłe chaszczę w skłębionych oparach. Ciemne ściany lasu. Zama-

54

zany rozbłysk Świnoujścia. Przemknęli wydłuż pustych nabrzeży. "Wymarłe miasto. Po wyjściu z kos falochronów statek trochę wznosi się i opada. Zadźwiewał telegraf. Zwolniony chrzęst śruby. Podpłynęła pilotówka. Pilot jak duch zsunął się do niej. Odpłynęła. W taką noc, że też ludziom chce się tak bawić. Znow telegraf. Zadudniła śruba. Statek dał susa niecierpliwie przynaglony. Nareszcie. Pojawiła się Łucja. Spoglądają na plażę — trochę świateł. Pusto, widok jak pod biegunem.

— Teraz już niedługo będzie ciepło — ożywia się Łucja i pewno myśli o jego skąpym ubraniu.

— Słońca, słońca — wydobył z westchnieniem. Plaża znikła. Ponura, zimna noc wessała statek. Zszedł do kabiny, by pospać. Łucja jednak została.

W Kilu już byli przed południem. Ze śluzy wyszedł fiński pasażer średniej wielkości — białe cudeńko. Pokłady pełne pasażerów. Ubrani w doskonałe wełny i zamsze dające ciepło i rozkosz. Kobiety barwnie, z ekstrawagancją, śmiało. Na pewno leciał po słońce południa. Za nim weszli oni bez czekania.

Umundurowani kaprowie, składni w pracy. Spokój, porządek. Dokmistrz przy pulpicie w oknie na piętrze, w galonach jak kapitan. Kilka prostych czynności, rutyna. Wielkie poszanowanie hierarchii ważności. Na

pustym nabrzeżu płowa dziewczyna, ściągnęła owal twarzy. W sportowych butach mocne nogi, wyżej smukła kibić. Spozrzegł jej oczy na sobie, uśmiech. Opowiedział swoim. Przedłużają, Pod-

55

szedł do. relingu. Wyszła naprzeciw z dziećmi w dłoniach.

– To twoje? — zapytał po angielsku.

– Tak — odpowiedziała tuląc je do siebie.

Coś poszemrali aż dzieci wybuchają śmiechem i zaprzeczają.

– Unsere tante!

– Chciałbyś mieć takie?

– Bardzo — wybuch szczerości.

– Czy twoi krajanie nie myślą o tobie koso, że rozmawiasz z Polakiem?

– Nie. To moja sprawa — strząsa płową głową. — To ty mógłbyś nie rozmawiać ze mną, sprawiliśmy wam tyle złego.

– Och, na ciebie nie można się gniewać.

Dzieli się uśmiechem jak chlebem, z dziećmi też.

– Lubię patrzeć na statki idące w świat — mówi w zadumie. — Przepływa dużo waszych, rybackich.

Wasi chłopcy mają taką gorącość i tańczące oczy — śmieje się filuternie jak dziewczyna.

— A wyszłabyś za Polaka za męża?

— Tak — odpowiada swobodnie.

— Jest wielka wrogość między naszymi narodami — wymówił ze smutkiem.

— Dlatego tym bardziej byśmy się kochali — w oczach niebieska mgiełka.

— Jesteś romantyczna. - — Trochę — przyznaje z uśmiechem.

— I sentymentalna.

— Też

56

— Prawdziwa Niemka.

— Jak najbardziej. Co nie wyglądam...

— Najzupełniej.

Kiedy myślał o wymianie adresów, statek już sunął wolno. Dziewczyna z dziećmi podążała po nabrzeżu.

— Urodziłam się w Szczecinie podczas wojny — zawołała.

— Przyjedź kiedy — odkrzyknął.

— Przyjadę!

Statek nabierał pędu. Pozostała. Wzniósł rękę.

Podniosła je gromadka tuląca się do siebie.

— Gute rajse! — biegły za nim głosy.

— Zdrowia i szczęścia! — odkrzyknął. Opadały i wznosiły się ręce. Zakryła je przestrzeń,

ale w sercu został mu żar życzliwości tych obcych ludzi i na zawsze.

— — —

Zgrzyt otwieranych zamków. Mroczny beton, rzeczywistość. Zmorzony bezsennością, majakami, przylgnął głową do chlebaka. Głosy w drzwiach. To jego czarny przyjaciel wypychał ciekawych. Zanikły w śnie. Kiedy ocknął się, zobaczył w drugim rogu połamane, czarne ciało, tylko domysł czynił je żywym. Spiekotliwa cisza. Założył sandały i powstał. Ściągnął z siebie koszulę, poprawił krótkie spodenki. Powiódł palcami po włosach i twarzy. Samo ciało narzucało potrzebę ruchu. Na korytarzu chłopcy do-

57

stali „należne” im franki. Szybkie ich słowa popędzane głodem. Odmowa strażnika. Usiedli przy kracie, posłusznie cierpliwi, oczekujący okazji kupna bananów. W pomieszczeniu gromadzkim pokotem leżące czarne ciała, w śnie, w zamroczeniu, oby

przetrwąć południową duchotę. Swobodnie jak jedyny żywy, rozpoczął spacer pustym, długim korytarzem. Samoistnie, bez zamysłu, natychmiast porwał go stąd natłok myśli...

— — —

Czerwone dachy na wysokim brzegu — Holtenau. Wysokimi masztami przepłynęli pod mostem. Nad nimi pędziły maleńkie samochodziki. Łuki przęsł, długie podjazdy na stalowych wspornikach — wszystko lekkie, wymyślne, jak zabawka. Taki most przydałby się w Świnoujściu — nasunęło mu się. Lepszy jednak byłby tunel. Rendsburg — statki sunące przez miasto, niemała atrakcja dla mieszkańców. Tłum na promie czekającym na drogę, z wlepionymi w nich oczami. Na widok Polaków wzrasta napięcie. Ładne panny uśmiechają się jednak, a młodzi chłopcy podnoszą ręce na powitanie. W mgle odpływa miasto. Podmokłe pastwiska z kołtunioną, zeszłoroczną trawą, lustra wody w rowach. Dalej, gdzie trochę wyżej, orne pola. Maleńkie laski nagich drzew. Pustawe domki gospodarstw. Pustawe pokłady statków idących na Bałtyk. Mglisty ziąb. Wąską nitką wody przepływa statek wśród lądu. Doskona-

58

ły gościniec, wykładany kamieniami po brzegach; oznaczone odległości, nocą oświetlony. Ciągłe mijają

ich statki różnych bander, idą przed nimi i za nimi. w obie strony. Duży ruch. W Brumsbutel wychodzą ze śluzy dwa nasze trałowce rybackie. Pełno na nich chłopstwa. Pożądliwie spoglądają na wszystko, wygłodzeni ładu. Nie ma wśród nich grubasów, wychudli, szernieli ale oczy naprawdę im. tańczą. Stoją na pokładzie niewiele ponad metr nad wodą. Ich stateczki z jadowitym nalotem rdzy. Nie najlepsza stal. Mostki nie sięgają pokładu „Tych”. Marynarze z porządnego frachtowca spoglądają chełpliwie z góry. Zbiedzeni pracą rybacy odpowiadają im ż ironią, śmieją się wprost z porządnie odpasionych marynarzy. Nie brak wśród nich i grubasów. Kiedy przesuwał się tuż przy mich drugi trałowiec wychylił się za reling i zawołał:

– Skąd to?

– Spod Labradoru — odkrzyknął najbliższy rybak.

– Jak połowy?

– Niezłe. Dwa pełne ładunki zepchnęliśmy w Saint John's i z pełnymi lukami do domu.

– Długo byliście?

– Wszystkiego ponad dwa miesiące.

– Teraz prędko do mamy, pod pierzynę — niecierpliwił się jakiś śmieszek.

– Wielki czas — odkrzyknęli jego kamraci, z zardartymi głowami wpatrzeni w pasażerki.

Mama cofnęła się o dwa kroki od relingu. Nie

59

udało jej się pociągnąć za sobą córki, ciekawskiego podlotka. Ta wzniosła rękę. Podniosły się na trałowcu i na „Tychach” w pożegnaniu. Kiedy odpłynęły, mama odetchnęła swobodniej, uśmiechnęła się nawet i wymówiła:

– Ci rybacy są gorsi nawet od marynarzy.

– Weseli chłopcy, mają poczucie humoru — broniła ich Łucja. — A marynarze to najporządniejsi ludzie pod słońcem.

Ledwo wyszli z kanału wzięli nowego pilota i zaraz wskoczyli w szerokie ujście Łaby w rozlewiskach i łąkach piaszczystych. Brudna i mętna woda, płyną oznakowanym nurtem od boi do boi. Duży ruch, ciągle idą statki w obie strony. Motorówki, jachty, żaglówki, łódeczki, mimo że zimno jeszcze, już się pokazują. Pełno ich w dużych przystaniach żeglarskich z lewej strony, niedaleko morza. Z prawej plamy świeżej zieleni — wiklina puszcza listki, za nią bagienne pastwiska. Dużo fabryk z własnymi nabrzeżami. Ściemnia się. Z lewej na wysokim brzegu w zabudowie willowej wyblaskują światła, narastają łąną na południu. Z bogato iluminowanej rafinerii tryska i płonie na wietrze szkarłatna żagiew. Stocznie maleńkie, duże i ze 100 000-tonowym zbiornikowcem, tu wprowadzają już napęd atomowy. Późnym wieczorem „Tychy” cumują do nabrzeża

daleko od centrum miasta.

Nie wołano go do odprawy celnej ani paszportowej. Dowiaduje się, że może wyjść na ląd bez wizy, na przepustkę. Ta jednak kosztuje pięć marek.

60

Straszna cena. Swoje. parę dolarów, które ma, schowa na opłacenie koniecznych wiz afrykańskich. Mógłby wyjść na ląd bez przepustki. Nie ma żadnej kontroli a więc i ryzyka. Nie czyni tego jednak. Przypomina sobie uprzedzenie kierownika Wydziału Pasażerskiego. Postanawia trzymać się mocno. Nie chce drażnić przeciwności. Mimo późnego wieczoru, pędzi na ląd kto tylko może z załogi i wszyscy pasażerowie. Statek opustoszał. Przeszedł się po pokładzie; drzemiący wachtowy przy trapie, w dwa pierwsze luki idzie żelastwo i duże paki. Dokerzy pracują wolno, dokładnie, tak będą całą noc. Rozbłysk świateł po drugiej stronie rzeki ciągnie, kusi innością. Spacer wśród obcych ludzi, w nieznanym mieście staje się przygodą. Widok pięknych kobiet zachwyca. Jest zupełnie sam w świetlicy oficerskiej. W telewizorze „Zgaduj-zgadula”, scena i widowia poważne, zdyscyplinowane. Długi pas reklam mydła i jadła — całe góry. Ujęcia jednego z licznych kabaretów. Przyciężkawe, duże kobiety. Tutejsze pojęcie wielkości to masa. Niemcom nie zagraża przerafinowanie — popadają łatwo w pornografię.

— Ale maszyny — dziwi się mechanik, który

wpadł tu z wachty.

Statek drży. Szum agregatu pędzącego prądnicę. W obrazkowcu walka wolnoamerykańska dwóch gigantów. Akcentowana brutalność i okrucieństwo. Wstrząs silne doznania. Podobna przeplatanka nie kończy się, może to tu trwa całą noc. Znużony schodzi do kabiny.

61

Śniadanie przy stoliku je tylko z inżynierem. Łucja pojechała zobaczyć krewnych w Nadrenii. Dziś ma wrócić. Inżynier ma jeszcze zadziwienie w sobie. Mówi trochę o swoich wrażeniach z miasta, z uśmiechem jakby zawstydzenia. To co widział w Sankt Pauli wyszło zupełnie poza jego wyobrażenia. Sam z tradycjami rodzinnymi, trochę natrzęsa się ze swojej porządności, tym bardziej trzyma się jej mocniej, by się nie zgubić. Kupił sobie niełamliwe, dwie, białe koszule, prawdziwe non-iron, to pewno było najważniejsze. Miał chętkę na wiatrówkę ze szlachetnego zamszu. — Straszna cena, poza jego możliwościami.

Mamie pozostał z lądu chytry uśmieszek. Przy stoliku rodzinnym trzyma się mocno. Córunia ma cielecą minę, chłopaczek wyspany. Ruda jedząca samotnie, siedzi z dąsem, zaniepokojona. Portowe życie uderzyło ją mocno, jeszcze jest pod wrażeniem. Pasażerki były w mieście z oficerami ze statku. Wymieniają ze sobą spojrzenia porozumiewawcze.

– Dziś też pójdziemy — mówi ruda.

Mama przytakuje.

Marynarze po statku snują się jak w smole — też pozostałość z lądu. Zdziwieni i smutni. Widzieli tyle bogactwa. Są bardzo poważni. Powolni dokerzy bez zrywów i przerw, rytm ich pracy jest niezawodny.

Statek ma odejść nocą. Kto może pędzi na ląd.

Rano spotykają się zmizerowani. Ciągłe stoją przy tym samym nabrzeżu. Łucja zmęczona, radosna. Jej przyspieszona podróż w głąb lądu odbyła się sprawnie.

62

Wprost ze statku, oficer paszportowy, samochodem służbowym zawiózł ją na stację, wykupił bilet poza kolejką, uzyskał połączenie telefoniczne z jej krewnymi, potem wsadził ją do wagonu. Na końcowej stacji zabrali ją krewni też w samochód i zawieźli do siebie do domu. Serdeczność i niekończące się mowy. Stryjek jest inżynierem; twarda praca, tu nie ma zabawy. Jego żona z ołówkiem w ręku prowadzi gospodarstwo. Nie jest im źle, ale tęsknią do kraju. Łucja pozostałaby dłużej, gdyby wiedziała, że statek jeszcze nie odejdzie.

Dźwigi huczą jednostajnie, ciągle, napełniają statek do pełności. Nie pójdą już do Antwerpii po ładunek dla Duali w Kamerunie. Będzie musiał wysiąść w Lagos w Nigerii i wziąć inny statek idący tam. Mała

komplikacja.

Wieczorem odchodzą od nabrzeża. Znów szeroki gościniec Łaby. Odstaje świetlista łuna aż ginie. Łucja ciągle na mostku jak marynarz. Przesuwają się świetliste pławy. W ujściu dosięga ich fala. Mały krąg widoczności. Z Cuxhaven ledwo przebija się omiatający snop światła latarni. Coraz większa fala: mokry, oblepiający ziąb.

Ciągle zimno, mimo że płyną na zachód. Nikt z pasażerów nie wytyka nosa na pokład. Skupiają się w mesie oficerskiej. Następują zwierzenia przy stole. Łucja chce obejrzeć świat i fundnęła sobie podróż okrężną do ostatniego portu w Matadi w Kongo i z powrotem. To bardzo wygodne. Opłaciła sama, prawie szesnaście tysięcy złotych. Ruda sama

63

nie wie po co jedzie, nudziła się i fundnął jej mąż, dyrektor jednej z kopalń śląskich. Mama jedzie do męża inżyniera, pracującego w Nigerii, wraz z całą rodziną na stałe. Dzieci pójdą do miejscowej szkoły dla białych. Ostatnie słowo akcentuje wyniośle. Są w kontakcie z jedną z gdańskich szkół. Wraz z mężem będą pomagać im brnąć przez polskie podręczniki. Może to się uda. Chciałaby też, by jej dzieci ukończyły wyższe uczelnie w Polsce, gdzie to nic nie kosztuje, gdy na obczyźnie majątek. Mąż jej ma boya do posług. Wspólnymi siłami urządzi dom. Maleńka mama jest sprytną i pyszną mieszczańeczką, nie

pozbawioną odwagi i wyobraźni. Inżynier ze wspólnej kabiny jedzie do Casablanki w Maroku, na urlop do krewnego. Rozejrzy się, gdy będzie możliwe zostanie tam na stałe, potem ściągnie rodzinę z kraju.

W końcu wszyscy patrzą na niego, trochę dziwacznie. Podobnie patrzyli i poprzednio. Wiedzą jaki jego zawód, przyjmują na wiarę, jest to intrygujące. Każdy musi mieć zawód, więc podaje się za tego, którym próbuje być. Jego postawa, mina, sposób bycia zaprzeczają temu wyobrażeniu. Nie czynią tego i dwie chude książeczki, których nikt z nich nie czytał. Czuje się trochę jak hochsztapler. Wszyscy skupili na nim oczy, uśmiechają się, teraz rozszyfrują go. Kolej na niego, zwierzenia za zwierzenia. Mógłby uniknąć. Nie robi tego. Stara się być prawdziwy. Mówi o swoim afrykańskim- zamierzeniu.

64

— Zjedzą pana — zanosząc się od śmiechu, woła Ruda.

— Z pięcioma dolarami — mama wyrzuca to jak hańbę — żartuje pan.

Inżynier powściągliwie kręci głową, nie wie co powiedzieć.

— Wybrałabym się z panem, gdyby to było możliwe — mówi Łucja.

Teraz wszyscy dziwacznie patrzą na nią. Łucja podejmuje to odważnie i obstaje przy swoim.

Przy obiedzie odmówił, kiedy steward chciał mu napełnić talerz zupą. Usłyszał poufny głos mamy, wystarczająco głośno, by usłyszeli wszyscy.

– Radzę panu jeść, potem może być różnie.

– A może lepsze odchudzanie — wymówił z medytacją I oficer.

– I tak zjedzą i tak zjedzą — zdecydował potężny szef steward.

Rozeszły się powstrzymywane śmiechy.

– Pozwólcie państwo, jeśli ktoś chce zostać świętym — napominał do tolerancji kapitan.

Ale śmiech przedarł się już i dzwięczał swobodnie.

Śmiał się ze wszystkimi, ale to nie rozładowało szyderstwa. Widział w sobie wparte oczy, w nich zgryźliwą nicość i okrucieństwo. Niepoczytalny wariat. Ze też komuś zachciewa się tak utrudniać życie. To oni bronili swojej małości, prawa do sutych posiłków i normalnego, łatwego życia. Trudno mi było w to wszystko wprost uwierzyć — byli z narodu,

65

który podczas wojny miał tyle heroizmu i dzielności. Kto wie czy z druzgocących burz dziejowych nie przeżywa najwięcej ustępliwych, dostosowujących się, biorących na przetrwanie, a więc wcale nie najlepszych.

— W czołgu to bym się wybrał — zagrzemiał szef steward.

Komiczne uśmiechy przyznały mu rację. Przy posiłkach kłuły go ironią spojrzenia. Nie wypadało go atakować pojedynczo więc czynili to gromadnie. Porządnie odpasieni bronili swojego stylu życia.

Po kolacji w przestrzennej mesie załogowej jak salon, stawało się coraz tłoczniej. Miał być wyświetlany film. Marynarze pociągali z butelek piwo, gawędzili półgębkiem skracając oczekiwanie.

— Wacuś, byłeś w Hamburgu na lądzie? — pytał z ironią marynarz chłopaka z pokładu, sprzątającego ze stołów talerze.

— Pewno, że byłem — odpowiedział z siłą usuwającą wątpliwość.

— Podobało się? — dopytywał się drugi.

— Tak sobie — znów w tonie obytym.

— „Pod blachą” też? — cisnęło go pytanie.

Wacuś popatrzył na pytającego i sam wtrącił z ironią:

— Tak jakbyś nie widział gołej dupy.

— Ale tyle ich i w oknach wystawowych — a jak się prężą, pokazują swoje warsztaty.

66

— Atrakcje światowe, jedyne miejsce na świecie —

zagrzemiał stary zejman.

– Ta Murzynka to klasa.

– Hoo! — zawyli.

– W oknach wystawowych gołe dupy, nie podoba mi się — przyznawał się Wacuś.

– Wacuś już ma żonę — odezwał się jakiś głos.

Przytakiwali, jakby przyznawali, że mają też. Prawie wszyscy byli żonkosiami. Żona i dzieci to jeden z najważniejszych, niepisanych warunków pływania we flocie. Tak obarczany marynarz nie dawał dyla za granicę. Był utemperowany i obłaskawiony, nabierał wiele cennych cech społecznych. Jego szmugiel; koszula włożona na siebie, wiatrówka zamszowa, zegarek na rękę, stawał się śmiesznym przestępstwem. Byli twardymi ciułaczami centów z dodatku dewizowego poza ojczystymi portami, na tramwaj czy autobus. W obcych portach kilometrami dymali na piechotę, co wychodziło im na zdrowie i edukację o świecie, a za uciulane centy kupowali bluzeczki, sweterki, jakiś ciuszek dla żony. Doskonale wiedzieli gdzie co kupić lub sprzedać. Teraz otwarcie mówili o Hamburgu, najczęściej wymieniali koszule non-iron i ortaliony, podawali ceny. Coraz częściej spoglądali na niego, aż siedzący najbliżej zagadnął.

– Czy to prawda, że wybiera się pan przez Afrykę?

– A co — wybrałby się pan ze mną?

– Ale z łóżkiem i lodówką.

– Z całą ekspedycją.

67

– Przynajmniej w kilka karabinów.

– Nie boi się pan? — pytał Wacuś.

– Trochę — odpowiedział bez obłudy.

– Zjedzą pana — wymówił stary zejman. Podniosły się śmiechy. Była w nich i nutka współczucia — że ktoś taki frajer.

– Specjalnie biorę ze sobą trochę pieprzu, bym im lepiej smakował — powtórzył żart Witolda. Uciszyły się śmiechy. Przypatrywano mu się uważnie, -jakby nie byli pewni, czy jest przy zdrowych zmysłach.

Marynarze widzieli nowoczesne miasta na pobrzeżu Afryki, ale o wnętrzu jej mieli wyobrażenie, jaką była przed stu laty. Takie samo wyobrażenie, mimo różnicy wykształcenia, mieli oficerowie i pasażerowie.

W końcu przyszedł elektryk, puścił maszynę filmową. Na ekranie pojawił się Winnetou. Zachwył załogi. Najlepszy film, jaki widzieli od roku.

Po filmie wyszedł na pokład szalupowy. Chmurna noc. Nie było tu już dojmującego zimna jak na Bałtyku. Płynęli w rozciągłej linii statków zdążających jak oni na zachód. Inne, dążyły po tej

samej linii na wschód. Niektóre rzeźbione oświetlone jak świąteczne choinki. Czasami mijają ich blisisko aż zachodzi poszum wody. Wszystkie pędzą na pobrażnym łuku. Od południa widać światła z lądu. W dzień od tej strony widać jakieś mierzeje z kreską białego piasku, czasem z wieżą kościelną. Przy niej przez lornetkę Łucji pojawiają się czerwone dachy domków

68

Wszystko to strasznie płaskie, ledwie wystaje znad wody. Podobno to jeszcze Niemcy Zachodnie.

Potem łańcuszek takich samych wysp Holandii i płaski skrawek pobraża Belgii. W Cieśninie Kaletańskiej w słońcu, pokazały się białe skały Dovru, pagóry za francuskim brzegiem. Pełno statków, ruch jak na statkostradzie. Wszędzie pędzą, by przy dobrej pogodzie jak najszybciej minąć ciasne przejście. Odchodzą brzegi, statki idą szerzej.

Po każdej nocy cieplej, pogodniej. Za Bretanią statek położył się prawie na południe. Z lewej oceaniczna zatoka w ujęciu lądu. Ciemny granat wód, wpadający aż w czerń, często wrzą jak w ogromnym kotle. Biskaja. Przed wschodem słońca smugi snujących się oparów nad wodą. Ciepło.

Późnym wieczorem kapitan zagarnął pasażerów z mesy oficerskiej do siebie. Uroczysty pochód. W małym saloniku ścisk. Kapitan ledwo poutykał pasażerów na siedzeniach. Na stoliku doskonały

koniak, smakowite zakąski. Miast mowy kapitan podniósł

kieliszek:

– Zdrowie pasażerów.

– I pań — dorzucił I mechanik. Panie mrużą oczy, że mocny, ale smakuje im. Kapitan osobiście dolewa, pomaga mu starszy oficer.

– Zdrowie kapitana — podejmują panie. Potem zdrowie załogi, za pomyślną podróż, zdrowie pań — wszystko w przyspieszonym tempie, ale kobiety trzymają się dzielnie. I mechanik włącza adapter. Rytmicznie uderza dżez. Mechanik dygoce

69

całym ciałem aż puszcza się w tan. Wysoki, dobrze zaokrąglany o chłopięcej twarzy, podobny do Amerykanina. Jest doskonałym mechanikiem. W pracy zawodowej uzyskał swoje maksimum życiowe. W ubraniu khaki, z wolnej wachty, swobodny. Dobrze tańczy, trochę śmiesznie — ale to tak ma być.

– O, jak pracuje bioderkami — podchwycił kapitan.

Panie zaśmiały się — drażni je to. Mama poderwała się. Bardzo maleńka przy mechaniku. Nieźle im to jednak idzie. Podrywa się starszy oficer, gotów się poświęcić. Panie kolejno odmawiają, aż została mu Ruda. Fizycznie powinna podobać się mężczyznom, w psychice jednak ma coś odpychającego. Łucja

mimo że strzelista jak wieża gotycka, trochę jak tyczka, bardziej przyciąga. Ruda ma ochotę do tańca. Smukły oficer chowa się w jej kłębach. Trudno mu nią powodować, ale taszczy ją dzielnie. Pierwsza para tańczy z wigorem nastolatków, kilka razy zahaczyli o Rudą aż zeszła trochę zawstydzona. Daremnie potem próbował wyciągnąć ją do tańca mechanik. W ciasnocie salonika można się gnieść nie tańczyć. Pojawia się z nowymi butelkami szef steward, odkorkował je i postawił na stole.

– Może jednego — proponuje kapitan.

– Dziękuję. Mam jeszcze trochę liczenia i pisanie — odmawia i odchodzi.

W propozycji picia była tylko mowa o jednym a nie zaproszenie do stołu, mimo że szef steward jest kierownikiem działu. Uważany widocznie za

70

dział mniej ważny, pomocniczy, gdy pokładowy i maszynowy są równorzędne. Dlatego, jest tu tylko zastępca kapitana i szef mechaników. Jedna z pań jest żoną młodszego oficera. Mąż jej — może pełni wachtę. Ściślej przestrzega się tu hierarchiczności. Młody kapitan baczny o swój autorytet. Pasażerowie to zło konieczne na frachtowcu. Ładunek wielce kłopotliwy, nie leży sobie w luku i czeka spokojnie na port przeznaczenia. Według pięknego obyczaju morskiego, kapitan wobec pasażerów ma obowiązki: ojca, matki, władzy świeckiej i duchownej. Jednym ze zwyczajów

jest wieczór kapitański, właśnie odbywający się w saloniku. Na wielkich, pasażerskich liniowcach, jest to wieczór bogactwa, fantazji i szaleństwa. Płynący nocą statek po burzliwych rozłogach oceanu jeszcze podsyca ludzkie szaleństwo. Jest to wieczór nie do zapomnienia w życiu. I tu mógłby odbyć się w przestrzennej mesie oficerskiej, ale wtedy przyszliby wszyscy oficerowie, nawet asystenci. A kapitan widocznie nie życzy sobie tego. Tu w małym gronie jest uczynny, gościnny. Trochę odstaje w szybkim tempie picia. Nie ma żadnych rozmów, strzępy słów o niczym. Kobiety trzymają swój czar na uwięzi, wszyscy zachowują rezerwę.

— Tak długo bez żon, domów. Jest wam smutno panowie- — tchnęła Łucja kobieco.

— Żonkosie posmucą się. My trochę odetchniemy — droczy się kapitan.

— My jak my, ale ci co wożą węgiel do Japonii — wymawia starszy oficer.

71

— Wiele obcych statków wozi tam nasz węgiel — wtrącił i on.

— Włosi budują dla nas dwie „Ziemie” — odpowiedział kapitan.

— I w Anglii też — dorzucił starszy oficer.

— A gdzie te nasze siedemdziesiątysięczniki z

suchego doku w Gdyni? Z planowania pała i to w czasie kiedy pływają już dwa razy większe masowce — pędził dalej.

Zaczęto się uśmiechać jak z niedorzeczności.

– Takie przecież nie wejdą na Bałtyk — mówił skromnie jak o czymś dobrze znanym.

Skandynawowie już ryją Sund, za trzy lata mają przechodzić takie — sprowadzał słuchających do rzeczywistości.

– Nasze porty długo nie przyjmą takich — kapitan mówił rozciągliwie, jakby to było na dziesiątki lat.

– Mamy teraz pięćsetkilometrowe wybrzeże — powiedziała ostentacyjnie Łucja.

– Na obu krańcach porty, a w środku pustynia. Dania nie ma żadnych bogactw naturalnych, piasek i wodę. Ma dostęp do morza i to jest najcenniejsze. Z całego świata przywozi surowce, przetwarza w wysokowartościowe towary i znów wywozi w świat. Nasze wybrzeże trzeba zagospodarować morsko, no i flotą.

– Co znowu! Flota jest — wybuchnęła mama. Mężczyźni uśmiechają się z jej patriotyzmu morskiego, a może z jej niewiedzy.

72

– Flota jest — powtórzył wesoło — ale około siedemdziesiąt procent naszej zamorskiej wymiany

towarowej wozimy statkami obcych bander. Kilka-
dziesiąt milionów dolarów bulimy rocznie.

— Skąd pan to wszystko wie — woła mama.

— Wie się co nieco. U nas przeważnie pisze się „o
wspaniałym rozwoju”. Ale z flotą tak nie jest.

— W porównaniu sprzed wojny? — głosi kapitan.

— W porównaniu z Norwegią. Wszyscy śmieją się z
niego.

— Tak nie można — łagodzi starszy oficer.

— Dlaczego nie można równać z trzymilionową
Norwegią, gdy Polska ma trzydzieści milionów luda.
Obecnie pływają statki, z których każdy jest trzy razy
większy od całej naszej floty sprzed wojny. Takie
równanie jest śmieszne.

— Dużo naszych statków eksportujemy i to najwięcej
do Związku Radzieckiego — mówi starszy oficer.

— Zupełnie nie wiadomo jak tam z cenami —
podniosły się głosy.

— To dobrze, że eksportujemy, powinniśmy jeszcze
więcej. Oczywiście po cenach światowych. I dla
siebie też powinniśmy zostawiać więcej statków.
Dlatego musimy budować nowe suche doki i większe
od gdyńskiego. Stawiać nowoczesne stocznie jak w
Arendalle.

— Ho! ho! — śmiano się z niego. — A skąd nato? —

przeciwstawili się murem.

– Trzeba by jeszcze zacisnąć pasa. Każda złotówka

73

włożona w statki szybciej zwraca się niż w innych przemysłach i większy zysk daje później. To się opłaca.

– Jeszcze zaciskać pasa! Jak, pan śmie! — wołała mama.

– Krwiopijca — zawołał ucieszenie w jej tonie starszy oficer.

– Można by jeszcze całą gospodarkę narodową prowadzić przede wszystkim w widzeniu rozwoju gospodarki morskiej. Po dziesięciu latach gospodarka morska ciągnęłaby za sobą całą gospodarkę narodową. I to byłby najszybszy rozwój naszego kraju.

– Boże, i jeszcze się upiera — podniosła larum mama.

– Dyktator — precyzował oficer.

– Wydaje mi się to wspaniałe. Olśniewa mnie — przyznał się szczerze.

– Pana olśniewa, ale ludzie żyją bez olśnienia — smutnie pokiwał głową kapitan.

– Wszystkie państwa socjalistyczne mają małe floty, niektóre bardzo małe. Bandery zachodnie zbierają u nich ciężkie żniwo. To my moglibyśmy być dla tych

państw rolwą żeglugową. Nie umieliśmy uchwycić czasu. Straciliśmy szansę historyczną.

— Poszło — westchnął starszy oficer jakby się zapomniał.

— Z tą rolwą, czy to trochę nie za dużo na nas — śmiał się kapitan, a zresztą niech się o to martwią w Warszawie.

74

— Gdyby nie zaniżano pierwszych planów żeglugowych a następne były większe, szłoby ku temu. Mała Norwegia po wojnie zwiększyła swój tonaż o trzynaście milionów ton. Ci od spraw morskich w Warszawie nie są orłami.

— Czy pan się tu za dużo nie wymądrza — podcięła go mama.

Wszyscy wybuchnęli zgodnym, śmiechem.

— Powiem wam jeszcze, że taką rolwą będzie Związek Radziecki. I to dobrze. W 1980 r. Będzie miał dwadzieścia pięć milionów ton.

— Bardzo zadowolony jestem, że wymusiłem na dyrektorze i zamontowano mi angielski radar — ściągnął go do rzeczywistości kapitan.

I mechanik puścił „letkisa” i dygotał w takt. Łucja podniosła się, że już czas. Za nią kobiety. Inżynier odszedł już dawno, by rysować plany techniczne. — Szkoda, mogliśmy lepiej potaćzyć — żałowała

mama.

– Współczuję — ubolewał kapitan.

Uroczyście dziękowano mu. Nie było chwiejby. Panie przyzwoicie szły do swoich kabin.

Czuł się bardzo ożywiony. Nie chciało mu się spać. Przez świetlicę oficerską wymknął się na pokład szalupowy. Spowiła go ciepła noc. Wreszcie zostawili za sobą północ. Tam w jego kraju wiosna była tylko kalendarzowa. Mokry ziąb przeciągał się z zimy, zacinający śnieg nie był rzadkością. Podwinął rękawy

75

koszuli za łokcie. Przechadzał się tuż za szalupami, od burty do burty, swobodnie, w rozprężeniu, tajał. Puszyste niebo, żółtawe gwiazdy. Ocean tchnął w twarz oparem. Światła statków nieruchome w oddaleniu. Daleko z lewej burty migotały światła z hiszpańskiego brzegu. Romantyczny kraj o muzyce i tańcach jak płomień. Wiejący stamtąd zefirek niósł zapach rodzącej już ziemi. Zachciało mu się tam być i żałował, że nie mógł. Odejście z tego statku byłoby radością. Przerażało go wspomnienie ostatniego wieczoru. Ludzie po prostu chcą się spokojnie napić wódki, a on zmusza ich do myślenia nad problemami nie do rozwiązania. Ze też ciągle musi wydziwiać, albo z tym narzuceniem dyskusji, i on chciał się czegoś dowiedzieć więcej, nauczyć. Przeważnie nie było tak, ale naiwna wiara nie opuszczała go nigdy. Był przerażająco pryncypialny, zasadniczy. Albo to

wygadanie się z afrykańską podróżą. Po prostu chciał być uczciwy. Gdy inni mówili o swoich podróżach, czuł się zobowiązany do powiedzenia i o swojej. Poczynania innych były najbardziej normalne, gdy jego wydawały się innym herezją, bezwstydem. No bo jak — nie miał pism, patentów, stopni naukowych mianujących go podróżnikiem, ubrania-munduru, książki czekowej z pokaźną sumą dolarów, no i brody. Nie powinien wyjawiać zamiarów swojej podróży. Nie powinien na wieczorze kapitańskim wygłaszać zagadnienia wychodzącego z koleiny myślenia słuchających. Wyskoczył jak Filip z konopi

76

i dostał za to cięgi. Chciał wnieść coś odkrywczego, ale ludzie -nie chcieli tego. Za takie uważał także swoje poczynania, ale ludzie przyjmowali je jako śmieszna niedorzeczność. Niewiele sobie robił z opinii ludzkiej, zostało mu to z młodości, ale nie był już młody i odporność na nią była już słabsza. Zszedł do kabiny. Inżynier jeszcze kreślił plany. Spokój i uładzenie aż uderzyły go. Inżynier wiedział jak i kapitan do jakiego zdąża portu. Położył się w koi i sen zdjął z niego myśli.

Słońce i słońce. Odtąd nawet noce po gorących dniach były go pełne. Płyną w nie zanikającej linii statków, różnych wielkości i urody jak na świątecznym festynie. Dwie skaliste wysepki z domkami. Trochę dalej statki płynące od lądu, inne zdążają tam. Lisboa. Wszystko co żyje na statku rozdziwia się.

Pasażerowie wraz z oficerami zajmują pokład szalupowy. Wstydliva bladość skór. Swoje duże ciało Ruda najchętniej układa w leżaku. Wszystko się kremuje, smaruje. Marynarze porozkładali materace, koce na podwyższeniu rufy. I pomyśleć, że w kraju słońce jest tylko w marzeniu i tęsknocie.

Stale przebywa na pokładzie, spałby tu gdyby miał hamak. Niechętnie chodzi do mesy. Przy posiłkach mama często wymawia głośno „nasz podróżnik”.

– I planista — dorzucił raz kapitan. Mama podnosi pytająco oczy.

– Od spraw morskich — wyjaśnia poważnie, jedząc z kapitanem przy jednym stole starszy oficer,

77

Przy wybuchu śmiechu śmieje się i ona wraz ze wszystkimi, ale to nie rozładowuje szyderstwa.

Na pokładzie czuje się swobodny. Ogrom przestrzeni wód, nieba. Ludzie przyjmują to w milczeniu. Wobec majestatu świata tracą zgryźliwość. Ciągłe w zaoczeniu ledwo widniejący brzeg Portugalii. Do odbiorników radiowych ciśnie się język rozlewny, bardziej miękki niż hiszpański. W muzyce, śpiewie dźwięczy Afryka, Indie, Brazylia nawet Chiny. Egzotyka narodu bardziej odrywającego się od Europy niż Grecy. Za Przylądkiem Św. Wincentego większość statków kieruje dzioby na Cieśninę Gibraltaru. Wiele z nich przejdzie Suez w drodze na

pobrzeża Pacyfiku, antypody. „Tychy” płyną na Południe.

— — —

— Polone! Polone!

Wstrząsnęły nim głosy. Chór potępieńców przywoływał go do rzeczywistości.

— Agent „Socopac” — w życzliwych głosach niosła się ważność wydarzenia.

Przeciskał się wśród ustępujących mu ludzi. Askar czekał przy otwartej już kracie. Przeszedł do dyżurki.

Uklonił się agentowi, by nie podawać brudnej dłoni, ale ten mu ją uścisnął tym bardziej. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

— Nie mogłem przyjść pręcej. Jestem zapracowany. Dużo roboty — mówił szczerze, nie grzecznościowo.

78

— Nie przychodź tu. Szkoda czasu. Rób wszystko, bym wyszedł stąd — odpowiedział łagodnie.

— Staralem się. Komendant policji nie chce się na to zgodzić — wymówił bezradnie.

— Więzicie mnie bezprawnie.

— Jesteś tu nielegalnie — przypominał mu.

– Jestem najzupełniej legalnie. Mam wizę tranzytową przez ten kraj, wydaną przez Ambasadę Kamerunu w Lagos.

– Gdzie ją masz? — brnął w śmiesznym dociekaniu.

– W paszporcie — brzmiało to jak ironia. :— A paszportu nie masz i nie możesz się wykazać.

– Powinniście zadepeszować urzędowo do Ambasady Kameruńskiej w Lagos czy została wydana taka wiza. Nic łatwiejszego.

Zatoczył bezradnie głową.

– Nie chce wam się tego zrobić, dlatego tu muszę gnić — ciął ostro.

– To już nie my — jakby mówił: Francuzi — to samodzielny kraj.

Teraz on uniósł znacząco głowę, jakby niezupełnie godził się z tym.

– Jest tu potwornie — rzucił spojrzeniem w gardziel korytarza. Wejdź tam do środka, poczujesz się brudnym jak wyjdiesz. W Oświęcimiu też na gołym betonie, na głodnego, trzymano ludzi do pieca. Tu już nie jeden umarł z głodu.

– Tobie to nie grozi.

79

– Nie wiem.

– Masz jeszcze pieniądze?

– Mam, ale nie jem.

Agent zwrócił się do askarów, ci przyznali, że naprawdę nie je. Potem znów patrzył na niego.

– Ładnie to z twojej strony, trudzisz się — mówił dalej i spojrział na przyniesione przez niego jedzenie, leżało na stole, takie samo jak poprzednio. — Nie będę jednak jadł.

– Protestujesz — dobrotliwie uśmiechnął się z jego naiwności.

– Cóż mam robić w tym okrutnym, papierowym bezsensie.

Agent przyglądał mu się życzliwie i nie brnął w wywody.

– Za tydzień przychodzi wasz statek „Wisłok”. Wsadzę ciebie na niego — oznajmił radośnie.

Oby przyszedł jak najszybciej — powtórzył mu wesoło.

Agent wyciągnął dłoń. Po uścisku skierował się do sportowego wozu. Przed odjazdem zawołał głośno:

– Powinieneś jednak jeść.

Pożegnał go uśmiechem.

Askarzy sprężyli się na baczność, mimo że nie był dla nich żadną urzędową osobą. Obdarował ich piwem.

Byli to inni, niż poprzednio. Przy kracie ścisk. Krzyk jakby pękały kości. Przy pomocy askarów najgłodniejszym rozdał jedzenie. Sam popił tylko wody i wyszedł na korytarz do spaceru. Ustępowano

80

mu z drogi. Szybko wchodził w siebie aż zupełnie oderwał się od rzeczywistości.

Potem była Casablanca... Krecha jasnego piasku rozległej plaży. Smukłe wieżowce w zwarciu białego miasta. Przed nim niepokazny port. Pilot zabrał ich w ruch i zaprowadził za falochron na beczki. Wielka bryła elewatora posypana fosfatową skałą w proszku. Przy nabrzeżach pełno poutykanych statków. Kamienica nadbudówek dużego pasażera francuskiego. Jest i japoński frachtowiec z sześć razy większy od „Tych”. Od odległej przystani jachtowej oderwał się ślizg, za nim dziewczyna na nartach. Mignęła w szalonym pędzie jak zjawą i zakryło ją nabrzeże. Następnego dnia alarm szalupowy. Wszyscy już przedtem wiedzieli, że odbędzie się, w rwanym dzwonienu jest jednak niepokój. To kiedyś może być naprawdę, nurtuje podświadomość i popędza. Pośpiech trochę żartobliwy z uśmiechem. Załogi biorą się żywo, czyja szalupa siądzie pierwsza na wodzie. Mechanizmy działają doskonale. Na motorówce zahuczał motor. Marynarze schodzą po linach. Z pasażerów nikt się nie kwapi, tylko dwunastoletni chłopczyk wydziera się matce. Ubezpieczony liną zręcznie schodzi po sztormtrapie. Po nim zdecydował

się inżynier wiecznie kreślący plany —wielkie wydarzenie.

W ostatniej chwili zszedł i on. Zza dziobu wypłynęła druga szalupa, z niej głosy wyzwania do wyścigu. Gną się chłopcy przy ręcznym napędzie na śrubę. Przepędzili ich na motorze, kierują się do wyjścia

81

z portu. Za falochronem szalupa wdziera się pod górę na wysoki wał. Dziwy. Podrzuciło ich dobrze kilka razy. Odpryski zmoczyły im grzbiety. Uśmiech przebija się z twarzy chłopaczka. Przejęty jest i inżynier. Zabawa daje dramatyczny smak, jakby to było nocą, na huczącym w burzy oceanie. Ledwo tchnie północny wiatr, z porykiem idą wały przyboju. Czasami skotłowane jak po burzy. Niebo bez chmurki z ogromnym słońcem, a chłód i przejmująco zimna woda. Dziwne to pod tą szerokością geograficzną. Opłynęli boję wejściową, wracają. Na drugiej szalupie marynarze porzucili techniczny napęd i jęli się odwiecznych wiosł. Na statku radosne głosy kobiet jakby wracali z długiej odysei.

Jeszcze przed południem statek podszedł do nabrzeża. Na pokład wdarli się ludzie z urzędów, agenci, robotnicy. Wzdłuż burty obleżenie, blokada handlarzy z barwnymi materiałami przewieszonymi przez ramię, objuczeni skórzanymi torbami. Trzymają w rękach rozpostarte tkaniny. Bogactwo barw, dominuje zieleń, złoto i czerń. Głaszczą je ze zmysłową rozkoszą.

Wpierają oczy w marynarzy.

– Staszu! kup narzutę — wołają ucieszenie po polsku.

– Torba! torba! — Staszu kup torba — zachęcają inni.

– Staszu! za drogo chcesz — targują się nasi.

– Staszu, ty wiesz, arabska skóra — przypomina Arab.

Są delikatni dla siebie. Mówią sobie po imieniu,

82

każdemu jest Staszu, bo Arabowie nie umieją wypowiedzieć Stasiu. Skóry jak safian, doskonałość wyprawy. Wełna w narzutach ma delikatność i prężność jedwabiu. Targują się w języku polskim, kiedy tego braknie pomagają sobie angielskim, francuskim, gestem, mimiką. Polacy faworyzują tych z językiem polskim. Jest to miłe zaskoczenie daleko od kraju, wśród obcych. Arabowie wiedzą o tym dobrze i szybko uczą się polskiego.

Schodzi inżynier, jest już spakowany, mocno wzruszony. Zastanawia się czy nie zapomniał czego.

– Boże, nie mam wódki a to najważniejsze — wymawia żałośnie.

Po chwili niesie ją za szyjkę jak zdobycz. Wódka była już pod celniczą plombą, ale szef steward odstąpił mu swoją butelkę. Inżynier żegna się ze wszystkimi serdecznie. Opiekuńczy steward pasażerski niesie mu walizki. Sam dźwiga worek podróży. Przed trapem

wpada w objęcia oczekującego go krajana. Całują się po polsku. Wchodzą do samochodu i odjeżdżają w jednej chwili.

Na nabrzeżu handel nasila się coraz bardziej, Przeszły już droczenia i wstępne rozmowy. Wszyscy już znają ceny, są ustalone. Wiedzieli już przedtem z poprzedniego rejsu, ale zawsze są próby zawyżenia swojego towaru, a oberwania ile się da drugiej strony. Następuje handel wymienny. Marynarze znoszą koszule flanelowe, czym bardziej pstre, jarzące się kolorami, tym większy budzą zachwyty. Poznańska Nivea ceniona tu wyżej niż amerykańska, odchodzi-

83

luzem, w pudełkach i całych kartonach. To samo ze Staropolską — wodą kolońską oplataną wikliną, co za wymysł, to robi wrażenie. Arabowie skraplają się i pociągają z uznaniem nosami. Marynarze ciągle biegają do kantyny statkowej po nowy towar, biorą na zapis z potrąceniem z pensji miesięcznej w : złotówkach. Dodatku dewizowego dostają tyle co by , kot napłakał, więc handlują. U Arabów często handel jest sztuką dla sztuki, potrzebą wyżycia się.

Najsamprzód starają się zainteresować, zdobyć odrobinę sympatii, aż wejdą w zaufanie. Przy tym skarżą się dowcipem, argumentacją. Jaki przyśpiew głosu, co za mimika, improwizacja.

Niepoznacznie, w jednej chwili zjawia się policjant, Krzykiem i groźnym wyrzucaniem rąk wypędza z

nabrzeża handlarzy, ale ci przechodzą tylko z miejsca na miejsce. Policjant wpada we wściekłość. Lawina słów. Groźnie macha rękami. Spadł beret z głowy, rozsypały się komuś paczki z pudełkami kremu. Skrzywdzony staje nad swoim dobytkiem, wyrzuca ręce do nieba, do ludzi, żali się swoją krzywdą, zdobywa współczucie i czas, zbiera swój dobytek i uchodzi. Policjant szaleje. Razy jednak nie są groźne, najczęściej trafia powietrze. W końcu zostaje sam na pustym nabrzeżu. Spogląda na marynarzy, którzy uszli na statek, przeraża ich swoją grozą. Patrzy na handlarzy wyglądających spod hangaru. Uśmiecha się porozumiewawczo jakby mówił: — „Ja muszę być groźny ale wy się tym nie przejmujcie”. Odchodzi zwycięsko i handel zaczyna się od nowa.

84

Poszedł na pelengowy mostek, jedyne puste miejsce. Nisko na pokładzie i nabrzeżu mrowie ludzkie, wschodni rejuwach dochodzi tu szumem bez napastliwości. Zdjął spodenki, zrzucił sandały. Na kilkumetrowej szerokości przechadza się boso, w slipach. Wielki basen obrzeżony koralikami statków różnych wielkości, kształtów, barw, przybyłych z różnych stron, by zawiązać się w egzotyczną kolbę. Poprzez hangary widać w drugim basenie maszty, nadbudówki drugiej kolidy, której soliterem jest pasażer francuski. Zachciało mu się popływać. Woda nie za czysta, potem można się umyć pod prysznicem. Przypomniały mu się lodowate bryzgi w szalupie i

powstrzymały go. Od strony przejścia z drugiego basenu pokazał się ślizg, za nim ścieżka piany i dziewczyna na nartach. Za nim drugi ślizg i dziewczyna. Rosną w oczach. W szalonym pędzie przemknęły blisko burty, wyprężone jak struny. Rozwichrzone krucze grzywy. Jarzą się w uśmiechu. Opłynęły basen wokoło, i jeszcze raz. Z panamskiego statku sfrunął chóralny okrzyk. Lecą w parze, zakosami. Rozjeżdżają się, zjeżdżają, rytmicznie podnoszą nogi. Niesamowita łatwość, swoboda i te jarzące się uśmiechy. Wdzięk. Rzucają czar. Marynarze w porcie odkładają pracę, pożądliwie wpatrują się, są bezradni. Topielice zuchwale, zwiewnie igrają ich pożądaniem, znów pędzą jedna za drugą. I tuż przy „Tychach” pierwsza zniknęła w wodzie. Wypląnęła krucza główka. Ślizg zatoczył koło, topielica chwyciła

85

pływający uchwyt na końcu nylonowego sznurka, ślizg zaryczał i znów pograżyła się w wodzie. Zapragnął być blisko niej, przy niej, z trudem powstrzymał się. Kiedy wyrwała się z wody i odfrunęła z oczu, uczuł żal. Nic łatwiejszego jak skoczyć na głowę z pelengowego mostka. Dopłynąłby do niej i powiedział, że jest piękna, że puściłby się z nią w pęd. Potem wdrapałby się na ślizg, jeśli nie protestowano by. Trochę nie wypadało, trochę zimna woda. To starość, kiedyś nie zastanawiałby się chwili. Potem wyszedł na ląd. W paszporcie miał podbitą przepustkę

i to bez opłaty. Nie było żadnej kontroli. Do miasta wiodła szeroka aleja, obrzeżona liliami czy irysami o ogromnych, szkarłatno-fioletowych kwiatach. Gęsto rosły palmy. Wysoko na smukłych kolumnach zwarte sklepienie zieleni z arabeskami liści-gałęzi. Na dole cień, prawie półmrok i chłód. Na ławkach gdzieś leciwiec, pustawo. Z obu stron alei na asfaltach nieprzerwane potoki aut, jakby tu jazda samochodem była najważniejsza. Z lewej strony wille, kamienice pełne balkonów, tarasów w odcieniach jasnych. Z prawej, we wnękach bez frontowych ścian, ciągnęły się sklepy z całym zawartościami na chodniku: porozwieszanych dywanów i makat z egzotycznymi obrazkami, wyrobów ze skór, starych broni, siodeł, uździenic nabijanych srebrem, w bogatej ornamentacji. Pozwijane dywany, bele jedwabi, wyprawionych skór w barwnych stosach. Na nich zastawy do kawy, herbaty, porozrzućane pufy i na jednej z nich w cieniu markizy

86

drzemał właściciel. Syci bogactwa, dostojni, nie mieli przebojowości portowych handlarzy. Na placu przy końcu alei tłum rwał w pośpiechu we wszystkie strony, w nieustającej jeszcze szybszej mowie. Stał przy pniu palmy, tęgiej osłonie. Z lewej wysoka zabudowa dzielnicy europejskiej, w niej strzelające w niebo białe wieżowce. Z prawej stare miasto jak niska i rozległa ruina. Skierował się w prawo, środkiem dość szerokiej ulicy, właściwie drogi bez oznaczonych

chodników, z kopnym pyłem kiedyś białego piasku, niesionego przez wieki, startego ludzkimi stopami w czarny proch. Z boków nieokreślone ruiny, budy. Ulica zawężała się. Zupełnie ścieśnione, w niepojętym chaosie domy-ruiny. Ulice-ścieżki, w ciągłych zakrętach, dużo ślepych bez przejścia, jak autentyczne łamigłówki. Stosy rupieci, odpadków, których nie można wyminąć. Publiczny kran. Kolejka kobiet z dzbanami po wodę. Dalej osioł z wodą w baranich skórkach zatarasował przejście. Przyłgął do wnęki drzwi. Pozostałości murów, w wygrzebanych wnękach mieszkają ludzie. Ulica-ścieżka pnie się wysoko. Zatrzymał się. Wokół rozległa ruina obsypująca się coraz niżej. Z niej tchnął mdlący zapach ludzkiego łajna. Jakże doskonałym pomieszkaniem był namiot Beduina. Umierające miasto, którego nic nie uratuje. Jego agonię powinien przerwać huk dynamitu i łoskot spychaczy. Czym prędzej się to stanie, tym lepiej.

Z niemałym trudem znalazł drogę do portu. Było jeszcze widno. Za rufą „Tych” jak niespodzianka

87

pojawił się „Beniowski”. Przeszedł się wzdłuż niego. Na pokładzie miał już ściągnięte pokrywy luków, gotowy do pracy. Pusto i cicho. Leżał sobie spokojnie przy nabrzeżu i załoga miała chwilę wypoczynku. Przy trapie marynarz, przy nim Arab oglądał aparat radiowy wielkości dwóch pudełek papierosów. Dalej, potężny chłop ledwo sunął, przystawał, uważnie

oglądał burzę.

– Co, rdza już a prawie nowy — odezwał się do idącego. Ten ściągnął twarz, oglądnął go.

– Na nowym najwięcej roboty, by go utrzymać. Nie najlepsza stal — wzruszył głową. Ja tu bosmanie. A ty z tego? — spojrzął na „Tychy”.

– Tak. Jestem pasażerem.

– Widziałem ciebie kiedyś — mówił pewnie, biorąc go za marynarza.

– Podczas wojny.

– Nie. Byłem w kraju. Czemu teraz nie pływasz?

– Spadłbym z masztu. Kiedyś bardzo lubiłem tam robotę.

– Ja bym ciebie nie posłał na maszt, są młodszy.

– A u was jest kto z wojny?

Nie.

Pytał się o kompanów z tamtych czasów, kiedyś było dużo strachu i radość aż z wygranej wojny.

– To już nie marynarze a oficerowie, kapitanowie — podniósł głos. Znał ich. — Pływają trochę przy domu na holownikach. Staruszkowie na emeryturze, Niektórzy odbierają cumy na nabrzeżach.

– Nie najłżejsza robota — współczuł im.

– Muszą się dobrze zapierać przy wyciąganiu z wody pięćdziesięciometrowej manilówki. Umieją dobrze podać rzutkę.

– I to może się przydać.

– Bardzo ważne przy dobijaniu.

Od „Tych” dobiegła wrzawa. Ruchliwa gromada obwieszona pstrymi koszulami nieustępliwie atakowała statek, jakby chciała się wedrzeć na niego.

– Ciągłe handlują, tylko u was spokojnie.

– Odchodzi Nivea, Staropolska. Tu lubią się perfumować. Nasze chłopaki muszą zarobić, by nie zabrakło im na autobus.

– A ty nie handlujesz?

– Nie. to taki monkey business — wymówił z pogardą. Zacznie się i u nas. Idziemy z Japonii. Też pokupowali aparaciki na tranzystorkach, kamery — po chwili zastanowienia podjął poprzedni wątek. — Spokojnie, za spokojnie. Mogliby już ciągnąć ładunek. Czekamy — odsapnął głęboko i skręcił głową. — Jesteśmy już trochę zmęczeni. Chce się do matki, popatrzeć jak dzieci urosły. Ledwo się uściśnie babę, dobrze nie przyjrzy dzieciom i znów napół roku.

– Powinniście mieć wolny cały postój w kraju, na statek mogłaby przyjść rezerwa.

– Mogłaby zastąpić marynarzy, oficerów. Kapitan jest najmniej potrzebny. Ja jestem uwiązany. Oderwę się na dzień, dwa, może zastąpić mnie mój marynarz.

89

Obcy zgubi się w zakamarkach. Z maszyny też nie mogą odejść wszyscy.

– Na cały postój moglibyście zabierać na statek baby z dziećmi.

– Niektórzy tak robią ale są tacy, którzy muszą odpocząć od żelastwa.

– Taki los.

– Taki los — powtórzył.

– A bosmana najgorszy.

Przyjął go z uśmiechem, z odrobiną męskiej dumy. Rozluźnił się. Jakby okrzepł, że ktoś go zrozumiał. Uścisnęli sobie krzepko dłonie i rozeszli się jak starzy znajomi.

Przy „Tychach” ciągle monkey business. Pusta mesa oficerska, nie było nikogo i w świetlicy nad nią. Wielka sterta świeżej prasy z kraju. W tygodnikach literackich dużo nowych nazwisk. W „Kulturze” kolumna młodych. Istny pobór literacki. Wielka łatwość debiutu. Po okresie produkcyjniaków starzy uciekli w historycyzm. Stawiano na młodzież z mniejszym bagażem czasów przedwojennych, nie uformowaną jeszcze, łatwiej wrastająca w nowe

czasy. Szukano młodych talentów, które oddałyby heroizm trudnej teraźniejszości. Młodszy najczęściej wchodził w margines niedobrej miłości i w pogranicze kryminału. Pobłażano im, by się pozbyli obsesji, z wielką nadzieją, że potem wejdą w przemiany społeczne. Myślał o sobie. Latami był już stary, duchem czuł się młody. Skłaniał się do literatury obrachunkowej błędów i wypaczeń. Wyżej cenił heroizm

90

teraźniejszości. Nie było to łatwe. Zawsze miał nadzieję, że kiedyś będzie pasał o tym. Usłyszał głosy. Uczuł potrzebę znalezienia się blisko ludzi. Zszedł na dół.

W mesie rozsiadły się pasażerki jak po wielkim trudzie. Wróciły z miasta z długiego spaceru, zmęczone, zawiedzione. Z twarzy tchnęła apatia. Spod mdławych uśmiechów wyzierało zdziwienie — „i to ma być wszystko — po takiej podróży”. Ich skorupki były nieprzenikalne. Odtrąciła je obcość. Nieśmiało weszli dwaj młodzieńcy, dorodni, eleganccy. Skłonili głowy w ukłonie i stanęli skromnie przy pustej ladzie barowej, samotni, zagubieni. Spoglądali na kobiety delikatnie, z uczuleniem. Młodszy smukły jakby bronił się uśmiechem, starszy związany mocarnie nucił sobie ledwo słyszalnie najsmutniejszą melodię, jaką mógł wynaleźć. Wtedy on zbliżył się do nich i zapytał:

– Co tak smutno?

Młodszy bronił się uśmiechem, starszy nie silił się na żadne udawanie.

– Zimno wszędzie, głucho wszędzie — odpowiedział szczerze — i do domu daleko.

– Panowie z „Beniowskiego”?

– Tak — odpowiedział młodszy — a to starszy oficer — wskazał na smutnego kompana.

Uścisnęli sobie dłonie i powiedzieli nazwiska.

– Grzegorz, po prostu — wymówił ten starszy.

– A mnie Stasiek — dorzucił smukły — jestem stewardem.

91

Ludzko uderzyła prostota. Grzegorz mógł mieć trzydziestkę, był zastępcą kapitana i to na statku trzy razy większym od „Tych”.

– Żony oficerów? — Grzegorz spojrzał na kobiety.

– Nie, pasażerki.

Zaraz poderwał ich i przedstawił. Całowanie rąk. Chwila ożywienia. By przerwać przydługie milczenie, wtrącił:

– Odwykli od widoku kobiet, aż oniemieli ze wzruszenia.

– Napilibyśmy się czegoś — wymówił Grzegorz.

Panie nie oponowały.

Wszedł kapitan ze swoim zastępcą. Obaj w cywilnych ubraniach. Minęli ich i zatrzymali się, by popatrzeć na przybyłych.

– Panowie są z „Beniowskiego” — powiedział głośno — a to kapitan i czif.

Ukłon powitania na odległość.

– A to także pierwszy oficer — wskazał oczami na Grzegorza, ale kapitan i jego zastępca spoglądali niemo.

– Chcielibyśmy się napić. Czy moglibyśmy dostać jaką butelkę? — powiedział Grzegorz.

Kapitan z czifem popatrzyli na siebie.

– Chcę kupić butelkę koniaku — uściślał się Grzegorz, jakby nie był pewny czy dobrze jest zrozumiany.

To u szefa stewarda, ale teraz nie ma go odpowiedział kapitan,

92

– Panie, panowie, zapraszam was na „Beniowskiego” — oznajmił Grzegorz.

Kapitan ze swoim czifem pokręcili głowami, że już późno i odeszli.

– To w drogę, niedaleko — zachęcał Stasiu.

W panie wstąpił nowy duch. Zapomniały o zmęczeniu. Gorącość przybyłych skrzepiła je. Mama położyła dziatki swoje do łóżek i pierwsza prowadziła korowód. Szli uroczyście wzdłuż nabrzeża. Stasiu w otoczeniu kobiet. On z Grzegorzem zamykali pochód.

– Czy nie byłem u was za natarczywy — łamał się Grzegorz.

– Ty do nich z sercem, to oni byli oschli.

– Nie chciałym być intruzem.

– Będziesz serdecznie niepoprawnym — ale to dobrze.

– Serdecznym głupcem — wymówił.

– Sam wiesz, że tak nie jest. Nie jest was tak dużo i kiedy spotkacie się na szerokim świecie winno was łączyć koleżeństwo zawodu. Moglibyście sobie trochę porozmawiać. Tak jest u Greków, przy spotkaniu dzielą się spostrzeżeniami z portów, ze styków i ścierania się z ludźmi.

Z nocy wyłonił się wysoki przód „Beniowskiego”. Przy jasno oświetlonym trapie wachtowy z gotową pomocą. Powolutku, ostrożnie jak na obcym statku dobrnęli do mesy oficerskiej. Grzegorz posadził ich i odszedł ze Stasiem. Po chwili przyszedł sam, przeproszał, że posiedzą jeszcze chwilę.

Pojawił się kapitan w pokłonach. Przy powitaniach jego niski głos drżał wzruszeniem.

– Jak to miło Grzegorz, że sprowadziłeś gości — radował się.

– Chciałem też kapitana z „Tych” i jego czifa — przypomniał sobie Grzegorz.

– Gdzie oni? Szkoda, że nie przyszli — żałował kapitan.

Rozłożył ręce jakby wszystkich zagarniał do siebie i prowadził. Zatrzymał się przed progiem swojego saloniku i zapraszał do środka. Posadził wszystkich przy zastawionym stole i sam usiadł. Obfitość zakąsek, pośrodku wino, koniak, likier i nasza, doskonała eksportowa w skromnej szacie. Kapitan zapraszał panie do wyboru, po nim nalewał im jak gospodarz. Jego ściągła twarz z sępiim nosem pozbywała się ponurości. Tajał. Przy nim stał Stasiu w białej kurtce, napełniał kieliszki, dbał by nie wysychały, podawał zakąski. Zachęcony przez kapitana napił się ze wszystkimi. Przypomniał, że w kredensie przygotowane są zakąski na półmiskach, powiedział wszystkim do widzenia i odszedł. Panie wpadły w biadolenie i współczucie. Co to za zawód tak długo z dala od domu. Spotykają piękne kobiety — tyle pokus. No, nie jest im tak smutno. Wiadomo marynarz. Kapitan przekonywał, że z tą „żeniaczką w portach” to gruba przesada. Marynarze na ogół lepiej się prowadzą niż ludzie z lądu, nie mają tyle czasu ani

możliwości. Praca jak praca — nie najgorsza. Rad przybywa do domu, zdaje się we władztwo kobiet.

94

Z początku to nawet zabawne, po kilku dniach uciążliwe, w końcu zadowolony kiedy odpływa. Teraz trochę to już za długo. Po Casablance szybko będzie pędził do domu. Żonie i córce wiezie najoryginalniejsze kimona. Musiał je pokazać. Wniósł jak naręcza kwiatów, doskonały jedwab. Kobiety aż popiskiwały z zachwyty. Odniósł szybko, trochę przerażony, że zachcą przymierzać.

— Ja pana widywałam w Gdyni. Twarz nie obca —
oznajmiła mama.

— To ten mój nieszczęsny nos — udawał speszzonego
— łatwo zapamiętać.

Znów chichot kobiet. Solennie twierdziły, że bardzo im się podoba, tylko mężczyzna może mieć taki. Nos naprawdę miał okazały i wcale nie rabelesowski, suchy, sępi.

On z Grzegorzem siedzieli na kanapce, z dala od stołu i ciągnęli jak smoki. Grzegorz czasami nucił sobie smutnawo pod nosem. Kobiety były zupełnie zawojowane. Mogły wygadać się kobieco z mężczyzną i to jakim. W sile wieku, jarym, mógł mieć sześćdziesiątkę. Bawił je jak stary satyr. Swojemu zastępcy mówił po prostu Grzegorz, stewardowi Stasiu i tak na pewno całej załodze. Nie miał nic z

wojska, urzędu ani z tego co zwań prestiżem, a jednak on tu władał całkowicie, bez nerwowości, bez strachu przed spoufaleniem, jakby to określenie w ogóle nie istniało. Któraś z pań spojrzała na zegarek. Stężały, że już tak późno. Powstawały z żalem, że już muszą odejść. Wyszły po niekończących się dziękowaniach

95

i żegnaniach. Kapitan odprowadził je do trapu, jak do granicy swoich włości. Powiedział Grzegorzowi, by towarzyszył im aż na „Tychy”. W korowodzie powrotnym wracali smutno.

Następnego dnia była niedziela. Przy obiedzie panie miały twarze nieobecne, przeżywały ostatni wieczór. Przy skrzyżowanych między sobą spojrzeniach uśmiechały się. Padały słowa, wspominki. Kapitan był czarujący, a Grzegorz smutny. Dowództwo „Tych” obruszone, nie bez odrobiny zawiści.

– Grzegorz to sławny mocarz na całą flotę — głosił z uznaniem szef steward.

– To on tu wczoraj był i chciał się napić — znacząco dodał kapitan.

– Napić — uśmiechnął się szef steward — on może lać jak w studnię bez dna i nie upija się.

Kapitan pokręcił głową jakby mówił „no proszę, ładnie by to było”. Panie przeciwstawiły się ostro. To jeszcze bardziej ucieszenie zadrażniało dowództwo, że tak przyłgnęły do „Beniowskiego”. Obiad skończył

się i dalej trwały przekomarki. Wybuchnęła wrzawa, kobiety radośnie witały wchodzących Grzegorza i Stasia. Stanęli skromnie przy pustej ladzie jak wczoraj i kłaniali się wszystkim. Kapitan wstał i odszedł, za nim jego zastępca.

— Witaj mocarzu — podniósł głos szef steward — podobno wczoraj szukałeś mnie Grzegorzu.

— Och, u was jak na szkockim statku, zawsze po obiedzie.

— A może dziś napiłbyś się?

96

— Chcesz, mogę cię poczęstować.

Obeszło się. Zaraz w trójkę wyszli na spacer. Po wydostaniu się z portu zeszli w prawo, w kierunku morza. Wstąpili do akwarium morskiego. W małej sadzawce w ciągłych nawrotach szalała foka. Szybując w powietrzu, sadowiła się na wystającym głazie. Parskała na ludzi, nieporadnie staczała z głazu i znów wpadała w szaleństwo. Po obu stronach w piwnicznym korytarzu zbiorniki wody elektrycznie oświetlone, w nich ryby-motyle, ryby-kwiaty, żółtawo-plamiste mureny tajemnicze i groźne jak jadowite węże, ośmiornice — monstrualne odkurzacze elektryczne, barakudy — wąskie błyszczące klingi. Piwniczny chłód i przeciągi. Poczuł się jak nagi w tropikalnym ubraniu khaki; kuse spodenki i takie rękawy u koszuli. Dygotał z zimna.

– Napijemy się piersiówki — proponował Grzegorz i dobył zza marynarki na piersiach płaską butelkę.

Popił sporo, zrobiło mu się cieplej. Zaraz wyszli z tej zimnicy. W słońcu było niewiele cieplej. Wiatr od morza lizał chłodem. Szli, przystawali, znowu szli, prawie nie mówiąc. Przechodzili sami Arabowie, Europejczycy w pysznych samochodach mknęli po asfalcie. Grzegorz nucił sobie smutno. Dzieciom wsuwał do rąk cukierki. Ugłaskał płaczące maleństwo, napełnił mu garść łakociami i odszedł. Pogodził rozpoczynających bójkę podrostków. Pociągnęli piersiówki. Do przyglądających się mężczyzn wyciągnął butelkę, podeszli, pociągnęli i oni grzecznie. Przystawali

97

zdziwieni ludzie i dzielili się uwagami: „Co za jedni, takich nie widzieliśmy jeszcze”. Kobiety w luźnych szatach do kostek, o przesłoniętych twarzach, zupełnie ukryte a niepokojące. Wypinały bujne piersi, biodra wpadały w kuszące rozkołysanie — ze ukołyszą rozkoszą, hypnotyczne oczy. Oglądały się, uderzały wysadzisto biodrem jakby na złość i odchodziły zawiedzione. Dwie pyszne, pewno przyjaciółki, nie znikwały im z oczu. Znów wyszły przed nich i zatrzymały się.

– Te dwie — zwrócił się do chłopaków — przeszły już kilka razy i to jak — tańcząc. Co, może... Grzegorz popatrzył, uśmiechnął się i odpowiedział:

– Mamy żony.

Stasiu przywtórzył.

Szli dalej, samotni, kuszeni. Z lewej strony zaczęły się baseny kąpielowe, otwarte na oścież, puste. Nie mieli odwagi, tylko Grzegorz popływał sobie. Nagi budził podziw. Średniego wzrostu, sto kilogramów wagi, związany jak tur i zadziwiająco lekki w ruchach. Po wyjściu z wody poskakał, ubrał się szybko i sięgnął po piersiówkę, ale już niewiele było na dnie. Stasiu sięgnął do kieszeni spodni.

– Teraz będziemy pili kolanówkę — oznajmił.

Popili i poszli w stronę latarni morskiej, ciągle zbyt daleko, by doszli do niej za dnia. Napili się kawy gęstej jak smoła i spróbowali rachatłukum o stu smakach. Zdążali z powrotem. Zaczęło szarzeć. Przy autobusach ścisk, jakby odbywały się walki.

Zatrzymywali samochody, też były pełne, aż zjechał na bok

98

i stanął wielki odkryty wóz. Popędzili biegiem. Przy kierownicy kobieta w średnim wieku zapraszała uśmiechem i ruchem ręki. Grzegorz usiadł przy niej. Śmiało prowadziła wóz, spoglądała na nich bokiem i uśmiechała się. Była Francuzką. „Polone, Polone”, powtarzała ucieszenie. Skłonna do rozmowy, ale z Grzegorzem nie było to łatwe. Pędziła w zrywach. Zawiozła ich aż pod „Beniowskiego” i wysadziła przy

trapie. Zeszli, podziękowali. Podniosła rękę. Ostro zawróciła i odjechała w zrywie.

– Nie można jej było zapłacić — trapił się Grzegorz.

– Mogłeś spróbować — chichotał Stasiu. — Można jej było zaproponować kieliszeczek.

– Nie odmówiłaby — dorzucił on.

– Obejdzie się — swobodnie odmawiał sobie tej przyjemności Grzegorz.

Rozstali się jak po dobrze spędzonym dniu.

Na statku wziął gorącą kąpiel, wyparzył się. W tym gorącym kraju można było się przeziębnić i to w kwietniu.

Myślał o Grzegorzu. Żadna ilość wódki nie zbijała go z nóg, nie zmacała mu nawet głowy. Pił jak wodę. Wódka jednak potrafi zniszczyć najtęższy organizm, to tylko trochę więcej czasu. Jego mocarne ciało, potężna natura miałyby upust, gdyby czas cofnąć o trzy wieki, byłby odkrywcą, zdobywcą, może korsarzem. Nie miał żadnej pracy fizycznej, obowiązywała go formułka nawigacyjna i miał sporo roboty papierkowej z ładunkiem. Dla Greków statek

99

jest najlepszym instrumentem tropienia i robienia interesów. Nieliczni ulegają fascynacji światem, czarowi bogactwa form, zjawisk, stosunków międzyludzkich. Dla nich świat jest ustawicznym

przeżyciem zmysłowym i intelektualnym. Najlepszymi jednak marynarzami są rzemiechy, którzy poza statkiem nie widzą nic. Grzegorz widocznie nie miał żadnej z tych namiętności. W świecie czuł się obco, osamotniony. Tęsknił za ciepłem domu, tkliwością żony, chciał się radować dziećmi. Nie mogąc znieść za długich rozstań cierpiał i to cierpienie stępiał wódką. Gdyby był rybakiem dalekomorskim miałby ostrą, nieustępliwą pogoń za rybą i twardą harówkę. W porównaniu z trałowcem statek był łatwizną.

Następnego dnia był zwykły dzień tygodnia. Miał także odejść statek. Postanowił jeszcze odwiedzić konsulat, o tak po prostu. W jednym, ze sklepów znalazł adres w książce telefonicznej. Było bardzo blisko. Wyszukał tabliczkę w kilkunastu innych firmowych, przed wejściem do kamienicy czynszowej, w której usadowiły się biura. Zajechał windą na któreś piętro. Otworzył właściwe drzwi. Kobieta odprawiła chłopca w galabii. Powiedziała mu po polsku, że konsul jest, kazała mu usiąść i zniknęła we wnęce za kotarą, krzątając się po gospodarstwie. Młoda maszynistka pod oknem pisała szybko na maszynie. Okrągły stolik, na nim gazety z kraju, trzy krzesła. Co za ścisk, tu dopiero obowiązywał skąpy metraż. Zza drzwi, na wprost, dochodziły głosy rozmowy.

twarzach.

– Panowie z kraju — samo mu wyleciało z ust.

– Tak, przygotowujemy wystawę handlową —
odpowiedział młodszy.

Przywitali się serdecznie. Jeden z nich był inżynierem a drugi majstrem od wystaw, jak sam określił. W gabinecie pozostał architekt i jeszcze spodziewali się przyjazdu plastyka.

Po chwili wyszedł architekt, w poczekalni zrobił się tłok. W otwartych drzwiach stał konsul, wysoki, w luźno spływającej marynarce. Skinął mu głową, by wszedł.

Nie usiadł. Odrzucił celebrację, by nie zabierać dużo czasu. Pokrótce opowiedział swój zamiar.

Ciekawe, niełatwe, dobre — wtrącał konsul. Był młody i podobało mu się to.

Podjął słuchawkę z dzwoniącego telefonu. Mówił z niespotykaną swobodą, sugestywnie, z nerwem, radośnie rozczepiał słuchającego. Zakończył jakąś wesołością i położył słuchawkę.

– Jak pięknie posługuje się pan francuskim — znów wyszło mu samo.

– A pan po francusku, nie.

– Angielskim, średnio.

– Da pan sobie radę.

– Konieczne mi są przynajmniej dwie wizy — wracał do rzeczy — Kamerunu i Republiki Środkowo-Afrykańskiej. To już pół drogi, dalej dam sobie radę.

101

Ambasady są w Rabacie. Kolejną niedaleko. Dam panu pisma z konsulatu, z prośbą, by dali panu wizy.

Zadrżał o swoje, jedyne pięć dolarów. Mógłby pojechać autostopem. Pieniądzy starczyłoby mu na jedną wizę a na drugą pobiegłby do Ambasady Polskiej — ale „Tychy” odchodziły wieczorem.

– Mój statek dziś odchodzi — sądził, że wyłgał się.

– To cóż — załatwi pan sobie to wszystko w Lagos. Tam na pewno są ambasady tych krajów.

– Boję się, że to będzie trudne.

– Tam jest nasza ambasada, pomoże panu.

– Z naszą nie, ale z tymi drugimi.

– Napisanie książki to jest podchwytliwe, tym można wziąć ich pod... — tu wtrącił francuskie słowo. - — Co to znaczy?

– Wziąć ich pod pic, mówiąc dyplomatycznym żargonem — uśmiechnął się znacząco, psotnie.

Znał to powiedzenie brzmiące dosadniej, po marynarsku. Nie potrzebował poprawiać, znał je i konsul,

to nie był lalusz a chłop. Zegnali się wesoło. Przy drzwiach jeszcze mu konsul życzył dobrej drogi, potem skinął na następnego petenta.

Wracał na statek jak na skrzydłach. Między Polakami na obczyźnie była silniejsza więź uczuciowa niż w kraju. Odczuł to nawet w urzędzie.

Na tabliczce przy trapie data, godzina odejścia statku. Załoga już ma wstrzymane wyjście na ląd. 101

102

Oficerowie jedzą szybko posiłki i odchodzą do zajęć. Pasażerki nie mogą sobie znaleźć miejsca, snują się jak muchy. Byli tu krótko a jednak każdy rad, że popłyną dalej. Poszedł na mostek pelengowy. Miejsce odosobnione, najwyższe na statku, widokowe. Po chwili przyszła Łucja z lornetką na piersi. Nie wadzą sobie. Właściwie mogliby podzielić się wrażeniami stąd. Nie czynią tego jakby nie było ich. albo były śmiesznie skąpe. Często w dalekich podróżach powierzchowne, płaskie oglądanie świata, daje mniej niż widzenie go w książce, zdjęciach, nagraniach, filmach, w czterech ścianach. Ceniony jest dotyk, nie każdy jednak ma czucie. Może poprzez kontemplację, zdolność do zachwyty, ostrą wrażliwość zjawia się w feerii piękna dramatycznie utkany usiłowaniem ludzkim. Jest to tylko jeden ze sposobów widzenia, im bardziej całościowy, tym pewno lepszy. Łucja niespokojnie lornetuje wokoło, jakby chciała jak najwięcej ukraść widoków. Zaciąga wieczór, miasto

wybłyska światłami. Łucja mniej lornetuje, zamyśla się. Cóż, ludzie jak ludzie; pędzą tam po szczęście, kochają się, obnoszą swoją ważność, bogactwo, nie posiadający zabiegają o to. Cierpią. Z nabrzeża huczą krany, nasilają tempo, aż stają. Robota skończona. Podnosi się wrzawa schodzących robotników. Robi się cicho. Marynarze zaciągają pokrywy dwóch przednich luków, za pociśnięciem guziczka, automatycznie. Ile to niedawno mieli kłopotu i harówki z porozrzucanymi, niepasującymi dechami. Zdarzało się, że wiatr wyrwał brezenty z oklinowań,

103

woda zalewała ładownie i jeśli były liche grodzie statek tonął. Z bumami tylko jest kłopot, z odciąganiem ich na bok. Coraz mniej statków zrzuca, bierze ładunek na redzie czy rzece. Niedługo statki uwolnią się od tych ciężkich drągów i od masztów, które już nie są piękne, przestały być od śmierci żaglowców.

Długie dzwonienie. Odjazd. Marynarze zwijają się zrećznie przy wciąganiu cum. Za rufę odciągnął ich holownik. Zadudniła maszyna. Minęli wystające nabrzeże, potem główkę falochronu. Statek ożył na fali. Zawrócili w stronę południa. Na brzegu coraz mniej światła aż wchłonęła ich noc. Uciekł przed zimnym wiatrem. Łucja została jak na wachcie. Byłby z niej marynarz.

W dzień tylko ocean, niebo i słońce. Ciągle zimno

liżący wiatr. Znalazł sobie doskonale miejsce na dziobie, tuż przy stewie. Przyniósł leżak, ustawił jak najniżej i legł tylko w skąpych slipach. Wiatr wieje od rufy, statek ma jednak trochę większą szybkość. Powietrze opływające wykształtowaniem dziobu przechodzi mu nad głową. Nie ma tu wibracji, gdy na pokładzie szalupowym pękają relingi przy złączach, męczy to i przytępia. Szum napierającej stewy koi sennie. Owity w złote ciepło, nawet nie wiedział kiedy zasnął. Zbudził się; Szum wody, promienny dotyk słońca. Założył sandały. Powstał. Wspiął się na palce, wysoko uniósł ręce, nabrał potężny haust powietrza, opuścił ręce, rozluźnił się i w nawrotach rozpoczął wędrówkę wzdłuż burty na podniesieniu dziobu. Zaczął z palców, potem już

104

normalnie, czasami jednak stąpnął z palców, by zaakcentować sprężystość. Zapominał o chodzie, nogi same niosły. Odzyskiwał swobodę. Najpełniejsze piękno ruchu ciała nago, w skórze. Gorące słońce, oceaniczne powietrze miały smak zdrowia i siły. Zapominał o posiłkach. W takich chwilach czuł jakiegoś wielkiego, ustawicznego święta. Leniuchował. Pierwsze powojenne wczasy. Darmowe. Sam by ich nigdy nie opłacił. Trzy lata pracy nad ostatnio wydaną książką — dziesięć tysięcy złotych. To wielkie nieróbstwo czasami uwierało go, odczuwał wyrzuty za zmarnowany czas. W kabinie można było odciąć się od ludzi, ale wibracja męczyła, otępiała a łomot

maszyny drażnił. W ogóle obrał sobie dziwne zajęcie. Przy pisaniu starał się ujmować wszystko pełniej, głębiej, zostawało to i po pisaniu. Było w życiu więcej radości, było i więcej smutków, było bogatsze. Zawstydziała i śmieszyła go jego zachłanna chciwość na to życie. Nie było tu szlachetnej bezinteresowności. Zauważył, że w potocznym myśleniu, tak sobie, często myśl ma dużą lotność a kiedy chce ją napisać robi się ciężka, karleje. Klarowność i logika, których wymaga pisanie powinny jeszcze jej przydawać lotności, jednak tak nie jest. Dziwne to, uśmiechnął się. Odrzucił wyrzuty nieróbstwa i jak w wielkie święto bujał w możliwościach i niemożliwościach.

Po południu zasmużył się ledwo widoczny cień. Szybko wzrastał w Wielką Kanarię. Na samym cyplu przylądka latarnia, na najwyższym wzniesieniu lufy dwóch armat. Na gibraltarskiej skale umieszczono

105

ich dziesiątki, może i setki a nie było widać żadnej. Potężny, z kilometrowy falochron osłaniał płytko wrzynającą się zatokę, stwarzał spory port zapchany statkami. Przylegające miasto o niskiej, dość przestrzennej zabudowie z zielonymi bukietami palm, dalej pięło się w ścisku kamieniczkami. Z lewego krańca liczne wieżowce. Ciemny granat oceanu, jasny lazur wysokiego nieba, wśród nich słońcem malowane Las Palmas. Na redzie, blisko brzegu spokojnie na kotwicy leżał pusty jacht. Odpoczywał na przyjaznych wodach, może nabierał sił do skoku przez Atlantyk,

gdy żeglarze dzielnie żeglowali na brzegu we wrzawie ludzkiej. Blisko przepłynął duży, motorowy jacht. Przy kole sterowym chłopak w pasiastej koszuli z dawnych czasów. Biel emalii i błysk mosiądzu. Wgłębienie pokładu zarzucone pledami, poduszkami. Swobodnie siedząca piękność w mini-kostiumie, w przeciwśłonecznym sombrero. Naprzeciw niej siedział poprawnie, starszawy kabalero o kruczych, wypomadowanych włosach, w wizytowym ubraniu starannie zaprasowanym, w jaskrawym krawacie. Z troską, opiekuńczy, bawił swoją damę rozmową. Wystawne zaloty, z bogactwem możliwości, trochę melancholijne. Przy dobijaniu „Tych” w jak na miarę pasującej luce, przy wewnętrznej stronie falochronu, pilot dawał polecenie szyprowi napierającego holownika przy pomocy radionadajnika. Doskonałe ułatwienie. Kaskada aut od szwedzkiego pasażera.

Żadnych odpraw, żadnych przepustek. Wybrał się

106

na ląd. Długi falochron o dość szerokiej jezdni i wysokiej osłonie przed wypryskiem fal, jest budową monumentalną, zdumiewającą. W jednej z pierwszych, małych kamieniczek konsulat księcia Rainiera, jakby Państwa Morskiego. Gdyby stworzył wielką flotę statków, poszerzyłby swoje skąpe włości o morza, mógłby przejąć turystykę jak Norwedzy frachty. Za wysuniętym nabrzeżem, kiedyś w starym porcie, w grupie statków, leżał na cumach duży trawler japoński, za nim dwa inne powiązane burtą

przy burcie. Pierwszy przy nabrzeżu wyrzucił własne obijacze — ogromne kule gumowe nadymane powietrzem. Ich wytrzymałość na zgniecenie też była zdumiewająca. Pokręcił głową ze zdziwienia i uśmiechnął się z uznaniem do Japończyka przy trapie. Ten wzruszył ramionami, że to nic takiego i też uśmiechnął się. Nawrócił do miasta. Doskonale utrzymane skwery, pełne kwiatów, palm. Rzeźba nagiej, bardzo grubej kobiety. Znów park. Przy nim główna ulica. Kobiety z dziećmi celebrujące spacer w ozdobnych kariolkach z powożącymi woźnicami. Zawężająca się ulica, ściśniona kamieniczkami. Sklep przy sklepie; z miejscową konfekcją, francuską galanterią, z paryską projekcją dla kobiet, dziewcząt, męskim przyodziewkiem z Londynu, z amerykańskimi ciuchami. Sklepy pamiątkarskie z wyrobami w złocie i srebrze snycerzy toledańskich. Skórzana arabszczyzna i narzuty. Laleczki seniorit w urodzie regionów Starego Kraju, toreadorzy, całe kadrille, konie, byki, Cyganie. Owocarnie pełne zapachów

107

wysp, nieznanymi owoców. Na wąskich chodnikach tłum z hiszpańską melancholią, bez egzotycznej wrzawy. U wylotu ulicy niebieski ocean z białymi grzywaczami. Grzmot przyboju rozbijającego się na rafach, osłaniających zatoczkę. Pustawa plaża, gdzieś leżący w grubych szlafrokach. Chłód. Promenada na łuku zatoki. Jasnowłose tłum

bladych ludzi, w swobodnym przyodziewku, sunie noga za nogą, spokojnie, niemo. Wystarcza im że są tu. Chłoną w ciszy radość, zachowują się jak w swoich krajach leżących przy Kole Podbiegunowym. Na łuku promenady trochę w oddaleniu hotele, hoteliki, pensjonaty, na nich skandynawskie napisy, nawet nazwy często w tym języku. Jakiś zajazd czterech narodów zjednoczonych siłami. Zaciągał wieczór. Wybłyskały światła. Na parterach restauracje, bary, kawiarnie, knajpki, o wielkich oknach, szklanych ścianach, pochłaniały tłum aż promenada opustoszała zupełnie. Przy zastawionych stołach poważni, tradycyjni ludzie przebywali ze sobą, w swoich kręgach. Kanaryjczycy dawali im stół i łóżko, nie wciągali ich w miejscowy rytm życia, sami trzymali się z dala na osobności. W głębi i od strony przylądka wybłysły światłami liczne wieżowce mieszczące hotele, pensjonaty.

Następnego dnia zaraz po południu wybrał się na plażę. Było pełno słońca, wietrzno i chłodno. Zrzucił tropikalny przyodziewek, chociaż i w nim nie było za ciepło. W skąpych pławkach urządził sobie obchód niedużej plaży. Wielkie, białe ciała, jakby

108

w krajach, w których zostały uformowane, słońce było tylko dla oczu, dużo jadła i łatwe życie. Mężczyźni wielkoludy, kobiety jak białe niedźwiedzice. Gibką smukłość miała tylko wczesna młodość. Drzemali w sytości, rozłożeni na prześcieradłach, derkach, w

leżakach. Na szary, starty piasek nie wdzierały się fale przyboju i sztormów, nie zmywały go. Skierował się brzegiem do nasady, początku przylądka. Tylko dzieci i gorąckokrwiste podlotki próbowały kąpieli. Po mokrym, twardym piasku leciwi urządzali sobie kontemplacyjną przechadzkę. Wypryski rafy podchodziły coraz bliżej brzegu, bujnie obrosłe w wodzie długim mchem, wodorostami. W płytkich rozpadlinach, w wgłębieniach, ciemnoskóre dzieci łapały kraby, małże, ślimaki. Grubym, wysuszonym kożuchem morszczyzny wdarły się na brzeg, a rafa doszła do obmurowania promenady. Zawrócił. Na samym brzegu plażujących, pod samym murkiem jak za osłoną rozsiadła się gromadka miejscowej młodzieży, kruczowłosi, smagli, nasyceni słońcem. Tu przecinały się spojrzenia, błyski oczu, dźwięczne słowa, ostre i delikatne uśmieшки, ochota do radości. Podszedł i usiadł w przyzwoitej odległości, niby zupełnie zajęty sobą, by go nie odrzucili. Chłopiec z gitarą brzdąkał sobie z przymusem. Gromadka podchwyciła tęsknotę cicho, sobie. Chłopiec jak chłopiec, dobył z gitary kaskadę ognia. Z przyśpiewu została tylko akcentacja burzliwego rytmu. Dziewczęta zaczęły dygać. Jedna z nich rzuciła się na swoją torbę, zanurzyła w niej dłoń, skoczyła

109

w sam środek, sprężyła się, zastygła. Podniosła dłoń, obsypała wszystkich ulewą trelu kastanietów, tupnęła, zaczęła drobić nogami, przeszła w zwroty nasilając

rytm. Wzmógł się przyśpiew. Wskoczył jakiś zuch, stanął, wzniosł dłoń, wszedł w rytm władczo, po męsku. Dziewczyna przymocowana do niego niewidzialną nicią obtańcowywała go, potem on ją. Zgodnie wpadali w rytm. Aż gromadka pisnęła jakby coś się stało i uciszyła zawstydzona. Na murku widniały bladolice twarze tłumu Skandynawów. Przeszył go żal, pocieszało, że to nie jego odrzucono. Dumni Hiszpanie, gdzie się podziała ich swoboda, byli zupełnie zdominowani przez bladolice.

Szedł środkiem plaży, sam jak każdy tu. Osobno bladzi, osobno słoneczni. Z trudem znalazł swoje szatki. Tuż obok nich na kolorowych derkach leżały dwie pszenicznowłose dziewczyny. Jedna jak wyrasowana charcica. Pyszne białe ciało kobiety o twarzy i oczach dziecka. Zapatrzył się. Nie odwracała oczu jak zimne niebo. Chwycił spojrzenie, było odległe, uśmiechu nie udało mu się dostrzec. Zachciało mu się zdobyć słowo, chociaż zimne, po angielsku. „Pięknie tu”, wymówił, chociaż sądził, że jest tu inaczej. Zdziwienie oczu. „Chodźmy wykąpać się”, zapraszał wprost. „Nie chce nam się, tu jest dobrze”, głos dziecka, któremu chce się spać. Na próżno dobywał z siebie najpromienniejszy, najczystszy uśmiech zachwyty. To cudowne ciało zdawało się mieć twarz pozbawioną tego daru. „Jesteś piękna”,

110

stawał się zuchwały. Nie dobyło ani drobiny reakcji.

„Jesteś dumna jak królowa” — ledwo znaczący się uśmiech i badawcze spojrzenie. Ubiera się wolno. Potem powiedział „do widzenia” najsamprzód dumnej rozmówczyni, potem jej koleżance. Odpowiedziały mu. Zdawało mu się, że brzmienie koleżanki było nawet przyjazne.

Szedł na statek i myślał o Skandynawce z plaży. Może można było rozruszać ją ustawiczną inicjatywą. Nie był olśniewającej urody, wiedział o tym dobrze. A gdyby spotkała swój męski typ może byłaby uległa po prostu, bez słów. Czasami, nieczęsto, tak jest u najpiękniejszych, najbardziej wartościowych, o najszlachetniejszej prostocie. A gdyby tak urządzić festyn ludowy na plaży, wtedy radowaliby się razem bladolicy i ogorzali. W muzyce, tańcu i śpiewie Hiszpanów odmarzliby Skandynawowie.

Statek odszedł nocą. Kiedy rankiem wyszedł na pokład szalupowy, ukazała mu się potężna góra jak lita skała z czepcem świetlistej bieli, nad nią smużył się ledwo zabarwiony błękit. Góra zdawała się sięgać nieba. Nie unosił się nad nią Bóg ze swoim dworem, z aniołami i to wydało mu się dziwne. Jak człowiek z obsesją nieba, zdobywczością ducha lecący doń, z zadartą głową wpatrywał się w olśnieniu.

— Śnieg, patrzcie śnieg — wołali marynarze z niższego pokładu.

— Przyjechaliśmy na zimę — żartował jakiś wesolek.

Spoglądali w zdziwieniu, z niewiarą na niepojętą biel. Może to złudzenie. Trudno było uwierzyć — pod tą szerokością geograficzną i to w kwietniu.

Statek stał z pół mili od stromego brzegu, skąd dochodziło dudnienie sprężarki, jazgot młotów pneumatycznych i wybuchy odstrzałów dynamitowych. Sapał dźwig samojezdny, po urobisku pełzały ciężarówki. Ledwo widoczni ludzie nieustępliwie wgryzali się w skałę, kruszyli ją, przebijali drogę. Nad nią stromizna przechodząca w pagóry, te znów w góry, pełne wgłębień, jakby tam były pieczary. Trawiaste upłazy, kępy krzewów. Kilka rozrzuconych domków, przy nich uprawne pólka, wśród rumowiska, wiodące przez nie kozie ścieżki. Opłynęli wybrzuszenie lądu i weszli do portu.

Po południu wyszedł na ląd. Znów potężny falochron. Szedł wysokim szczytem osłony, swobodnie mijał nielicznych zwolenników „wysokiego spaceru”. Nie było już świetlistego czepca. Upadły nocą śnieg stopniał, obnażając ponury zarys góry. Zszedł po schodkach z falochronu. Z lewej strony obszerny plac z fontanną, przy niej trawniki, kwiaty, drzewa-kwiaty. Bohater narodowy spoglądał z wysokiego cokołu na drzemiących w ławkach. Pustka. Nie było fiestas, jeszcze trwał dzień pracy. W głębi, od strony morza ogromny, ciężki budynek, siedziba rządu. Za skwerem placzyk miejski. Za nim skupienie białych domów Santa Cruz de Teneryfa pięło się wzwyż. Od strony portu pełno sklepów, podobnych jak w Las Palmas.

Afisz zapowiadająca mającą się odbyć za

112

tydzień corridę.. Byki, konie, całe cadrille. Portrety toreadorów o twarzach dramatycznych według rytuału widowiska. Zadziwiająco drobne i wiotkie sylwetki tych okrutnych chłopców. Ulice wąskie. Ludzie ciepło ubrani z południową elegancją zdobnych drobiazgów. Dziewczęta nie wadzą. A jednak wszyscy wydają się w jakimś ciągłym napięciu. Z drugiej strony ściśniętego górą miasta nieduży park. Zupełny cień. Grube kolumny palm walczyły o słońce z potężnymi liściowcami. Nawet kwiaty były tu ogromne, rosło ich trochę przy wejściu w czarnej, wulkanicznej glebie. Kilka matek z dziećmi. Doskonale utrzymane alejki. Pustka i chłód. Na jednym krańcu małe zoo; gazy jak króliki na wysokich, cieniotkich nóżkach, płowe kozy, małpki, papugi, bażanty. Przy głównej alei kamienne ławy, naprzeciw niewysoki mur z płaskorzeźbami z brązu. Hiszpanie odziani w stal w zwartych szykach grzmia z samopałów do obrzucających ich kamieniami półnagich, w kozich skórach Ganczów podobnych do afrykańskich Berberów. Rzeźby miały przedstawiać zwycięskie bitwy ku chwale bohaterów zdobywców tych wysp.

Wracając na statek zobaczył przy falochronie francuskiego pasażera, biały pływający pałac. Musiał dopiero co przyjść. Mrowił się ludźmi, dźwięczał mową w zaśpiewie słów. Dużo młodzieży delikatnej, z dobrym smakiem i gotowością do radości. Zbierali

się w pary, gromadki i w radosnym podnieceniu szli do miasta.

113

Następnego dnia stali na bojach, przy następnych stary, duński frachtowiec. Po obiedzie zabrała ich portowa motorówka. Podpłynęła jeszcze do „duna”, z trapu wskoczyło kilku młodych chłopaków. Sternik skierował dziób w stronę miasta i wdusił gaz. Motor grzmiał w ciągłych eksplozjach, zdawało się, że rozwali roztrzęsiony kadłub. Duńczycy śmiali się, że płynie jak okręt wojenny. Mimo ustawicznego grzmotu szybkość jednak była znikoma. Wyskoczyli na nabrzeżu przy nasadzie falochronu.

Zaraz został sam. Polacy popędzili jeszcze szybciej od Duńczyków. Lubił chodzić wolno, zatrzymywać się, przyglądać. Zapуścił się w główną ulicę, wiodącą pod górę. Przez szeroko rozwarte drzwi zobaczył wiszące na ścianie obrazy. Młodzian szarmancko przepuścił swoją donię i zamknął je za sobą. Wystawa obrazów, przemknęło mu w myśli. We wnęce wisiał odręczny afisz. Nie namyślając się przebrnął drzwi. Jasne oświetlenie elektryczne, aż przymrużył oczy. Podeszedł pod pierwszy obraz w prawo; fragment miasta, przy nim głowa w kamieniu o ostrych rysach, dalej kościół. Sunął przy ścianie i przystawał. Pejzaże gór; brzegów morskich. Dużo kwiatów. Liczne portrety ludzi starszych, dostojnych, pewno miejscowych notabli, ich przekwitających żon. W samym końcu salki na podium tors kobiety w gipsie, o bujnych piersiach w

kształcie dojrzałych grusz. Kilku ostro patrzących panów, inni zdobywali się nawet na uśmiechy, w dostojnej powadze panującej tu. Pewno malarze, jeden z nich miał nawet przydługawe

114

włosy i miast muszki zawiązaną czarną tasiemkę. W ściszonej rozmowie napierali na niskiego młodzieńca. Ten tylko oczami brał w niej udział. Chuda, ascetyczna twarz prawie ponura, pewno rzeźbiarz torsu. Przechodzący panowie tu przystawali dłużej. Będące z nimi kobiety odstawały, niemniej uważnie spoglądały z dala i czekały aż się panowie napatrzą. Podszedł pod drugą ścianę. Znów pejzaże, portrety z wywieszkami „sprzedane”. Przy końcu głowa kobieca w kamieniu o wystających kościach policzkowych wysoko osadzonych. To co kłóci się z naszym utartym pojęciem piękna, przydawało jej delikatnej kobiecości. Wrócił w głąb sali. Była tu plastyka dziewiętnastowieczna — takie zamówienie społeczne. Miejscowi mistrzowie mocno trwali w tradycjonalizmie, gdy ich szczecińscy koledzy szaleli w abstrakcjonizmie. Sięgali po cuda. W sztuce niezmiernie rzadko dzieją się cuda a tylko one naprawdę liczą się. Układem barw, linii, kształtów, chcieli wywołać stany, wrażenia emocjonalne, może podobne, jakie daje muzyka. Może zawiedli naszą wrażliwość, może nasza wrażliwość zawiodła ich. Najbardziej szaleni chwycili za dechy, blachy, szkło, odpadki, i też nie wyszło. Popatrzył na oglądających;

panowie w czarnych ubraniach, panie w jasnych krynolinach. Poważni aż majestatyczni jak Hiszpanie. Sam był w krótkim, tropikalnym ubraniu khaki. Nie brali mu tego za złe, jak obcemu w podróży. Miał straszną chęć porozmawiania z mistrzami, na pewno byłoby to ciekawe. Jego angielski był za ubogi,

115

by mówić o sztuce. Poczul się jak niemowa i wyszedł.

Na placyku miejskim wmieszał się w tłum młodzieży, snującej się wokół stoisk z książkami, z płytami muzycznymi. Była nawet loteria. Strugami ognia z adapteru płynęła muzyka, ekstatyczny upust radości burzliwego rytmu. Potok słów szybkiej i dźwięcznej mowy. Perlisty śmiech dziewcząt, namiętny, aż zatykał dech. Kochankowie w cichym zamyśleniu, pełni czułości. Jakby niepewne siebie, trzymające się pod ręce dziewczyny w gromadkach. Chłopcy trochę chmurni. Gorące spojrzenia. W oczach skupiała się cała wymowa. Próbowali szczęścia na loterii i w zalotach. Przyśpiew za melodią z płyty, starej romancy o miłości i śmierci. Kaskada rytmu wtrąca w drzenie dziewczęta. Jakaś Niemka śpiewa „Puppy”, z rozkołysem bioder. Dziewczęta wpadają w dyg, rwał im się we wstydlwym śmiechu. Ich latyński smak i hiszpańska ostra surowość brała górę. Nie było tu kociaków ani kowbojów. Nie było i na francuskim statku pasażerskim. Stare kultury łacińskie. Gdy w jego kraju udawano tak łatwo, dlatego, że to było najłatwiejsze, a podczas wojny była wspaniała,

heroiczna młodzież. Obecnie nie ma własnego sposobu bycia, stylu. W ciągłym zagrożeniu narodowym heroizm wielkiej, twórczej pracy zadecyduje o życiu narodu. Może z niego wytworzy się własny sposób bycia, własny styl — heroizm radosny. Śmiechy i pohukiwania przerwały mu medytacje. W kole młodzieży jakiś

116

wesołek w przezabawny sposób udawał byka, drugi nie mniej komicznie toreadora. Byk wali się w ramiona kolegów. Spontaniczne oklaski. Pokłony zwycięzcy. Wyciągnięte ręce dziewcząt z chusteczkami. Przerażenie i ucieczka toreadora. Dokuczliwy wrzask dziewcząt, że nie wybrał żadnej. Z płyty niesie się radosna melodia z zakończenia corridy.

Przeszedł jezdnię wiodącą do portu. Przy kiosku z lemoniadą wianuszek ludzi, obok ławka z leciwcami, usiadł w luce między nimi. Tuż przed nim śpieszący z portu i do portu ludzie. Dużo rosłych chłopów o twarzach okrągłych, nie hiszpańskich, kobiety o twarzach zażywnych chłopek. Niektórzy mieli wyraźnie ciemniejszy nalot skóry, ci wydawali mu się bardziej krzepcy. Przypomniały mu się płaskorzeźby konkwisty z parku. Tak, to tu obok niego przechodzili i Gauczowie. Niezupełnie. To byłoby za piękne, za radosne. Hiszpanie wycięli w pień mężczyzn, zostawili sobie kobiety. Czy ci, w których płynie krew Gauczów mają świadomość swego tragicznego

pochodzenia? Na pewno są tacy co i mają. Jak czują? Nie umiał na to sobie odpowiedzieć. Musiałby z nimi rozmawiać. Takie to były barbarzyńskie czasy. Były? Trwają nadal. Jeśli ostatnia wojna byłaby przegrana, to według postanowień niedoszłych zwycięzców, jego naród w możliwie najkrótszym czasie miał przestać istnieć. Biali w Południowej Afryce, zupełnie uniemożliwili rozwój kulturalny czarnych i doskonalenie własnego społeczeństwa. Murzyni mają być użytecznymi zwierzętami. Kilka

117

tysięcy pozostałych przy życiu prawdziwych Australijczyków po prostu ma wymrzeć. Jeśli nie podoba im się to na pustynnych piaskach, mogą w rezerwatach na głodowej jałmużnie białych. Ludzkość jednak zdążyła do zjednoczeń, jeszcze parę dziesiątek lat i to się stanie. Znikną wojny i ucisk jednych narodów przez drugie. Człowiek będzie obywatelem świata. Szkoda, że nie będzie wtedy Gauczów. Nie dożyją tych czasów i Australijczycy. W szarówce zmierzchu spostrzegł powracające z wycieczki kobiety. Poderwał się i razem z nimi szedł na statek. Były zawiedzione, że autobus nie zawiózł je na Pico de Teide (górnica około 4000 m) a gdzieś w pobliże. Łucja nie mogła wyjść z podziwu, że lilie rosną tu w przydrożnych rowach. Żałował, że nie był. Musiał zrezygnować z wycieczki, swoje dolary mocno trzymał przynajmniej na opłacenie jednej wizy.

Na motorówce byli już Duńcy. Jeden z nich na

dźwięk polskiej mowy przysunął się bliżej, przełamał nieśmiałość i wtrącił do rozmowy. Trochę zaciągał z chłopska ale nieźle mówił po polsku. Był starszym oficerem z duńskiego statku. Urodzony w Danii, z obywatelstwem duńskim, w sercu czuł się Polakiem. W średnim wieku, o twarzy zbitej życiowymi trudami, cechowała go twardość. Jego droga do tak wysokiego stopnia wśród obcych nie musiała być łatwa. Mówił o wspaniałych lasach Teneryfy na północnych stokach gór, gdy południowe były nagą skałą wypaloną słońcem; o studniach artezyjskich, o niezwykle żyznej ziemi, rodzącej wszystko w obfitości.

118

Nadeszli marynarze z „Tych”. Motorówka odbiła od brzegu, pełzła przez port w grzmotach wybuchów, uniemożliwiając rozmowę. Przy statku polski Duńczyk skoczył za nim na trap i oznajmił, że idzie do nich. Nie miał go czym poczęstować, zaprowadził do kabiny do starszego oficera. Ten przyjął go serdecznie.

Następnego dnia znów ocean. Spiekliwe słońce i dobry teraz zawiewający chłodem północny wiatr. Znów przyniósł leżak na dziób i rozstawił go najbardziej poziomo. Spowiło go ciepło. Radosny szmerek skóry. Przenikane na wskroś ciało, organizm, chłonęły promienie. Wylegiwał się w dosyć słońca, powietrza. Nawet nie spostrzegął kiedy z półsnu zapadał w sen. Budził się w strużkach spływającego potu. Wytapiał się łój z otłuszczonej skóry. Szedł do

kabiny, w łazience brał ciepłą kąpiel. Namydlenie i zmywanie mydła było masażem całego ciała. Chłodnymi strugami z prysznicu hartował skórę. Wciągał slipy, zakładał sandały i szedł na swoje miejsce, spacerował przy burcie i obsuszało go słońce. Nie czuł ciężaru własnego ciała, wrażenie lekkości, jakby mógł latać. Skóra mrowiła przyjemnie, pewno oddychała, coraz bardziej ciemniała w czerwonym brązie. Instykt przygotowywał go na czekające trudy. Myślał o basenie kąpielowym na pokładzie, z krzepiącą, oceaniczną solanką. Wtedy byłby kuracyjny rejs.

Po dwóch dniach zasmużył się brzeg, za nim odbłask
119

słońca na wydmach. Widać przez lornetę białą kipieli przyboju.

— Tu plaża — zawołał w podziwiewie nawigator. Nie mylił się. Wysoki przybój wdziera się w głąb lądu, zmywa piasek, zostawia go, najczystsza biel wdziera się w oczy. Szeroka płycizna. Taką jest od południowego Maroka aż po Dakar. Sahara dochodzi do samego oceanu na przestrzeni ponad dwóch tysięcy kilometrów. Jaką doskonałą plażą jest ta ogromna pusta dla północnej Europy, ludzi marznących na pobrażach Bałtyku i Morza Północnego, gdy tu w tym czasie na Południu przy Wybrzeżu Kości Słoniowej ocean wygrzany do plus 30 stopni C. Amerykanie mają Archipelag Bahamski,

Europejczycy będą mieć w przyszłości saharyjską plażę.

Pokazują się latające ryby, mkną jak dziiryty. Niektóre spieszą na tańczącym w wodzie ogonie i rozpostartych płetwo-skrzydłach. Stada skocznych delfinów.

Ociężałe posapywały szparami w tyle głowy. Słońce, ocean wody, ocean powietrzny. W czarne noce, pod jaśniejącym niebem statek mknie jak międzygwiazdny okruch. Do mesy zachodzi tylko kiedy jest głodny. Wtedy nakłada spodnie, koszulę i sandały. Przy posiłkach niektórzy uśmiechają się, że znów się znalazł między nimi, gotowi do zabawy.

— Gdzie się pan podziewa, nie ma pana — zawołała raz mama.

Zbył ją łagodnym uśmiechem.

— Uciekł — odpowiedział jej kapitan.

Nie daje się wciągnąć do zabawy, jest mocniejszy.

120

To trochę drażni biesiadników, nie udają im się żadne próby.

Po zejściu inżyniera w Casablance jadają z Łucją tylko we dwoje przy jednym stole. Ona nalewa mu zupę, zachęca do jedzenia, jest uczynna, opiekuńcza jak kobieta.

— Wie pan, tu naprawdę są przystojni mężczyźni. Pan miał rację — wymówiła z delikatną intymnością i

zaufaniem.

– Przypatrzyła im się pani — drażnił ją.

– Tak — odpowiedziała bez wahania.

– A który się pani najbardziej podoba?

– Och, jeszcze nie myślałam o tym — głos jej drżał kobieco.

Raz kiedy wybrzydzała na płeć brzydką powiedział jej: „A tu, załoga — przecież to chłop w chłopa”. „Za grubi trochę” — wydziwiała. „Za dużo jedzą”, pognębiał ich. „To pewno z nudów”, broniła.

Łucja jest strzelista jak wieża gotycka, uduchowiona, surowa. Zazdrości mu łatwego styku z otaczającym światem. Sama ma do niego dystans, który często chciałaby przejść, a nie udaje się jej. Zapatrzona w morze, często lornetuje, robi dużo zdjęć. W portach cofa się w siebie, poszerza dystans. A jednak dostrzegła na statku mężczyzn i że są przystojni.

Następnego dnia pokazał się brzeg Sahary. Po paru godzinach uniosły się nad nią drapacze centrum Dakaru w kolorze piasków, jak fatamorgana na spopielonym niebie. Maleńka wysepka, kilka spłowiełych

121

drzew, palm. Zanikająca ruina, pozostałość po warowni z dawnych czasów. Kiedyś urządzano tu spęd niewolników. Ścieśnione chatki rybaków, łodzie,

faluki. Weszli do pustawego portu. Na nabrzeżu kilku Murzynów w swetrach, jeden nawet w ciężkiej czapie zaciągniętej na uszy, wygląda jak przeziębiony w tym spiekliwym słońcu. Z północy zacina chłodny wiatr, dzięki niemu jest znośnie, można wytrzymać, to pewno tego wiatru boją się tubylcy.

Nie potrzeba tu żadnych wiz ani przepustek. Z miejsca wybiera się do Ambasady Polskiej, która tu gdzieś jest. Uczuł w sobie nieodparte pragnienie pobycia z ludźmi, którzy teraz wydają mu się bardzo bliscy. Nawet krótka z nimi rozmowa określi mu ten kraj, jak patrzeć, czego szukać, czego unikać. Nie zdąży już w godzinach urzędowania, może po nich będą mieli więcej czasu, łudzi się że kogoś zastanie. Ustąpił z trapu białemu w długim khaki, obładowanemu czworokątnym, okazałym plecakiem. Podciągał się na linach, dobrze pomagał sobie rękami. Sucha, utrudzona twarz. Już na pokładzie wymówił z angielska: „Do kapitana”. Wachtowy poszedł pierwszy wiodąc go za sobą.

— Pewno pasażer — wymówił przechodzący marynarz.

Zbiegł szybko. Silny ront przy bramie portowej. Doskonałe mundury, buty wypucowane w błysk. Przyjazne uśmiechy. W maleńkim biurze oficer podał mu książkę telefoniczną, zaraz jednak sam odnalazł

adres. Chce wezwać taksówkę. Zdziwiony rezygnuje,

bo to będzie z pięć kilometrów. Podprowadza go kilkadziesiąt metrów w stronę miasta, wskazuje kierunek, zakręty. Zasalutował za podziękowania i z uśmiechem odszedł.

Puścił się pustawą ulicą z potężnymi drzewami, rosnącymi w nierównych odstępach, pozostały po wielkim lesie. Przeszedł tor kolejowy. Na wyniosłym wzniesieniu rozgałęzienie ulic. Skręcił w lewo. wskos. Piaszczysta golizna. Sahara wciskała się do miasta małymi pustyniami. Plac targowy, budy. W oślepiającym słońcu, zaprószeni pyłem, mrowiący się ludzie, wesoło. Dwupiętrowy dom z pocztą i oddziałem bankowym, w otoczeniu mniejszych, szarych, spopieliałych. Znów mała pustynia. Rozległe przedmieścia niskich, zwartych domków. Główna ulica handlowa wypełniona tłumem. Z półciężarówki ubitej ludźmi przyglądano mu się w uśmiechu. Spytał ich o ulicę. Odpowiadano mu gorliwie. Kiedy ciężarówka ruszała wyciągnęły się do niego ręce. Zdążył wskoczyć i wcisnąć się do środka. Miast słów dzielili się uśmiechami, strasznie serdecznie i miło. Po kilku minutach jazdy zabębnilo pięściami do szofera aż przystanął. Zeskoczył z wozu. Wyciągnęły się ręce wskazując mu kierunek. Na podziękowanie odpowiedzieli mu z przejęciem. Stał i patrzył na odjeżdżających aż zniknęli mu z oczu. Rozglądął się. Przejechali porządny, niski most. Obetonowany głęboki kanał o skośnych ściankach, na, dnie spękany muł. Była to pewno rzeka. Wzdłuż niej w oddaleniu

porządna ulica, z jednej strony niskie, białe wille w soczystej zieleni drzew, trawników. Skierował się rażno. Gołe maszty, nieznane flagi. Jest i biało-czerwona — radosne wzruszenie. Błyszcząca tablica z napisem w jego języku. Otworzył furtkę i wszedł do ogródka. We wnęce prowadzącej do holu zasunięta krata. Odszedł parę kroków, by rozpocząć poszukiwania. Zza domu wyszedł Murzyn, w długiej, śnieżnej koszuli, z uśmiechem powitania. Próbował angielskiego. Murzyn mówił po francusku. Wzajemnie wzruszali ramionami, nie rozumieli się. Zaczęli na migi z wymawianiem kilku najtreściwszych słów. Zrozumiał, że w ambasadzie nie ma nikogo z personelu, że poszli do miasta. Nadszedł posłaniec też w białej koszuli z ozdobnym zaproszeniem na cocktail party na następny dzień do Ambasady Ghany. Pracownik Polskiej Ambasady podchwycił to i wymówił z całą pewnością cocktail party lebanon. A więc teraz było takie przyjęcie w Ambasadzie Libańskiej a jutro odbędzie się w Ambasadzie Ghany. Murzyn powtarzał tylko cocktail party, jakby każdego dnia było takie przyjęcie. Zrobiło mu się wesoło. Przedstawicielstw jest z setka, każde urządza kilka przyjęć i akademii co roku, pozostaje żal, że nie można uczestniczyć we wszystkich. To jest życie. Pożegnał go serdecznie i odszedł.

Puścił się w drogę powrotną. Słońce straciło już

spiekliwy żar. Na ulice wylęgało coraz więcej ludzi, by włączyć się w radosną wrzawę rojowiska. Przyglądali mu się przyjaźnie. Rozbłyśki oczu, jaśniejące

124

zęby w jarzących uśmiechach. Zgubił się, pytał o drogę do portu. Starsi podprowadzali go, przyłączały się dzieci i tak szli całą kompanią. Trędowaci żebracy wyciągali kikuty rąk, dłonie z zanikającymi palcami. Spieszył, by zdążyć przed nocą. Było ciemno kiedy wszedł na przyportową ulicę. Z barów, knajp wylewał się jazgot muzyki, śmiechy. Dziewczęta stojące na zewnątrz z marynarzami dygały w takt. Wszedł do portu bez żadnego sprawdzania papierów. Statek był najcichszym miejscem. W kabinie na drugim łóżku twardo spał utrudzony pasażer. Wziął gorącą kąpiel, oszukał zmęczenie, legł na swoim i zaraz zasnął.

Rankiem kiedy wyszedł z łazienki, przybysz podniósł się na łóżku. Uśmiechnęli się do siebie i pozdrowili wzajemnie. Z miejsca uznali, że najlepiej jeśli będą sobie mówić po imieniu. Majk skarżył się, że wczoraj ostatkiem sił dobrnął na statek. Odespał to i czuje się doskonale. Rażno wyskoczył z łóżka, szybko się umył i ubrał. Powiódł go do mesy, do jego stołu. Łucja przyjęła go życzliwie. Po śniadaniu zaprowadził go do świetlicy, na mostek pelengowy — najlepsze miejsce widokowe, na dziób; jako że był tu trochę dłużej czynił gościnność gospodarza. Majk przyjął to radośnie, potem jednak wolał leć na łóżku i jął się

czytania. Poczęstował go sokiem wiśniowym ze statkowego przydziału. Bardzo mu smakował i przy nim potoczyła się rozmowa. Majk był młodym chłopcem. Po ukończeniu Uniwersytetu w Bostonie zaciągnął się do ochotniczej, prawie darmowej

125

pracy w Amerykańskim Korpusie Pokoju. Wybrał sobie Nigerię, gdzie w jednej ze szkół w Kano uczył języka angielskiego. Chcąc szerzej i głębiej poznać Afrykę wybrał się autostopem przez Niger, Górną Voltę, Mali i Senegal. Prawie trzy tysiące kilometrów przebył w niespełna trzy tygodnie. Tak się ułożyło, że zobaczył i stolice tych krajów: Niamey, Quagadougou, Bamako i Dakar, o niespotykanej egzotyce i kontrastach. Trafiało się, że w oczekiwaniu na samochód spał nocą w lekkim śpiworze na pobrzeżu drogi ciągnącej się wśród ścian cierniowych krzaków. Nie widział żadnych dzikich zwierząt prócz węży. Za to ludzie — niespotykana mozaika ras. Żadnego niebezpieczeństwa. Miał pastylki odkażające wodę i przeciw malarii, kilka ochronnych szczepień. Przeważnie jadł świeże owoce dobrze obrane. W miastach, w możliwie najlepszych restauracjach spożywał treściwe, mięsne posiłki.

— Masz za sobą wspaniałą podróż — wybuchnął z serdeczną zawiścią.

— Też tak myślę — uśmiechał się radośnie z odrobiną dumy.

– Mógłbyś napisać o niej, byłaby ciekawa książka.

– Może kiedyś — w tonie brzmiał zamysł.

– Szkoda, że nie wziąłeś ze sobą dobrego aparatu fotograficznego.

– Nie potrzeba żadnych aparatów, wszystko rejestruję w głowie — mówił z przekonaniem.

126

– Och, jeśli tak to będziesz pisał.

Powiedział, że sam wybiera się w podróż, chce przebyć autostopem Afrykę w poprzek, przez Kamerun do Kenii, od oceanu do oceanu. Majk przyznał, że to doskonały wybór. Najlepszy. Bogactwo ludzi, krajobrazów i nietknięta jeszcze przez cywilizację dzikość. Najpełniej oddający charakter kontynentu. Wybór krótki i efektowny. Miał wielką ochotę pójść z nim. Nie pozwalała mu praca. Spieszył się, by zdążyć do szkoły w Kano na czas umówiony z zastępującym kolegą.

– To tam rok temu w Hausa w pogromie wyrznęli wszystkich Ibów zamieszkujących ich ziemię.

– Widziałem to w Kano. Okropność. Jatki — oburącz chwycił się za głowę. Wspomnienie odjęło mu mowę.

– I kobiety? Dzieci?

– Wszystkich w pień. Hausa są jak dzieci, jeśli ciebie lubią to ci wszystko dadzą a jeśli nie to cię zarzną. Są

też bardzo ciemni, ich arystokracja ma się jednak za Arabów. Ibowie są bardzo sprytnymi kupcami, przeniknęli na najwyższe stanowiska w rządzie. Są chrześcijanami, gdy Hausa to mahometanie o bardzo surowej regule.

– Nie podobało się feudałom z północy, że rządzą nimi Murzyni, posłużyli się nienawiścią rasową i fanatyzmem religijnym. Równocześnie zabili generała Ironsee i zagarnęli władzę w Lagos.

– Co począć — mówił z bezradną troską — takie

127

rzezie były w Kongo, w Burundi, ciągle zagrażają Afryce.

– Decydujące wpływy w Nigerii ciągle mają Anglicy, mogli nie dopuścić do tego. Takie znaczenie mają biali prawie we wszystkich krajach pokolonijnych. Oni mogliby zapobiec, ale biali ludzie posługują się rzeziami dla swoich korzyści.

– Ohyda — zawołał Majk ze świętym oburzeniem.

– A Wietnam?

– Nam .mówią, że mamy bronić Ameryki.

– Można wynaleźć i zagrożenie z kosmosu. To jest wojna między Ameryką a Wietnamem.

– Ameryką a Wietnamem Północnym.

– Bez wtrącania się kogokolwiek Wietnamczycy sami pokojowo powinni wybrać jak mają sobie urządzić życie.

– Założenie czysto teoretyczne. Ameryka chce zastopować pochód komunizmu w tej części Azji.

– Tak może się zacząć... W wojnie atomowej nie będzie zwycięzcy. W pokojowej pracy niech zadecyduje czas, która idea uczyni więcej dobra dla ludzi, tę przyjmą.

– Zgoda, ale jak przekonasz wielkich bonzów w .Waszyngtonie i Moskwie...

Zaśmiali się bezradnie. W ich śmiechu była zupełna niemożność i tragizm.

– U nas po studiach idą do Korpusu Pokoju, wolą tam niż do Wietnamu — przyznawał że i on jest wśród tych. Pochylił się nad otwartą książką.

128

Spostrzegł, że Majk chce odsapnąć, więc wyszedł na pokład.

Po obiedzie razem wyszli do miasta. Kierowali się ulicą handlową, upchaną przyportowymi sklepami, pustawą w południowej spiekocie. Szli niemo obok siebie, oddając się swobodnej obserwacji. Czasami wymieniali uśmiechy mijając miejscowe elegantki. Stroje ich krzyczały wszystkimi kolorami. „Patrzcie jaka jestem piękną”. Zamieniali po kilka słów. Często

spotykani trędowaci złagodzili ich mniemanie o grozie zarażenia tą chorobą. Miejscowi ludzie w rysach twarzy przypominali Arabów, mieli i jaśniejszą skórę, taki był właściwy typ Senegalczyka. Doszli do długiego placu, przypominającego szeroką aleję. Wysokie domy, europejskie sklepy. Majk zaprowadził go do biura podróży, w którym kupił bilet na statek. Wtedy on z jedną z pracownic porozmawiał trochę po polsku. Był to żalosny strzęp mowy jej rodziców. Czuła się Francuzką, ciągle jeszcze miała jednak polską skromność, tak u nas cenioną, a nieprzydatną w tym świecie ostrego zmagania. Z trudem prowadzonej rozmowie przysłuchiwała się jej koleżanka, z uśmiechem ubawienia. Czyniła to otwarcie, śmiało. Miała niebieskie oczy, ciemną skórę, rdzawe włosy i sylwetkę smukłej seksbomby. Wiedziała o tym i nie zadawała sobie wiele trudu z zawłościami intelektualnymi. Mówiła także po angielsku. Z obywatelstwa była Francuzką, ale zaraz dodała:

129

– Mam w sobie krew niemiecką, angielską, francuską i nawet hiszpańską.

– A czujesz się...

Bezradnie w półśmiechu rozwarła oczy.

– Kobieta — pomagał jej.

Zaśmiała się dźwięcznie, i

– Tak — godziła się.

– Jesteś jak smakowity cocktail.

Pożegnali je i wyszli na plac. Poszerzał się, monumentalne gmachy urzędów, warty żołnierzy. Po schodach weszli na mały skwer z pustymi ławkami. Słońce już mocno chyliło się, betonowe płyty placu otoczone murami ciągle tchnęły żarem. Zapomniano tu o drzewach dających cień i chłodny przewiew. Wnętrza domów miały klimatyzację. Dygnitarze nie chodzą po mieście. Wrócili na statek, który nocą wyszedł w morze.

W dzień często pokazuje się zielony brzeg, palmy. Stale przebywa na dziobie. Majk chowa się przed słońcem w kabinie, leży na łóżku i czyta. Czyta i przy stole w mesie, w chwilach oczekiwania na posiłki, kiedy wszyscy rozmową skracają sobie czas. Cichy, z rezerwą, zachowuje się jak nie Amerykanin. Łucja lubiąca przebywać w mesie, teraz po zjedzonym posiłku zaraz udaje się do swojej kabiny. Przepisuje na maszynie dokumentację materiałową dla jednego z mechaników, Bardzo zajęta, że i wieczorami nie widać jej na pokładzie.

— — —

130

Wstrząsnął nim hałas. Uczuł pod sobą beton, zboląły grzbiet, plecy. Otworzył oczy. Przez szczeliny w

ścianie pod sufitem sączyły się złotawe smugi światła.. Był już dzień. Minęła noc pełna majaków. Sen wydawał mu się rzeczywistością a rzeczywistość koszmarnym snem. Hałas nasilał się, złamane rozpaczą głosy, skamlące litości. Podniósł się, uczył lepiej i wyszedł na korytarz. Przy kracie zbita ciżba nagich dał, jękliwie zawodząca. Dobył się ryk, zawodzenia ucichły, strażnik dalej grzmiącym rykiem miotał groźby. Kiedy odeszli od kraty uchylił ją i pojedynczo wypuszczał więźniów. Za nim stało, dwóch ludzi przy nich grabie, motyki, miotły. Zrozumiał w jednej chwili, że idą gdzieś do pracy. Szybko przedarł się naprzód. Strażnik stanowczo zatrzymał go, przepuścił jeszcze kilku i zamknął kratę. Znow podniósł się jęk pozostałych.

Zaczął przemierzać korytarz. Na spacerze czuł się dziwnie lekko. Intensywnie chudł. Odeszło go już poczucie siły, odchodziły łagodnie, niezauważalnie. Chłopak na palcach wyciągniętych rąk pokazał mu, że już siedem dni nie jadł, przechylił przy tym głowę okazując współczucie. Inny o mocnym torsie i twarzy intrygującej, Mefista, przyglądał mu się z dobrym uśmiechem. Kiedy przechodził ten zatrzymał go i wytłumaczył mu, że jako biały nie mógł pójść do roboty. Zrobiło mu się wesoło, tu nawet to co miało być wyróżnieniem i zaszczytem, było przeciw niemu. Mefisto znał sporo angielskich słów, mówiąc po francusku utykał je. Te właśnie wychwytywał

z domysłem. Do pobliskiego parku do roboty poszli najgłodniejsi, tacy co też nie jedli już od kilku dni. Tam litościwe kobiety przyniosą im banany. Uzebrzą sobie nawet kilka franków. Mefisto miał na imię Rajmund, skończył szkołę średnią ale pracy nie miał. Powiedział mu, że gdyby był na jego miejscu to wziąłby sobie kobietę, poszedł do lasu, znalazł jakąś polanę przy rzece, uprawiał ziemię i żył sobie bez żadnych cywilizacyjnych trosk. Rajmunda ubawiło to. Ziemię trzeba kupić, nie ma już bezpańskiej, zresztą nie po to skończył szkołę, ażeby zaszyć się w dżunglę.

Popił wody nie dotykając ustami kranu, otarł usta przedramieniem i puścił się rażno długim korytarzem. Z ucisku więzienia, smrodu, wyrwał się myślami.

— — —

Na horyzoncie narastała zieleń Sierra Leone. Statek kierował się do brzegu. W płytko wrzynającej się zatoce, pokazały się domy tuż przy wodzie. Dwa statki na redzie. Podeszli blisko do nich i rzucili kotwice. Podpłynęły dwie dłubanki z owocami i maskarami twarzy jaskrawo pomalowanych, mających budzić strach, prymitywnymi tworam i miejscowej wyobraźni i artystów. Krajowcy nie mieli wigoru handlowego, okrążyli statek i odpłynęli. W powietrzu gorąca, stężała wilgoć bez przewiewu, dotykalnie oblepiająca ciało. Gnilny zapach mokradeł i odurzający

dżungli łączyły się w zapach śmierci i życia. Długi sznureczek domów przy białym piasku. Wyżej na wzniesieniu rozwlekłe miasto jakby przy jednej ulicy, osłonięte drzewami, mało widoczne, za nim i nad nim pasmo góry w zielonym kożuchu. Motorówka urzędu, druga maklera. Eleganckie mundury, śnieżne koszule miejscowych osobistości, uroczyści i godni.

Urzędową skorupkę łatwo przebija wrodzona wesołość czarnych twarzy. Odjechali po widzeniu się z kapitanem, ugoszczeni poczęstunkiem według zwyczaju. Można by z nimi zabrać się do miasta, nikt się jednak nie kwapi. Marynarze spoglądają obojętnie, nie ma w nich żadnego niepokoju lądem. Następnego dnia po południu statek wszedł do małego portu.

Znów wyszedł z Majkiem do miasta. Labirynt schodów i przejść na wysokim magazynie. Kontrolowane wyjście. Brnęli główną ulicą po chodniku w kopnym pyłe, gdy jezdnia miała doskonały asfalt ku wygodzie ludzi nie chodzących pieszo. Pola, pólka, zwarte zabudowy, przy nim gwarny, wesoły tłum. Wysoko, zza góry, jakby leciały w niebo, setkami nadlatywały sępy, fala za falą jak wrony w jego kraju. Przeszli koło białych, pewno marynarzy, którzy wyszli na ląd w gromadzie. Na placu zadziwiające drzewo, o niespotykanym ogromie kształtnej korony, sępiim rozhoworem obsiadłej setkami. Wokół pnia metrowe ścianki wsporowe, zanikające z wysokością. Dzielnica okazałych

domów, banki, przedstawicielstwa handlowe, dyplomatyczne. Daleko, w połowie zbocza wysokiej góry utkane wille nielicznych

133

białych. Ludzie zupełnie czarni; bez żadnego nalotu jaśniejszej krzyżówki. Nawet arabskie zagony powstrzymywała ciężka, gorąca wilgoć, gdy Europejczyków nie. Po dopytywaniu się Majk znalazł dom Amerykańskiego Korpusu Pokoju. Biura już były nieczynne. Na dookreżnym balkonie dwaj młodzieńcy bez koszul, spaleni na brąz, swobodnie, z rozkoszą włóczęgów spoglądali na ulicę. Majk okrzyknął ich powitaniem, odpowiedzieli mu jak starzy znajomi. Też byli w podróży, tu zatrzymali się, aby odpocząć. Powiedział, że przyjdzie zobaczyć ich jutro i odeszli. Ściemniało się, wracali. Z niewidocznej już korony wspanowca, coraz głośniejsze niósł się sępi pogwar. Skąpe, elektryczne oświetlenie. Na chodniku odważne harce szczurów znikających w ziemi. Przy jezdni głęboki rów ściekowy, gdzieś kryty płytami kolonialnej kanalizacji. Zajrzał do niego, szczury chodziły sobie swobodnie jak aleją. Młodzież na ich widok wpadała w żywiołowy śmiech. Chciało mu się wtedy podejść do nich i porozmawiać przez chwilę, ale Majk nie chciał. Napastowała ich banda podrostków. Dostał kamieniem w plecy, Majk obwinił Anglików za złe wychowanie tubylców, co było trochę śmieszne. Wstąpili do Amerykańskiego Ośrodka Kulturalnego. Komfortowo umeblowana,

bogato wyposażona czytelnia. Ściany zupełnie zakryte doskonałymi, kolorowymi fotogramami, pełno ich i na planszach wzdłuż przejść. Sunęli noga za nogą. Przestrzenne widoki nie kończącej się dali. Przemysłne autostrady — rzeki samochodów bez końca. Kolosy

134

ze szkła i stali, jakby w tym kraju budowano domy od stu pięter wzwyż. Uniwersytety pełne dorodnej młodzieży murzyńskiej, współżyjącej z białą normalnie, niezauważalnie. Ogrom, bogactwo, nowoczesność, szokowały na amerykański sposób. Na cywilizujących się tubylcach musiało to robić wrażenie. Ameryka ideał postępu i szczęścia. Majk jął się czytania. Europejczycy wyraziliby to wszystko poprzez sztukę, humanizację życia. Oglądał sam. Wszystko to było prawdą a jednak krył się w niej fałsz. Zaczęli schodzić się biali. Skupiali się w gromadki. W ciągłych uśmiechach starali się przełamywać swoją codzienną, celebracyjną urzędowość, byli między sobą, starsi pełni godnej powagi. Matki z wystrojonymi córkami. Układni młodzieńcy z urzędów trzymający się sztywno. Antyseptyczna, nieprzenikalna białość skór. Na Majku widać jeszcze było dopiero co przebytą drogę, a on tak jak stał gotów był do czekającej go podróży. Kiedy białych zebrało się z pół setki, podszedł do niego Murzyn, którego zastali tu na początku, mając pieczę nad Ośrodkiem, zapytał go czy jest

Amerykaninem — odpowiedział, że nie. Zjawił się Majk, wtrącił że przecież może pozostać, ale Murzyn przecząco kręcił głową. Wtedy on powiedział, że zobaczą się na statku i skierował się do wyjścia. Majk podążał za nim i razem opuścili salę. Jeszcze na ulicy nalegał, by wrócił, na co ten:

– Instruktaż. Mam już tego dość.

– To i u was też? Ja myślałem, że to tylko u nas — wymówił zdziwiony.

135

Zaśmiali się jak z odkrycia.

Na ulicy sznur limuzyn, przy nich w liberiach czarni szoferzy, uroczyści, ważni, uhonorowani błyskiem szyku. Wozy sportowe, cacuszka odkryte na wiatr i rozkosz pędu.

Gorąca noc wilgocią oblepiająca skórę. Światła w kręgach pary. Smolista ciemność w przerwie zabudowań. Zastąpił im drogę krajowiec. Zatrzymali się w dobrej wierze. Z gardła dobywał mu się pijacki bełkot. Majk odsunął go dłonią i ruszyli. Pijak podbiegł i szedł z boku, w ciągłym bulgocie niezrozumiałego gadulstwa. Osłabł, ale ciągnął wytrwale za ich plecami. Nie było to przyjemne. W jego zmaconym umyśle może leżały się zamierzenia wrogie, groźne.

– Trzeba go dobrze rąbnąć w szczękę — znajdował wyjście Majk.

- Nie daje jeszcze powodu — przeciwstawiał się.
- Nie mogę wytrzymać nerwowo czując go za plecami.
- Może to taki towarzyski pijak.
- Może nie.

Majk narzucił tempo, którego nie mógł wytrzymać. Odstawał, miał na karku pijaka, zagrożenie. Światła zabudowań.. Krajowcy jedzący kolację przy straganach. Skierował się do dużej gromady z nieodłącznym, pijackim duchem. Powiódł spojrzeniem po wszystkich i odezwał się:

- W żaden sposób nie chce się od nas odczepić. Zatrzymajcie go, może to groźny wariat.

136

Krajowcy wybuchnęli śmiechem. Zaczęli coś szybko mówić między sobą. Zostawił szamocących się z pijakiem w wybuchach wesołości. Po chwili zobaczył czekającego na niego Majka, był zdziwiony, że idzie sam. Zwolnili kroku i swobodnie już weszli na statek.

Następnego ranka zaraz po śniadaniu Majk wybrał się do Korpusu Pokoju z odwiedzinami do kolegów w podróży. Po obiedzie wyszedł na ląd sam. Tuż przy porcie zobaczył kilka okazałych wsporowców, nie miały jednak ogromu tego w mieście. Puścił się główną ulicą, na początku pustawą. Z prawej strony w oddali kilkanaście parterowych budynków, białych

baraków. Gromadka krajowców przy kontrolowanym wejściu. Przeszedł swobodnie nie zatrzymany. Trawniki z rzadka porośnięte drzewami, zagrabione alejki. Natknął się na ambulatorium. Był tu szpital. Z baraku wyszła gromadka tubylców w białych kitlach, poważni, bardzo młodzi, niektórzy z wężykami słuchawek na karkach. Wśród nich kobiety lekarze, prawie dziewczęta, skupione, z rozprostowanymi włosami, z obsesją do skreconych, którą przywiozły z Europy wraz z naukową podbudową medyczną. Wszyscy przejęci jakby mieli do spełnienia misję. Krajowcy chyliłi przed nimi głowy w ukłonach, w niespotykanym poszanowaniu, jednak bez śmiertelnego strachu, jakiego doznawali kiedyś wobec czarodziejów. Lekarze rozeszli się po przyległych budynkach. Ozdrowieńcy, lżej chorzy, w białym, szpitalnym przyodziewku, przechadzali się, siedzieli na

137

ławach w otoczeniu rodzin, licznych dzieci, przyjaciół rozgadanych, roześmianych, troskliwych o samopoczucie chorego. Częste odwiedziny były tu obowiązkiem, spontanicznym wylewem gorącości serc, wciągały chorego w życie, obiecując mu czekające go radości.

Po obejściu szpitala wyszedł na główną ulicę. Od strony zatoki niósł się poszum ludzkiej gwary. Skręcił w błotną uliczkę i po kilku minutach znalazł się w ludzkim mrowiu targowiska. Jazgot rozmów, krzyki,

chór tysiąca głosów, śmiechy wznosiły się jak fanfary. Ekstacyzna radość rozkrzyczanych kobiet. Szybki wir bosych stóp mieszał błoto. Wybierał suchsze miejsca, brnął naprzód wśród rozstępujących się kobiet ubawionych jego obecnością, powód do śmiechu i radości. Kosze najrozmaitszych ryb, ślimaków, małżów, raków, krabów. Pagóry owoców, dziwnych warzyw. Stragany z kretonikami jakby dla wystroju targowego festynu. Wiadra, garnki, pobrzękujące w nie zachwycone kobiety. Wszystko bez ładu i składu w życiodajnym chaosie o niespotykanej sile napierającego życia. Pagóry śmiecia, odpadków i błoto czarne, tłuste. Wzbraniał się przed zapachami, ale nie mógł ich odpędzić. Świeże zapachy, przyjemne i nieprzyjemne, wypierane przez stare fermenty zgnilizny absolutnej, doskonałej, o mocnej, odurzającej woni pierwocin życia mikroorganizmów. Kiedy błoto było nie do przebrnięcia, wycofał się zrećźnie i ocalił sandały.

Szedł główną ulicą. Na placyku popatrzył na

138

ogromny wspaniałym domem dla tysiąca sępów-ścierwików. Przeszedł dzielnicę przedstawicielstw wielkiego handlu. Za nią na wzniesieniu wielkie podwórce wysypane piaskiem. Dorastająca, urodziwa młodzież spacerująca w gromadkach. Dziewczęta w białych bluzkach i krótkich, modrych sukienkach

trzymały się oddzielnie. Wszyscy przejęci nosili w sobie zaszczytne wyróżnienie, że chodzą do szkoły. Blisko ulicy okazały budynek z wejściem okolonym kolumnami i wysokim podsieniem. Zapędził się do środka. Sala biblioteczna z marmurową posadzką. Książki na półkach i stoiskach, stoły, krzesła. Rzeźby, popiersia i głowy Afrykańczyków i białych założycieli, i tych co przyczynili się do rozwoju szkoły. Czarne pracownice, ciche, poważne. Porządek, czystość, piękno — świątynia ducha i wiedzy. Niesamowity kontrast z targowiskiem i większością ulic. Wyszedł oszołomiony.

Puścił się, by zbocze góry przejść półkolem i zejść do portu. Wąska uliczka z maleńkimi drewniakami. Ogródki pękające zielenią bananowców, drzew owocowych. Za ostatnim zabudowaniem ściana tropikalnego lasu. Kilka ledwo znaczących się ścieżek. Wybrał najodpowiedniejszą. Po kilkunastu minutach przedzierania się gąszczem stanął niepewny kierunku. Zobaczył krajowca o nagim torsie przyglądającego mu się w zdziwieniu. Wskazał mu kierunek na port i patrzył za odchodzącym. Coraz bardziej zbity

139

gąszcz, zatrzymał się niepewny kierunku i znów zobaczył tego samego krajowca. Naprowadził go jak poprzednio i patrzył za odchodzącym. Zbocze przechodziło w wielkie, płaskie przestrzenie a ze statku wydawało się małe, łatwe do objęcia wzrokiem.

Długo szedł w tunelu mrocznej zieleni, zdawało mu się, że już powinien przejść ją. Stał niepewny i znów zobaczył tego samego krajowca uśmiechającego się przyjaźnie. Wskazał mu kierunek stromym spadem góry, jakby zaszedł za daleko. Podziękował jakby nic a jednak wydarzenie utknęło w nim głęboko.

Krajowiec szedł za nim, zjawiał się jak czarny anioł stróż, naprowadzał go i znikał jak duch. Ze wskazanego kierunku dobywał się piekielny jazgot jak wołanie i drogowskaz. Zszedł na niezłą drogę i doszedł do wysokich szop u podnóża skalnego urwiska zwiertzałego piaskowca. Podajnik taśmowy przenosił rumowisko do największej szopy, tam jakiś diabelski młyn trwał w ustawicznym grzmocie. Z drugiej strony inny podajnik sypał kruszywo w nadjeżdżające wielkie wywrotki. Kilkunastu półnagich robotników. Skalne zbocze strome obsuwało się w dół ale robotnicy powiedzieli mu, że można zejść. Puścił się bez wahania, schodził zakosami, przytrzymywał się krzaków, zjeżdżał na czterech łapach. W końcu ześliznął się po nagiej skale wprost na drogę. Otrzepał dłonie, spodnie i rozglądał się za portem. Zobaczył przyglądającą mu się dziewczynę. Pewno widziała jego zjazd na spodniach, przyglądała się mu zdziwiona w ubawieniu. Zaśmiała się z jego zagubienia jakby

140

to było wesołe i przyjemne. Po chwili wymówiła po angielsku, jakby natrzęsała się z niego:

– Zgubiłeś się.

– Tak — odpowiedział zgodliwie.

– Chodź ze mną — powiedziała z inicjatywą. Ruszyła pierwsza zagarniając go bez sprzeciwu. Była w krótkiej sutej spódnicy, takiej białej bluzce, skrywającej młody wylew kształtów, w niskich szpilkach. Włosy rozprostowane. Przyglądali się sobie i to było zabawne, wybuchała śmiechem.

– Od razu wiedziałam, że zgubiłeś się, wyglądałeś tak nieporadnie.

Swobodnie uśmiechnął się, zdając się na nią. Jakże dobrze było błędzić w tym kraju. Jego anioł stróż miał szerokie chrapki, mocne, spontaniczne oczy i był zupełnie czarny.

– Gdzie ty idziesz? — pytała wprost.

– Na polski statek.

– Port już minąłeś, zaszedłeś za daleko. Zaraz wiedziałam, że jesteś inny. Zadowolona z tego wybuchnęła śmiechem. Szli i przyglądali się sobie, zaciekawieni innością drugiego. Opowiedziała, że raz poznała Polaków, rybaków z „Orki”. Chwaliła ich żywość i brak uprzedzeń. Zatrzymała się przed piętrowym domem okolonym starymi drzewami.

– Ja tu mieszkam. Chodź — pociągnęła go za sobą.

W głębi zabudowanie piekarni, przed nią furgonetka do rozwożenia chleba. Szła pierwsza ciemnym

korytarzem. Jaśniejszy cień obszernego pokoju o kaminnej

141

posadzce wyłożonej płóciennym chodnikiem. Pośrodku stół. Wysunęła mu krzesło. Usiadła na przeciw niego. Okna osłonięte zielenią drzew. Był tu widny mrok. Stary kredens, kanapka, portrety rodzinne na ścianach. Kiedy spoglądał na nią śmiała się gorąco, wylewnie. Wyszła i zaraz wróciła z rodzicami. Powstał i przywitał się z nimi. Staruszkowie usiedli na kanapce. Ojciec siwy, matka mała, wysuszona. Nie odzywali się, nie spuszczała z niego oczu. Weszło dwóch wysokich mężczyzn, jej bracia. Uścisk rąk, powitania. Jego czarny stróż mówił teraz w swoim rodzinnym języku. Zrozumiał kilka razy powtórzone Polak. Mówiła o nim. Jej bracia stali przy drzwiach. Skończyła i roześmiała się psotnie. On dopowiedział jak to dobrze, że zbłądził. Słuchali ubawieni. Powstali rodzice, uśmiechnęli się przyjaźnie i wyszli, za nimi bracia. Przez cały czas nie powiedzieli jednego słowa, pełni pokory i życzliwości. Jego przyjaciółka, bo za taką już ją uważał, przyniosła tacę, rozstawiła filiżanki, talerzyki. Nalała mu kawy, nałożyła ciastko, potem sobie. Podała mu łyżkę, ujęła swoją i zachęciła głośno:

– Masz jeść.

Szybko uwinął się z ciastkiem z ananasem na wierzchu, pokrojonym w kostkę.

– Smakuje ci? — pytała głosem stężonym z radości i nałożyła mu drugie.

– Doskonałe.

Też naszego wypieku — chwaliła się. Jedli i oglądali się z wybuchami wesołości.

142

– Ile masz lat? — pytał ją.

– Dwadzieścia jeden.

– A męża masz?

– Nie mam — odpowiedziała jakby zawstydzona.

– Dlaczego?

– Chodziłam do szkoły kilkanaście lat, chciałabym mieć też takiego.

– Możesz mieć takiego, jesteś ładną dziewczyną.

– Tacy, co pokończyli szkoły myślą tylko o karierze a ta zależna jest od Anglików, oni ciągle się tu rządzą, więc nasi chłopcy małpują Anglików, Okropna komedia — są sztywniejsi od Anglików jak tańcza, śmiechu warte — wybuchnęła wesołością. Lubie chodzić na przedmieścia na nasze murzyńskie tańce.

– A za białego wyszłabyś?

– Nigdy. Jeśliby -mi się bardzo podobał, mogłabym być jego kochanką. Każdemu białemu wydaje się, że

jest Bóg wie czym. Wszyscy tu mają przewrócone w głowie. Z takim cynowym bogiem to byłoby żadne życie. Wezmę sobie czarnucha jak ja i będę mu rodzić dzieci.

Mówiła mu o swoim kraju, ciężko doświadczonym, w twardym władaniu białych, stąd jej niechęć do nich. Pytała się o jego kraj. Wybierała się do Europy. Napisał jej swój adres. Kto wie — może odwiedzi go. Powstał, podziękował jej za gościnę. Przysunęła się do niego piersią. Rozjarzyły im się oczy.

— Odprowadzę ciebie — wymówiła. Odniosła tacę z nakryciem i znów porwała go za sobą. Była doskonałym przewodnikiem. Często odpowiadała

143

na ukłony, jakby znała wszystkich. Chciała obejrzeć jego statek, ale przy wejściu do portu zatrzymano ją. Daremnie przekonywała strażników. Uścisnęli sobie mocno dłonie.

— Przyjdź do nas — wołała za odchodzącym.

W kabinie zastał czytającego Majka. Opowiedział mu o swoich przygodach. Postanowili następnego dnia pójść razem do przyjaznych piekarzy. Nie stało się tak. Nocą odpłynęli.

Dziób statku coraz bardziej kierował się na wschód aż wszedł nań zupełnie. Nie widać było brzegu, ale gdzieś blisko za horyzontem z lewej burty. Wybrzeże Pieprzowe, Kości Słoniowej, Złote i dalej Wybrzeże

Niewolnicze, symbol chciwości i łupiestwa białych. Wywóz żywego hebanu przez stulecia, czasy największego okrucieństwa. Nigdzie i nigdy na świecie nie narosło tyle cierpienia. Jest ono w nocach gęstych i zawieszonych od czarnej, stężałej krwi, a we dnie w ulewach ognia. Biali przybywali tu na krótko, łupieskie wyprawy po „czarne runo”. Przebywający dłużej żyli pasożytniczo i tak żyją po dziś.

Dnie przebywa w przewiewnym miejscu na dziobie, tylko w spodenkach, w hamaku, na spacerach. Snuje myśli i wyobrażenia o pobliskich krajach i ludziach. Marynarze przytłumieni spiekotą snują się w zwolnionym rytmie swojej pracy. Majk nie rusza się z koi z książką nad nosem. Pasażerowie opuszczają posiłki, poruszają się jak we śnie, biorą na przetrwanie.

Przed południem zawinęli do Takoradi w Ghanie.

144

Od strony falochronu woda pokryta była ogromnymi pniami mahoni. Nie był pewny swojej pamięci czy tak było naprawdę, może mylił z późniejszą Temą, gdzie wszystko było podobne. W porcie leżało z dziesięć statków, przeważnie angielskich. Oczywiście jeden z „palumą” na kominie kompanii o tejże nazwie, królowej pobrażę Afryki Zachodniej. Duży trawler rybacki — niemały przeskok z pirogi na supra. Dobrze widoczna uwiązana na bojach, wysłużona kanonierka pod banderą Ghany, symbol władzy a nie

z potrzeby.

Z czwartym oficerem i asystentem z pokładu zaraz po obiedzie wybrali się kąpać. Szybko zeszli z trapu. Pierwsze kroki lekkie i sprężyste na stałej ziemi zawsze są radosnym przeżyciem. Rażno sadzili wzdłuż hangaru. Doszły ich wołania. Biegło za nimi dwóch marynarzy z pokładu z majtkami w rękach. Zwolnili kroku, by ich łatwiej dogonili. Przeszli przez tory, przez znaną im dziurę w płocie i wyszli z portu, wprost na brzeg morza w pustkowiu. Idąc ściągali koszule. Po stu metrach zatrzymali się i rozebrali. Ze skąpym przyodziewkiem w rękach maszerowali na bosaka brzeżkiem mokrego piasku w radosnej gromadce. Zupełna swoboda i pewność. Nasi marynarze nie boją się afrykańskiego słońca, pobrzeża są im mało znane, czują się obco i wolą trzymać się kupy. Zatrzymali się na chwilę przy opuszczonym basenie kąpielowym z resztkami obramowań drewnianych pomostów. Z pół kilometra dalej biały, przyjazny piasek. Położyli swoje zawiniątka i wbiegli

145

do wody. Podgrzany, czysty ocean. Uwijali się zwawo. O jakie sto metrów za głębszą cichą wodą wzbijał się przybój na mieliźnie w trzymetrowe wały i wytracał. Podpłynęli w pobliże i wracali, nikt nie próbował przebyć go mimo, że wszyscy pływali doskonale. Dalej było większe zagrożenie rekinów, co nie wychodziło im z podświadomości. Wychodzili z wody i wchodzili nie mogąc się nią nacieszyć.

Kiedy pływania miał już dość wybrał się na samotny spacer samym brzegiem. Przystawał, spoglądał na ciągle pływających się kolegów i szedł dalej białą wstęgą piasku. Ocean miał z lewej strony, z prawej wysokie, rude urwisko. Na skraju wysoczyzny zobaczył białego bez koszuli. Wdrapał się do niego. Uśmiechnęli się do siebie miast pozdrowienia. Odczekali.

– Ładnie tu — wymówił.

Biały przywtórzył, bez oporów dał się wciągnąć w rozmówkę. Często przyjeżdża tu, by sobie popatrzeć. Był Anglikiem, głęboko zakopany w lesie przy wyrębie drzewa. Uśmiechnęli się do siebie i rozstali.

Na dole spotkał podążającego za nim marynarza.

– Tu można trochę odetchnąć od rozpalonego żelastwa statku — tłumaczył swój samotny spacer.

Przywtórzył mu i szli razem, to znów jeden za drugim, bez słów, oddalali się jeden od drugiego, to znów razem. Woda podchodziła pod urwisty brzeg. Parli zręcznie po oślizłych skałach, wymijali głazy. Kraby jak sunące miski uciekały spod nóg. Za skalistym urwiskiem ujście rozlewnej rzeczki. Kierowali

146

się jej biegiem. Pozdrowili Murzynów ładujących z wielkiej pryzmy żwir na ciężarówkę. Przez płytką rzekę ciągnął korowód kobiet z okrągłymi, czubatymi opałkami na głowach. Niosły bez pomocy rąk nawet

w wodzie po biodra. Smukłe, napięte brzuchy, sprężone torsy, szyje jak kolumny, wyrazista krągłość stężeńych piersi, u młodych wznosiły się stromo. Wychodziły z wody proste jak trzciny, posuwisty krok, absolutna płynność całego ciała. Znikomym ruchem głowy pozbywały się ciężaru. Opałki padały dnem do góry, ujmowały ręką za brzeżek i odchodziły w rozluźnieniu.

Chciwie, z powagą wpatrywali się aż Murzyni parsknęli śmiechem z ich zachwytu. Śmiały się i kobiety. Jedna, starszawa ujęła dłonią długą, obwisłą pierś, znacząco podbijała ją jakby mówiła: „Taka pierś jest do pieszczoty”. Uśmiechnęli się w zwątpieniu, ona pewnym okiem i pieszczotliwym ruchem dłoni, starała się przekonać ich. Murzyni z wesołości aż tarzali się w piasku.

Uciekli do rzeki przed natrzęsającymi się z nich. Po drugiej stronie rozległa łacha piasku, naniesiona ostatnim wylewem. Leciwe kobiety łopatomi zgarniały piasek w małe kupki, napełniały w opałki, we dwie podnosiły je i nakładały na głowy noszącym. Podniósł taką opałkę, wcale nie była lekka. Podbiegł marynarz i razem nakładali podchodzącym. Przez chwilę była to zabawa, przez cały dzień byłaby ciężką pracą. Kobiety w swojej mowie coś z uznaniem pytlowały o nich. Maleńka dziewczyna cała w śmiechu

zaczęła ich obiegać. Była dziecięco zwinna o małych ostrych piersiach, jak żywy posążek z hebanu.

— Ładna — wymówił.

— I mnie się podoba — przywtórzył marynarz. Jakby zrozumiała. Obskakiwała teraz marynarza, wyciągała dłoń do jego brzucha, cofała szybkim ruchem kiedy chciał ją chwycić. Marynarzowi zaczęły niepokojąco nabrzmiwać slipy. Odwrócił się, by przygłaskać je do skromności. Mała pisnęła zwycięsko, za nią chór kobiet. Kiedy odwrócił się, podniosła trzy palce i powiedziała:

— Three shillings — i wskazała na busz.

— Dałbym jej trzy szylingi, żebym miał przy sobie — wymówił marynarz.

Wtedy on podszedł do dziewczyny starszej i rosłej i zapytał po angielsku:

— Ile ona może mieć lat?

— Jedenaście — odpowiedziała.

— A co ona chce? — pytał naiwnie.

— Chce trzy szylingi to pójdzie z nim do buszu.

— To dziecko jeszcze.

Aż zakrztusiła się śmiechem. Wbiła łopatę w piasek, wzniosła ręce, zarzucała na głowę błękitną chustkę z jedwabnego tiulu, upinała, ściągала.

– Wolałbym ciebie.

Uśmiech zadowolenia. Skręciła tors i odpowiedziała:

– Dobrze, ale .musisz mieć trzy szylingi.

– Chodźmy stąd — wołał marynarz nie mogąc się opędzić przed małą.

148

Kiedy odchodzili wzniósł się chóralny pisk, ciągle judzący, trochę żaloszny, że skończyła się zabawa.

Szli niemo, jeden za drugim. Kiedy spotykali się oczami uśmiechali się z niewiarą, zdziwieniem, jak psotne chłopaki. Anglik ciągle dumał nad urwiskiem. Wykąpani koledzy siedzieli przy ubraniach, spoglądali cierpko na nadchodzących. Właśnie mieli już odejść, zostawiając ich portki opatrzości boskiej. Chcieli im urządzić paradę murzyńską przez port. Pobrali węzółki, szli z powrotem z łagodnym znużeniem. W opuszczonym basenie figlowały pasażerki. Elektryk stał jak żuraw w wodzie po kolana. Kobiety nawoływały ich do kąpieli. Mieli jej dość. Wśród wybuchów śmiechu marynarz opowiadał o wydarzeniu z Murzynkami, dosadnie po męsku, chociaż tam wcale nie był takim bohaterem. Ubrali się przed dziurą w płocie. Słońce schodziło nisko. Teraz dopiero tchnęły żarem betonowe nabrzeża.

I wreszcie statek.

Następnego wieczora wyszli w morze. Przy odejściu

przechadzał się po pokładzie szalupowym. Od wielkiej masy statku oderwały się nabrzeża, krany, miasto, jakby statek stał a odpływał kontynent. Spoglądał za niknącym portem aż przesłonił go horyzont. Tyle było portów, każdy inny. Łatwo ich urodę zewnętrzną objąć, odczuć. Trudniej było poznać, przeniknąć mechanizmy społeczne, siły napierające zderzające się w nich, marzenia, dążenia ludzi. W Afryce uderzała fasadowość władzy, dziki przepych strojów, monumentalność gmachów urzędowych.

149

Urzędy przejęli rodzimi autokraci, ciągle zależni od starych władców, niepoznacznie, z ukrycia. Dla nagiego tłumu nic się nie zmieniło, lub bardzo niewiele.

Znużony spacerem zszedł do kabiny. Majk ciągle czytał. Ułożył się w koi i zasnął szybko.

Przebudził się. Było ciemno. Nie jaśniał nawet iluminator. Zza niego dochodził szum i sapanie wody. Szmer trzasków w złączach, statek pracował płynąc w pełnym biegu. Przykładał głowę do poduszki ale sen nie przychodził. Wstał, wciągnął spodenki i wyszedł z kabiny. W korytarzu, mesie, świetlicy, tchnęła senna pustka, z Cichym jękiem maszyny. Poruszał się jak we śnie. Na mostku nieruchoma wachta. Zza burty wdzierał się z poszumem ciepły powiew opływającej kadłub wody. Daleko, z brzegu zajaśniały światła.

Marynarz ze skrzydła powiedział, że to Accra. Zniknęły, pokazały się drugie, była to już Tema. Wszedł kapitan, przejął prowadzenie. Wysforował się przed dwa statki, leżące daleko od falochronów na kotwicach. Zawołał sakramentalne let go!, z łoskotem poszła kotwica. Odczekał aż statek ustawił się i odszedł. Stali przy samym wejściu, a nuż wejdą do portu pierwsi. Na brzegu rozbłysk licznych świateł i żadnego głosu.

Zszedł do kabiny. Wznosiła się niewidocznie i opadała w ustawicznej huśtawce. Przebudził się Majk, zapalił światło do czytania i jął się książki. Teraz dopiero ogarnęła go senność nasycona starymi wrażeniami i zasnął jak w kolebusi.

150

Przy śniadaniu stali już w porcie. Statek ani drgnął. Pasażerki wesoło i głośno wspominały ranną burzę. Mechanicy podnieśli głowy. Kto to widział, wypominali cierpko, stawać tak blisko falochronu na samym przyboju. Mało nie powyrzucało ich z koi. Oficer z rannej wachty tłumaczył, że to kapitan. Ucichli na widok wchodzącego kapitana, tylko pasażerki jeszcze śmiały się.

Wzdłuż drugiego falochronu cała powierzchnia wody pokryta drzewem. Murzyni chodzili jak po wielkiej tratwie, ogromne kłocę z wielką wprawą ładowali na statki. Po wyjściu z portu szeroką, asfaltową jezdnią, pędziły z jękliwym wizgiem ciężko załadowane,

wielkie ciężarówki. Ciągłe przystawały taksówki, odprawiał je ruchem ręki, w końcu nie zwracał uwagi na nie. W sporym oddaleniu od szosy domy, wille okolone drzewami. Jakiś gmach fabryczny w pustkowiu. Dalej rozległe osiedle schludnie wyglądających baraków, z wszystkimi mieszkańcami zwawo uwijającymi się na dworze, w ciągłej gadaninie, w wybuchach śmiechu i wesołości. Spory rynek ze straganami. Tłum w nieustającej zabawie w kupno. Pożądliwe oczy kobiet, radość oglądania bogactwa. Często trafiali się ogromni, atletyczni mężczyźni o skórach kakaowych w różnych odcieniach. Złotoskóre kobiety, ogromne, rozłożyste, dumnie nosiły nagie piersi, łagodnie uśmiechnięte, uosobienie radości i zdrowia. Łatwe życie, dużo jadła sprzyjało rozwojowi wielkich brył i w tropiku. Wyszedł poza osiedle, ale miasta ciągle widać nie było. Zawrócił.

151

Na przystające taksówki nie zważał. Kilka metrów przed nim zahamowała czubato załadowana worami ciężarówka, kiedy przechodził otwarły się drzwi szoferki:

— Nie mam pieniędzy — powiedział po angielsku.

— Chodź — odpowiedział kierowca.

Wskoczył na wysokie siedzenie. Płynne włączenie sprzęgła i ciągle potęgujący się pęd. Mocarne ręce na kierownicy, nagi tors wpadający w brąz, skupiona

twarz, z uśmiechem spoglądające na niego oczy.

– Szybko jeździecie — powiedział.

– Trzeba wykorzystać wóz.

Coraz szybsza jazda. Migiem port. Zszedł, podziękował. Murzyn uśmiechnął się serdecznie, wielkodusznie i ruszył dalej. Już na pokładzie odpoczywająca gromadka robotników spoglądała na niego ciekawsko, przyjaźnie. Jeden z nich bardzo mały i drobny, i z nim to zaczęli się sobie przyglądać.

– Ciężka praca — odezwał się do niego po angielsku.

– Nieciężka — odpowiedział po polsku mały.

– Dajesz radę — pytał już po polsku.

– Ja jestem liczmanem — odpowiedział Murzyn wolno.

– Są tu Ashanci? — napierał ciekawie.

– Ashanti daleko, Ashanti Kumasi.

– Ashanci dobrze bili się z Anglikami.

– Ashanti dobry żołnierz. Teraz ciąc timber, mieć dużo pieniędzy.

152

Z trudem, ale to już była rozmowa a nie kilka słów.

– Dlaczego uczysz się po polsku?

– Tu przychodzić dużo polski statki, a ja pracować na nich. Ja chcę się uczyć dobrze po polski.

Serdecznie zdziwiony, trochę utrudzony przechodził na angielski. Radził mu, że znając dobrze angielski, mógłby wybrać się do niedalekiej Accry do Ambasady Polskiej a tam dadzą mu na pewno słownik angielsko-polski, wtedy nauka pójdzie mu łatwo i szybko. Murzyn ucieszył się i postanowił wybrać się tam.

Po obiedzie wyszedł sam, by wykąpać się. Szeroka wstęga piasku ścieliła się jak nadmorska aleja, między wysokim obrywem brzegu w zieleni a lazurem oceanu. Niepojęta droga w zupełnej pustce. Rozebrał się, ciasno zwinął skąpy przyodziewek i upiął paskiem. Szedł w słońcu nagi, tylko w kąpielówkach, bosy z węzełkiem na ramieniu. Droga zawsze wzniewiała w nim radosny niepokój, wciągała tajemniczo, za mgłą, wędrówka przez życie. Kusiło nieznane i radowała przygoda; droga, los, przeznaczenie, konieczność. Z dziecięcą przekorą buntował się przeciw tym niepojętym siłom i skazany był na błądzenie. Był poszukiwaczem piękna, żył pod jego urokiem.

Tuż przy morzu napotkał ogrodzony wokół basen kąpielowy, z leżakującymi przy nim, pod parasolami, białymi, obarykadowanymi licznymi napisami only for members. Uczuł chęć wykąpania się i pobycia

wśród nieznanym mu ludzi. Odstraszone przepisami zawrócił. Niedaleko portu rzucił węzełek, by wykąpać się i wtedy spostrzegł spody stóp czarne od oleistej mazi. Jakiś tankowiec płukał zbiorniki tuż przy brzegu i ropa z falą wtargnęła na piasek wprost niedostrzegalnie. Zrezygnował z kąpieli. Po pół godzinie szorowania ostrym piaskiem oczyścił stopy. Ubrał się, założył sandały i poszedł na statek.

Odpłynęli tego wieczora. Wczasy położył się spać, szybko zasnął. Ocknął się. Z maszyny dobywał się jękliwy pomruk zlewającego się z sobą walenia tłoków. Statek szedł pełną mocą, drżący od wprężniętych sił. Nad łóżkiem Majka paliła się lampka, czytał książkę. Po wielkiej podróży należał mu się duży wypoczynek, umiał mu się oddawać zupełnie w uładowym spokoju. Gdy dla niego zbliżał się czas, w którym wszystko będzie się działo szybko. Wciągnął szorty, upiął sandały i wyszedł na pokład szalupowy. Na puchnących wzdęciach czarnego oceanu statek chybotął w chyżym biegu. Smoliste ciepło. Jaśniejsze niebo usiane mieniącymi się gwiazdami. Rozbłysk światła, z dalekiego brzegu. Marynarz ze skrzydła mostku odkrzyknął mu, że to Lome w Togo. Na statku była obfitość smakowitego jadła, doskonałe łóżko, nieróbstwo, łatwość oglądania świata po wierzchu. Życie jak w puchu. Nareszcie skończy się to. Znów rozbłysk światła z brzegu, było to już Kotonu w Dahomeju. Statek pędził niosąc go ku jego przeznaczeniu. „Tychy” nie zawinęły do Antwerpii po ładunek dla Duali w Kamerunie, ale

mogły

154

jeszcze dostać polecenie w Lagos, by stamtąd zabrać ładunek a jeśli nie, wracałyby do kraju. Przez jakiś czas był niespokojny. Nie wolno było mu się zagapić. Bał się, że na statku mogą przed nim ukryć niepójście do Duali, sprawią mu okropny żart i pojedzie z powrotem do Polski. Mówił o tym z kapitanem i ten powiedział, że mu powie jak to będzie, w Lagos. Pozbył się niepokoju. Może jeszcze ułoży się szczęśliwie i „Tychy” pójdą dalej a jeśli nie to zejdzie na ląd, poczeka na inny statek tej samej kompanii idący tam. Popatrzył na gwiazdy i zszedł do kabiny. Majk ciągle czytał. Położył się do łóżka. Przed zaśnięciem pomyślał, że teraz wszystko będzie się dziać przemiennie i szybko.

Przed południem pokazał się ląd Nigerii. Pienisty wał przyboju wdzierał się na smugę piasku, za nim zielony brzeg. Za mgiełką świetliste wieżowce Lagos w odbiciu słońca. Tu przed prawą kosą wyjścia dobiła motorówka i wszedł pilot. Po statku rozeszła się wieść, że to Polak, jeden z kilku w nigeryjskiej służbie. Z lewej osłonięta cyplem plaża z wylegającymi się białymi ciałami. Statek sunął podłużną, osłoniętą laguną do portu przy jej drugim końcu. Pirogi pracowicie schodzące im z drogi, czarne plecy lśniące potem. Na grzmiących silnikach, w oparach piany przelatywały ślizgowce, białe cudeńka. W każdym biały pan i władca przy sterze, z

jasnowłosą kobietą przy boku. Władczość i duma. W lotnym pędzie nabierali samopoczucia białych bogów w tym czarnym kraju. Miasto rozsiadło się po prawej

155

stronie, na wyspie. Na przybrzeżnej ulicy pędziły samochody, niósł się szum i zgiełk ludzki. „Tychy” podeszły do przeciwnego brzegu na stałym lądzie i uwiązały się przy nabrzeżu w Apapie, i wtedy dowiedział się, że statek wraca do kraju.

Odprawa załogowa i pasażerska odbywała się w mesie załogowej, sprawnie i szybko. Z celnikiem nie miał żadnych kłopotów, nie miał nic. Oficer imigracyjny w nieskazitelnie zaprasowanych, mundurowych szortach khaki, z błyskiem szyku, po wymianie ukłonów, zapytał go o cel podróży.

– Mam bilet przejazdu do Duali w Kamerunie, gdzie statek miał iść, nie idzie jednak, wraca do kraju. Chcę zatrzymać się w Lagos aż przyjdzie inny tej kompanii idący tam.

– Jak długo to potrwa?

– Kilka dni.

Oficer podał mu formularz. Uroczyście jak buławę przynależną jego stopniowi przesunął trzcinkę na stole i przyglądał mu się jak wypełnia. Kiedy zatrzymał się w punkcie miejsca zamieszkania w Lagos, doradził mu, by napisał hotel. Przejrzał. Zatrzymał także jego paszport, po który miał przyjść do urzędu następnego

dnia. Podał adres, godziny. Pożegnał go uśmiechem murzyńskim, bardzo ludzkim, przyjemnie kłócącym się z jego angielską szkołą.

Wrócił do swojej kabiny. Popatrzył po niej. Ściągnął koszulę i dokładnie ogolił się z włosom i pod włos. Na głowie miał włosy bardzo krótko podstrzyżone kilka dni temu przez „fryzjera statkowego”,

156

chłopaka z maszyny mającego do tego dryg. Mył je przynajmniej raz w tygodniu a grzebienia nie używał. Pościągał drobiazgi i wkładał do chlebaka.

Najsamprzód brulion stukartkowiec, z kilkoma nazwiskami i adresami. Miał zapisywać w nim impresje i spięcia myślowo. Może będzie to robił a może nie, przecież rejestry będą w głowie. Włożył kieszonkowy słownik polsko-angielski i angielsko-polski, drugi taki francuski. Na sam spód .mydło do mycia w pudełku, ręcznikiem będzie słońce i wiatr. Maszynkę do golenia, kilka żyletek, chociaż bez tego mógłby się obyć. Mydło do golenia przyda się na przepierki. Szczotkę do zębów, tubę pasty, długopis, niezawodny ołówek ze skuwką, szwedzki nóż w pochewce, dwie paczki zapalek i papierosy, kiedy mu się skończą przestanie palić. Pod zapięciem chlebaka przełożył cienki sweter, zwieszający się z obu stron. Na sobie miał sandały, slipy, szorty khaki, włożył taką koszulę, noszoną na wierzchu, nie wpuszczaną w spodnie. Do jej jednej kieszeni włożył w doskonałej oprawce legitymację Związku Literatów Polskich, w

niej bilety statkowe i pięć dolarów, do drugiej płasko złożoną chusteczkę do nosa. Długie spodnie, krótkie gatki, koszulę sweterkową, skarpety, zostawił na statku.

Wszedł Majk wypoczęty, ożywiony.

– Schodzę — wołał głośno.

– A obiad jadłeś?

– Jestem już po. Widzę, że i ty się szykujesz.

– Możliwe, jeśli statek będzie wracał.

157

Spojrzał na jego prawie pusty chlebak i wybuchnął wesoło:

– To wszystko co bierzesz?

– Tak

– Cholernie tego mało, myślę że jest to najmniejszy bagaż, jaki kiedykolwiek zabierano na podobną podróż.

– Myślę, że za duży. Niemądry wymysł białego człowieka. Murzyni chodzą w przepaskach biodrowych, czasami biorą najpotrzebniejszy nóż, oszczep, kiedy trzeba — sagaj o szeroko spłaszczonym dzirycie.

– Przyzwoici.

– A więc nie dzicy.

– Przydałby ci się niezawodny colt o dużym kalibrze.

– Nie chcę, by ludzie się mnie bali, wtedy wszystko układałoby się z nimi po staremu jak to z białymi.

Majk ujął ogromny, czworokątny plecak, z pięciolitrowym kanistrem do pitnej wody przytroczonym na wierzchu, zarzucił na plecy i wszedł w pasy. Wyciągnął rękę. Uścisnęli sobie mocno dłonie życząc zdrowia i szczęścia, bez których nie ma podróży. Objuczony jak wielbłąd, jeszcze w drzwiach nim odszedł, zawołał:

– Napisz kiedy.

– Tak — odpowiedział mu. Majk miał masę drobiazgów, nawet książki do czytania. Dobry śpiwór chronił go przed nocnymi chłodami

158

z niedalekiej Sahary. Czasami i do wody było tam daleko. Miał masę pastylek i do odkażania wody także.

Jego pas klimatyczny, którym miał brnąć był najgorętszy o tej porze roku. O pastylki odkażające postara się. Popatrzył na swoje spakowanie i wyszedł.

W mesie oficerskiej niektórzy już zjedli obiad, inni dojadali. Łucja naląła mu zupy. Steward podał talerz z drugim. Pilot Polak, który wprowadził ich statek, spoglądał na niego skrycie z niebywałym

zdziwieniem, słuchając pierwszego mechanika mówiącego ze zjadliwą ironią aż podskakiwał mu wystający brzuch. Uśmiechnął się, by zapobiec zderzeniu na poważnie, z najswobodniejszą otwartością podjęcia szyderstwa, jeśli tego chcą. Pilot zwrócił twarz na ciągle mówiącego mechanika i słuchał teraz jakby z powątpiewaniem. Łucja widziała to swoimi dużymi oczami.

— Ten za nimi to attache morski z naszej ambasady wraz z żoną — powiedziała.

Twarz, wypukłe oczy, aż stężałe w kamień od wielkiego urzędu w wielki urząd. Sztywno trzymająca się śnieżna koszula. W jednej chwili spostrzegł w nich strach przed zagrożeniem godności i absolutną obronę w urzędzie. Był to już nie człowiek a urząd. Pomyślał o sobie, samo jego istnienie było już obrazą dla attache. A może będzie potrzebował od niego pomocy — i zadrżał wtedy.

— Czy pan tu schodzi? — pytała Łucja.

— Nie wiadomo jeszcze kiedy.

159

— Dobrze by było, gdyby pan tu zszedł porozmawiać z nim, trochę zorientować się, małe ułatwienie.

— Wolałby z ambasadorem, jeśli będzie można.

— Rozumiem pana — w jej niebieskich oczach zdziwienie, pragnienie pomocy i niemożność.

Wszedł szybko kapitan w białych, krótkich tropikach, rozejrzał się, skinął głową na powitanie i usiadł przy stole z przedstawicielem ambasady. Steward skoczył, by nalać mu zupy, ale kapitan sam sobie radził doskonale. Jedząc wtrącał słowa, pewno się pytał jak smakował obiad. Odpowiedzi w monosylabach. Szybko zjadł, usiadł swobodnie. Zamienił kilka zdań ze swoim pierwszym oficerem, który poprzednio już tu był i towarzyszył gościom niemą asystą, mimo że sam bardzo skory do żartów. Kapitan zaraz odwrócił się i kiedy spotkali się oczami:

— Za piętnaście minut statek wraca, odchodzi do kraju — powiedział głośno.

Skinął mu głową w podziękowaniu.

Łucji zrobiły się bardzo duże oczy. Powstał, powstała i ona z przejęcia. Uścisnął jej dłoń i nawet pocałował, chociaż tego zwykle nie czynił.

— Niech pan sobie dobrze radzi — wymówiła gorąco.

Skierował się do pierwszego stołu.

— Dziękuję panu kapitanowi, że pan mnie przywiózł — skandował każde słowo.

Powstał kapitan, za nim pierwszy oficer. Uścisnęli sobie mocno dłonie.

160

— Co pan myśli teraz robić? — pytał pierwszy oficer.

– Myślę, że najsamprzód powinienem pójść do ambasady.

– Powodzenia. Zobaczymy się w Szczecinie — żegnał go wesoło.

Bardzo chciał zamienić parę słów z przedstawicielem ambasady, nie śmiał i nie mógł się przełamać. Czekał na ośmielenie od niego. Przecież siedział blisko i słyszał wszystko. Uśmiechnął się łagodnie i odszedł.

Zatrzymał się pośrodku .mesy i swoim szydercom powiedział do widzenia. Odpowiadali mu głośno. Przy ladzie barowej stał potężny szef steward, superman jak go wołał kapitan. Na jego twarzy pomieszanie ironii z prawdziwą obawą.

– Zjedzą — dusił dobitnie. — Szkoda pana. — Uścisnął mu dłoń swoją mocarną aż do bólu. — Niech pan lepiej z nami jedzie z powrotem.

– A może pan by się ze mną?...

– W czołgu — wykrzyknął.

Odchodził w wesołej wrzawie.

Popędził do kabiny. Za nim wpadł wzburzony radiotelegrafista i zawsze łagodny steward. W kabinie zrobiło się ciasno. Prawie ocierając się o siebie wpierali w niego oczy. Radiotelegrafiście Romanowi zmarszczyło się czoło i wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Nie boisz się?

– Trochę — powiedział prawdę.

161

– Ale idziesz, jesteś chłop z jajami. Parsknęli śmiechem.

– Czy możecie mi zamienić dolara na tutejsze, muszę mieć na ferę — przypomniał sobie przytomnie.

Roman wcisnął mu szylinga nie chcąc słyszeć o zamianie. Oburącz uścisnął mu dłoń do bólu, po nim steward. Zarzucił chlebak na ramię i wyszedł. Stanęli w korytarzu i patrzyli za odchodzącym.

– Dobrego rejsu — rzucił im wesoło.

– Tak jak tramwajem — parsknął Roman.

Nie chcąc przechodzić przez mesę oficerską skierował się na zewnątrz, zszedł na pokład główny.

Na nabrzeżu tuż przy trapie limuzyna, przy niej Murzyn. Odszedł parę kroków i zatrzymał się. Ze statku schodził attache wraz z żoną. Murzyn otworzył im drzwi, zamknął za nimi, szybko usiadł przy kierownicy i z jękliwym wizgiem przemknął o metr od niego. Na rufie marynarze wolno na windzie wciągali już cumy, zostawili tylko jedną. Zobaczyli go. Podniósł im rękę na pożegnanie. Wznieśli swoje i zakrzyknęli wesoło. Zachciało mu się poczekać i popatrzeć jak „Tychy” będą odchodzić do kraju, to byłaby ładna chwila. Nie mógł sobie jednak na nią pozwolić. Pędził do ambasady, by zdążyć przed

zamknięciem jej a nie znał nawet adresu. Rzucił ostatnie spojrzenie na statek. Jęk pracujących dźwigów, łomot szarpanych ładunków ze statków ciasno leżących przy bardzo długim nabrzeżu. Duszna spiekota

162

z ciężkim zapachem kakao. Murzyn ciągnący małpkę na sznurku zatrzymał się.

– Kup, tylko trzy funty — zabierał się do targu.

Małpa dyszała, jakby miała ducha wyzionąć za chwilę, w oczach ludzkie przerażenie. Wyminął ich i pędził dalej. Na nabrzeżu tłum oczekujący na ferę. Za trzy penny kupił bilet w budce, pierwszy wydatek. Z pstrą galanterią na ramieniu przepychał się młody chłopak, drugi z miedzianą i aluminiową biżuterią w wielkim pudle. Dobił stateczek mający z pół wieku, pogięty i bez koloru. Przebywający na nim ludzie wysypywali się w pośpiechu całą burtą. W obawie, że stateczek nie pomieści wszystkich, przeskoczył przez reling i popędził na górny pokład. Po kilku minutach fera odbiła w pohukiwaniu i parła na drugą stronę zatoki ze sprasowanymi pasażerami. Dziewczęta chichotały. Afrykańczycy traktowali przejazd jako zabawę i na pewno żalowali, że była za krótka. Z górnego pokładu zobaczył odchodzące „Tychy”, kierowały się do wyjścia. Znajdował się w mrowiu ludzkim, a poczuł ucisk samotności. Była tu inna ziemia, inne słońce, ale ludzie jak wszędzie źli i

dobrzy, jednym można było zaufać a drugim po prostu nie dać się. Z radością przypomniał sobie Ambasadę Polską — to był dobry wymysł. Fera dobiła do przybrzeżnej Marina street. Spłynął w tłoku aż poczuł się swobodny. Naprzeciw gmach Zarządu Portu i Kapitanatu, fasadowy o szerokim wejściu. W lewo o jakie dwieście metrów,

163

spozregł stację benzynową. Wydało mu się, że tam będzie prościej. Murzyn w białym, firmowym kombinezonie z krótkimi rękawami, nosił go jak mundur przydający mu ważności, podał mu książkę telefoniczną. Poszukał w spisie ambasadę i zapisał sobie adres. Spytał o dzielnicę Iko. Murzyn chciał przywołać taksówkę. Odmówił.

— To będzie z pięć kilometrów — przestrzegał go. Podziękował i zostawił go w zdziwieniu jakby myślał sobie: „Co to za biały co chodzi taki świat drogi pieszo...”

Ruszył Marina street. Przy moście zdawało mu się, że powinien już skręcić. By upewnić się podszedł do dwóch eleganckich Afrykańczyków, stali z obu stron dużego wozu. Coś pomówili w swoim narzeczu do siebie.

— Joruba jesteście? — zapytał. Popatrzyli po sobie.

— Ibo — odparł jeden z nich i uczynił ruch ręką, że podwiozą go.

Jechali w brzemionym milczeniu. Po kilku minutach zatrzymali się. Wyszli wszyscy. Zobaczył willę wśród drzew, okoloną wypielegnowaną murawą, przed nią biało-czerwoną flagę na maszcie. Dotknął dłonią kieszeni koszuli, by sprawdzić czy są w niej dokumenty, Ibosi wzdrygnęli się, jakby wzięli to za chęć zapłaty. Uśmiechnął się z zawstydzeniem i podziękował im serdecznie. Skłonili głowy i dziwnie patrzyli za odchodzącym.

Przeszedł wnękę podsienia, otworzył drzwi i znalazł

164

się w udywanionym holu z paprociową palmą w środku. Z kanapki poderwał się Murzyn, wysłuchał go i popędził, by zapowiedzieć. Przez uchylone drzwi naprzeciw zobaczył attache morskiego i ten go również. Wyszedł wysoki, smukły pan, przeszedł jakby nie widział go, do drugiego pokoju i wyszedł po chwili z drugim niskim, ten spojrział na niego przez sekundę i zniknęli za drzwiami. Murzyn siedział służbowo na kanapce. On niesłużbowo, więc dłużyło mu się. Pewno radzą — pomyślał. Gdyby wiedział co radzą, najrozsądniej byłoby, gdyby uciekł stąd natychmiast.

Po dłuższej chwili otworzyły się drzwi i usłyszał — prośbę. Ten wysoki nawet zamknął za nim drzwi. Powitał zebranych. Podali mu urzędowo dłonie.

— Czy mógłbym widzieć się z ambasadorem? — wymówił.

– Ambasadora nie ma już od kilku miesięcy — odpowiedział niski.

Zapalili papierosy i usiedli w fotelach wyczekująco.

– „Tychy” miały płynąć do Duali w Kamerunie, gdzie miałem wysiąść — mówił. — Zawróciły, więc muszę poczekać na inny statek idący tam. Czy mógłbym u was przespać się kilka nocy?

Spojrzeli po sobie i zamigotał im uśmiech w oczach.

– Mam bilet statkowy — wyjął go i położył na stoliku.

Nie przekonywało to ich w najmniejszym stopniu.

165

– Pan ma podróż; dookreżną na statku, nie powinien pan tu schodzić — powiedział z wyrzutem wysoki.

– Nie — zaprzeczył — mam drugi bilet statkowy na drogę powrotną — wyłożył go także.

Ten drugi przeglądali uważnie, w zdziwieniu.

– Nawet nie ma na nim daty — wypominał niski.

– To specjalnie, bym datę mógł wstawić według potrzeby a więc nie podróż dookreżna.

– To jakieś nieporozumienie — wymówił wysoki. Spojrzeli po sobie i przytaknęli mu głowami.

– Paszport zabrał oficer imigracyjny na statku. Jutro kazał mi przyjść do urzędu po odbiór.

– Nie ma w nim żadnej wizy — stwierdził attache handlowy.

– Myśli pan, że dostanie kameruńską wizę? — natarł niski.

– Mam nadzieję.

Potęgująca się wesołość.

– Przed rokiem, była tu pani, naukowiec. Chciała robić doktorat z geografii o Kamerunie i takiej wizy nie dostała. Długo czekała na polski statek. Pieniądze skończyły się, była w niemałych tarapatach. W końcu rada, że zabrała się do kraju. Pan myśli, że statek tylko czeka na pana, a jeśli nie będzie miejsca?

– W takim krótkim przelocie, mógłbym być pasażerem pokładowym.

– A jeśli zabraknie sprzętu ratowniczego?

Polskie statki biegnące tu miały po kilku pasażerów

166

a sprzętu z trzykrotnym bezpieczeństwem najmniej.

– Jakiego zabraknie sprzętu — wymówił w zdziwieniu.

– Kapitan powie, że nie ma dla pana pasa ratunkowego.

Zrozumiał bezsens dochodzenia.

– No jeśli tak, to oczywiście. Pokiwali głowami.

– I wtedy pan będzie musiał czekać. Po niezbitej argumentacji powstał ten niski. Klasnął dwa razy w dłonie, ale komar wywinął się, wznosił wolno aż usiadł na suficie.

– Skąd się tu wziął? — wymówił w obawie. Patrzył bezradnie na sufit, potem sięgnął do ogromnej lodówki po spotniałą butlę, widząc ochotę na twarzach rozlał w szklanki. Podniósł butlę ze smuzką mętu na dnie:

– Znowu pewnie nie przegotowana — wymówił cicho.

– Mówiłem bojowi, by nalewał tylko przegotowaną — wyrzucił wysoki.

Wziął szklankę, wypił duszkiem i poprosił o dolewkę. Spoglądali na niego z uśmiechem swojej wyższej świadomości.

Siedzieli w maleńkim pomieszczeniu gospodarczym z papierzyskami w dużej szafie, z rupieciami z jej boku, z czajnikiem elektrycznym na oknie.

– W jakim celu chce pan jechać do Kamerunu? — pytał wysoki.

167

– Chcę Afrykę przejść w poprzek.

– Jak to, w poprzek — wyrwało się niskiemu.

– Od Oceanu Atlantyckiego do Indyjskiego.

Dziwnie przyglądali mu się. Powiedli oczami po sobie.

– Na nogach? — uśmiechnął się niski. Poweselały im twarze. Unieśli spojrzenia, przez chwilę patrzyli wszyscy w jeden punkt. Uśmiechy stężały.

Nieszczęsny komar ciągle siedział na suficie, czyhał, by porazić ich śmiercią.

– Autostopem też — dorzucił.

– Przecież nie ma połączenia drogowego — stwierdził niski.

– Przez Kamerun prowadzi niezła droga aż do Bangi stolicy Republiki Środkowo-Afrykańskiej i potem też aż do Bangasu. Stamtąd według francuskich map ciągnie dalej na wschód wzdłuż rzeki Mbomu, potem odchodzi do niej do Juby w Południowym Sudanie.

– Może trakt okresowy — poprawiał go niski — Jeśli pan trafi na porę deszczową miesiącami trzeba czekać na jakąś arabską ciężarówkę.

– Myślę, że w tych krajach nawet takie czekanie będzie interesujące.

– Interesujące — podchwycił wysoki. — W Sudanie wrzenie plemion nilockich, właściwie wojna. Pewna śmierć.

– Przed czekającą mnie drogą, będę zbierał wiadomości, ludzie mi powiedzą czy można przejść.

Będę starał się wejść w kontakt z kierownictwem

168

powstania w Sudanie, może pozwolą mi przejść, a jeśli nie to trzeba będzie obejść. Można by przez Północne Kongo. W Bangasu jest prom na drugą stronę Mbomu i droga aż do Ugandy — kraju nieźle ucywilizowanego, a w Kenii to prawie już jak w Europie.

— To jest absolutną niemożliwością — wyrzucił z siebie niski. W Kamerunie, w skalistych, bezwodnych pustkach zabije pana słońce. Nawet napicie się wody grozi panu amebą i innymi paskudztwami. Potem chmury komarów, a najpewniejsze, że zarzną pana Murzyni.

— I zjedzą — dopowiedział.

— Trafiają się takie wypadki.

Przypomniało mu się wesołe pożegnanie Witolda w Szczecinie.

— Muszę nie zapomnieć wziąć ze sobą trochę soli i pieprzu, bym lepiej im smakował.

Przyjęli to ze śmiertelną powagą i znów przyglądali mu się dziwnie.

— Jeśli nocą odbieramy kogoś z samolotu to posyłamy na lotnisko dwa samochody dla bezpieczeństwa — odezwał się attache.

– Panowie, przecież tam też żyją biali, w każdym miasteczku, na samotnych farmach, i to jak.

– Są zasiedzali, opanowali bezpieczeństwo, surowo przestrzegają higieny i stosują profilaktykę.

– My też byśmy się wybierali w porze urlopów. Ja jestem geografem — oznajmiał niski. — Ale to w dwa landrovery, zawsze jeden do wyciągania i ratowania

169

się, doskonała broń, staranne przygotowanie środków medycznych, całe zaopatrzenie a także i żywność. To bardzo kosztowna wyprawa, dlatego jeździmy na urlopy do Polski. Ile pan ma pieniędzy?

Pięć dolarów.

Zdrętwieli, potem uśmiechali się prawie dobrze, jakby to wszystko przechodziło wszelką ironię a więc było pozbawione jej. Dla przyzwoitości unieśli spojrzenia na nieszczęsny sufit i stężały im uśmiechy. Czyhający cierpliwie komar był jedynym jego sprzymierzeńcem.

– Takie są przepisy dewizowe dla wyjeżdżających za granicę.

– Byłem przy tym w Ministerstwie Spraw Zagranicznych — podjął wysoki — jak jednego z pisarzy udającego się na Malaje wyposażono w prawie dwa tysiące dolarów, w tym były wliczone nawet łapówki dla tamtejszych urzędników.

– Och, nie jestem pisarzem dewizowym.

– Trzeba sobie na to zasłużyć.

– Nie potrafię.

„Ładny kwiatek — mówiły twardniejące oczy — i śmie od nas żądać czegoś”.

– Panowie, moglibyście coś zrobić dla mnie. Jest wymiana kulturalna Polski z Nigerią. Moją podróż mógłbym zacząć już stąd.

– To można było załatwić tylko w Polsce.

– Obecnie jest rok turystyczny Organizacji Narodów Zjednoczonych, pod hasłem „Przez podróże do poznania i braterstwa narodów”. To dotyczy i was.

170

Uśmiechnęli się jak z nic nieznaczącego frazesu.

– Tu w Lagos macie Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Nigeryjskiej...

– Mamy około dwóch tysięcy członków. Przychylnie do nas ustosunkowany książę Bangwole jest prezesem. Prowadzimy ożywioną działalność — odczyty, projekcje polskich filmów, wycieczki. Mamy także kontakt z kilkoma, miejscowymi pisarzami — wyrecytował wysoki.

– Chciałbym to zobaczyć i zetknąć się z nimi. Czy możecie dać mi adresy?

– Teraz mamy trochę pusto — sezon ogórkowy.

Wszyscy powyjeżdżali.

– Dajcie mi, spróbuję.

– Co to panu da, są nieosiągalni — wtrącił niski. Nie nalegał, by nie jątrzyć ich.

– Wróćmy jednak do pańskiej podróży — mówił już wysoki. — Będzie pan musiał jeść. Czy pomyślał pan co będzie jadł?

– Ludzie dadzą mi pojeść i będę parł dalej.

– Będzie pan zebrał.

– Tak.

Patrzyli na niego z odrazą.

– I to będzie pierwszy Polak, jakiego ci ludzie zobaczą na oczy.

W ich najgłębszym mniemaniu miał być sprawcą hańby narodowej.

– Trochę stawy od ludzi, myślę, że nie przyniesie mi hańby, oczywiście nie jest to przyjemne. Parający się wymysłami sztuki są przeważnie obciążeniem

171

społeczeństwa, gorzej jeśli żyją z łaski rządu, wtedy często tracą odwagę, niezależność myśli, rzetelność wartościową.

– Pan we wszystkim ma jakieś opaczne pojęcie.

– Nie we wszystkim — zaprzeczył.

– Z pięcioma dolarami chce pan krossować Afrykę, cóż to jest. Hemingway miał samochody, samolot, doskonałą broń, kilkunastu ludzi, a zadowalał się skromniejszą przestrzenią. Pisarze udający się w podobne podróże mają wystarczającą ilość pieniędzy, po prostu kupę pieniędzy.

– Murzynów uważają za dzikusów i boją się ich, idą z pozycji siły. Starają się być zupełnie niezależni a jeśli potrzebują pomocy wymuszają ją. Ja będę żył z łaski Murzynów, stopię się z nimi, przez to moja książka będzie inna niż pisarzy jadących w zmotoryzowanych karawanach, uzbrojonych po zęby.

Ale to jakby nie docierało do nich, ciągle mieli twarde oczy i urzędowe twarze.

– Pan myśli iść w tych sandałkach — niski powiódł spojrzeniem. — Na taką drogę trzeba mieć solidne, doskonałe buty i wełniane skarpety.

– Wolałbym już boso niż w ciężkich butach.

– Daleko by pan nie uszedł.

– Murzyni przecież chodzą na bosaka.

– Oni mają pod stopami naturalne, grube podeszwy.

– To i mnie by narosły. Chwila przedziwnej ciszy.

– Biały boso, to byłaby sensacja. — parsknął attache.

Zaśmiali się i on razem z nimi.

– Śmieje się pan — podjął wysoki — w tych krajach biały nie posługujący się autem a chodzący pieszo, nie znaczy nic.

– Myślę, że posługiwanie się własnymi nogami nie przynosi ujmy.

– To panu tak się zdaje.

Znów cisza. Spoglądali po sobie znacząco, jakby mieli wyrzuty, że dali się wciągnąć w przydługawą rozmowę. Zmęczyła ich urzędowość na twarzach i czujność, jakby ich urząd był zagrożony. W twardych oczach oznaki zniecierpliwienia.

Przypomniała mu się życzliwa rozmowa z konsulem w Casablance, i słowa jego pełne otuchy: „Tam jest Ambasada Polska, nie będzie pan sam...”

– Panowie, pomóżcie mi otrzymać wizy z ambasad krajów, przez które będę szedł.

– Żadnej pomocy — mówił twardo niski. — Nie ma żadnego, urzędowego papieru, stwierdzającego że udaje się pan w podróż. To pańska prywatna sprawa i nas do niczego nie zobowiązuje. A zresztą to samobójstwo. Naszym obowiązkiem jest odwieść pana od tego szaleństwa. Ocalić.

W ostatnich słowach zadźwięczał szlachetny ton. Wysoko podnieśli głowy.

– Jest pewne ryzyko, wolno mi jednak rozporządzać sobą. A gdybym miał ten urzędowy papier?

– Wtedy miałyby pan pomoc ambasady.

173

Z ulgą przytaknęli głowami, że nareszcie wszystko stało się jasne.

Im chodziło o urzędowy papier, a szlachetny ton ocalenia był szatańską perfidią. I dla niego wszystko stało się jasne.

– Skąd powinienem mieć taki papier?

– Chociażby z Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich — odpowiedział niski.

– Mam przecież legitymację związkową.

– To nie wystarcza.

Była tu Ambasada, wysoki urząd, odpowiednio do tego surowy, a nie siedziba życzliwych serc.

– Jeśli zapadnie pan ciężko na zdrowiu lub spotka pana nieszczęśliwy wypadek, wtedy pomożemy panu — wymówił wysoki.

– Mam nadzieję, że nie sprawię wam kłopotu. Powstał. Unieśli się za nim w odprężeniu, że to już koniec.

– Przespałbym się u was, panowie — powiedział naiwnie.

– Nie prowadzimy miejsca noclegowego. Są hotele — odpowiedział niski.

– Dziękuję wam panowie za pogawędkę. Skłonił się, powiedział do widzenia i ruszył do drzwi. Tuż przed drzwiami usłyszał głos wysokiego:

– Gdzie pan będzie spał?

– Och, w tym klimacie to jak na majówce.

– Murzyni urzną panu głowę — wyskandował attache. Uśmiechnął się i wyszedł.

174

Zatrzymał się na brzeżku podcienia. Przed nim obce miasto dyszące tropikalnym skwarem. W jednej chwili wydało mu się mniej obce od tego skrawka Polski, na którym byli jego ziomkowie. Ruszył, by odejść stąd.

Palmy, pielęgnowane trawniki. Wśród gąszczy prężnej zieleni bungalowy, wille białych ludzi, nowych bogów i bożków w hierarchii ważności. Pusta ulica, często stojące auta jakby one zaludniały dzielnicę. Zatrzymał się przy starej Murzynce zamiatającej chodnik.

– Którędy do miasta? — zapytał.

– To daleko, z pięć kilometrów — wiedziała, że będzie szedł pieszo, przestrzegła go.

– Nie szkodzi — odpowiedział.

Po wskazaniu drogi nie odpowiedziała na podziękowanie, w jej starczych oczach pojawiła się troska. Po kilkudziesięciu krokach obejrzał się. Wsparta na miotle patrzyła się za nim. Była mu bliższa od wszystkich tutejszych białych — zrozumiał to także w jednej chwili.

Dobrnął do doskonałej, asfaltowej drogi. Przeszedł na drugą stronę, po której sunęły auta w stronę miasta, przystanął nad krawężnikiem i podniósł rękę.

Przeleciało z wizgiem kilkadziesiąt wozów, jakby przyspieszały na jego widok. Dużo samotnych kobiet przy kierownicach. Wszyscy zajęci sobą pędzili do swoich interesów. Wąski pas zeszcłłej ziemi przy jezdni z kozuchem kopnego pyłu. Kiedy stopy tonęły mu za głęboko, przechodził na asfalt. Marsz po

175

nim stawał się przyjemnością. Od przelatujących za blisko wozów aż uderzał go pęd powietrza. Opamiętywał się i schodził w pył. Z rzadka, w oddaleniu duże domy. Wyminęła go gromadka Murzynów idących na bosaka. Na ich twarzach zdziwienie i naiwne uśmiechy, że spotkali białego idącego pieszo. W tym kraju chodniki były wertepami tonącymi w pyle, gdy jezdnie miały doskonały asfalt. To Murzynom wydawało się zupełnie normalne. Spływający potem kroczył ostro, strasznie wolno ubywało drogi. Osuszało go ciągle spiekotliwe słońce,

mimo że południe dawno minęło. Po drugiej stronie przez prześwit żywopłotu, zobaczył wąski pasek wody i leżące na niej białe ślizgi. Odczekał na lukę w pędzących samochodach i przeszedł na drugą stronę jezdni. Minął otwartą bramkę, przy niej limuzyny, odkryte sportowe woziki. Zatrzymał się przy nabrzeżu, przed nim drżące, białe cacuszka gotowe do pędu. Na brzegu Murzyni skrobali i malowali ściągłe kadłuby. Hangar o dużych taflach okien. Dobiegł go chóralny, męski śmiech. Z lewej strony maleńki, kolorowy bungalow. Skierował się tam. Za osłaniającą ścianką był bar, w nim męskie towarzystwo ze szklanicami w dłoniach. Pozdrowił ich po angielsku. Kiedy skupiły się na nim oczy mówił wprost:

– Słuchajcie Anglicy — czy mógłbym tu u was przespać się, w hangarze byłoby zupełnie dobrze. W zamian będę wam czyścił i malował łodzie. Jestem Polakiem, za kilka dni będę miał statek do Kamerunu, na który mam już bilet.

176

Nieme, kłopotliwe zdziwienie; W tej długiej dla niego chwili ważyło się czy będzie tu mógł złożyć głowę.

– Opublikowałem dwie książki, jestem początkującym pisarzem — dorzucił.

Wparli w niego wzrok. Widział jak twardnieją im oczy i kamienieją twarze. Ostatnie słowa nie pomogły mu wcale. Dobrze odpasieni, w śnieżnych ubraniach,

pełni godności i należnych im honorów, trochę jakby gniewni na siebie, że dali się zaskoczyć na poważnie. Na twarzach pojawiły się uśmiechy i ironia. Pisarza wyobrażali sobie krańcowo inaczej. Przed sobą mieli włóczęgę, bezczelnie stawiającego się wyżej nich. Rozglądali się między sobą aż najstarszy z nich, siwy jak gołąb wtrącił:

– Przecież w Lagos jest Ambasada Polska.

– Byłem tam, nie chcą mnie — odpowiedział szczerze. — Brakuje mi urzędowego papierka z Polski, że wybrałem się w podróż.

Zaśmiali się.

– U nas nie — mówił siwiec.

Poszemrali między sobą i poweseleli przy tym.

– Tu jest jeszcze inny jacht-klub, niedaleko — pospiesznie wtrącił siwy. Od wyjścia na prawo.

– Dziękuję wam — powiedział skromnie i wyszedł.

Za bramką, według zalecenia, skręcił w prawo. Nie uszedł nawet stu metrów, gdy natknął się na gromadkę krajowców.

177

– Czy w tym kierunku jest jeszcze jeden jacht-klub?
— chciał się dowiedzieć jak tam trafić.

– Jest — odpowiedział stary Murzyn — uśmiechał się

przy tym zdziwiony — ale Afrykańczyków.

– Tylko Afrykańczyków?

– Tylko.

– Nie szkodzi — rzucił otwarcie. — A jak daleko?

– Ze cztery kilometry.

– Aż tyle...

– Najmniej.

Krajowcy odeszli. Stał i rozglądał się gdzie by tu legnąć, odpocząć. Nad szosą, którą przybył, po obu stronach tylko kopny pył. Opadał z nóg w morderczym słońcu. Wydawało mu się, że zatoka portowa już blisko, a przy niej wypoczynek. Zawrócił. Kiedy przechodził koło jacht-klubu zrozumiał perfidię Anglików, specjalnie skierowali go do Murzynów, by wskazać mu, że tam jest jego miejsce. Okłamali go, że to nawet blisko. To nic, pójdzie tam jutro. Zobaczył wysoki most nad cieśniną, wszedł nań i wsparł się na barierze. Ogarnął spojrzeniem wygładzoną jak lustro zatokę. Odrapany statek pod banderą grecką wolno sunął do wyjścia. Na pokładzie półnaczy, młodzi chłopcy kładli bom i porządkowali liny, spokojni, skupieni nie widząc świata poza swoim starym gratem. Wydawali mu się w dosyć szczęścia ludzkiego. Długo patrzył za nim aż przesłoniła go wielka bryła gmachu, statek odszedł jak stary znajomy. Trochę z prawa o jakie sto metrów, kilkanaście żaglówek i małe jachty przywiązane

do bójek. Bardziej w prawo gąszcz konarów wielkich drzew. Przemknęła go radość. Zszedł w dół na przejazd między drzewami. Przed ogrodzeniem dwie limuzyny, za nimi hangar, przestrzenny, parterowy bungalow. Przy nabrzeżu nad zatoką młoda para w leżakach, z dala od niej małżeństwo z dwojgiem maleńkich dzieci. Nie chciał ich niepokoić. Z zabudowań wyszedł Murzyn nie zwracający na niego żadnej uwagi, jakby tu nie był obcym. Podszedł do niego.

– Czy jest może prezes jacht-klubu — pytał.

– Nie — odparł dobitnie akcentując głową.

– A przychodzi tu?

– Tak, może nawet przyjdzie dziś.

Zszedł w prawo aż do ogrodzenia nad samą wodę, by nie kręcić się tu zbyt długo. Przeszedł między drutami w cień drzewa. Usiadł w wysokiej trawie. Tu nie rzucał się w oczy. Ciekawskie dzieci przyszły go jednak zobaczyć, bez żadnej obawy, jakby chciały się z nim bawić. Niechętnie odeszły na długie wołanie matki. Uczuł, że musi zdrzemnąć się chociaż chwilę a potem spyta się o prezesa. Przełożył za rękę pas chlebaka, legł na wznak i zaraz sen przymknął mu oczy. Kiedy otwarły mu się niebo było czarne. Usiadł skrzepiony. Na przystani światła lamp i pustka. Zrozumiał, że wszystko przespał. Z dala siedział

Murzyn jak na warcie i obserwował go. Zabawne to było, ale niedobre. Powstał, zarzucił chlebak na ramię i skierował się do krajowca, był to ten sam, którego pytał poprzednio.

179

– Był prezes? — wymówił smutno.

– Był — odparł krajowiec.

– A czy będzie jutro?

– Będzie.

– Około wieczora — patrzył na niego obojętnie i nie wrogo.

Pojął, że tu na poprzednim miejscu byłoby najlepiej przespać noc z pilnującym go krajowcem. Zamierzał jednak przyjść tu jutro, a takie spanie mogłoby nie podobać się Anglikom. Krajowiec otworzył furkę i zamknął za nim. Przebył ciemność pod drzewami i skierował się na most. Powiódł oczami z jego wysoczyzny. Tysiące świateł, nawet zatoka obramowana nimi. Obok spieszyli przechodnie, pędziły samochody. Wielkie miasto. Nie było tu domu, do którego mógłby pójść, ani ludzi na których mógłby się wesprzeć, żadnych, ludzkich powiązań, oderwania się od wszystkiego, całkowita samotność. Niespotykany stan, swoboda. Bawiło to go, ale zaraz wciskała się podświadomość, że noc a nie ma gdzie spać. Ruszył za statkami kierującymi się do wyjścia na ocean. Był tam pusty brzeg, plaża. Umykał na

odludzie jak zwierzę szukający legowiska. Przeszedł na drugą stronę jezdni, gdzie była wyznaczona przestrzeń na chodnik, za nim w oddaleniu domki, wille. Po dłuższej chwili wyrósł przed nim, w głębi strzelisty gmach. Sznur samochodów na asfaltowym podejździe. Przed wejściem tablica ze złotym błyskiem i napisem oznajmiała Ambasadę Stanów Zjednoczonych.

180

Przystanął nad krawężnikiem. Zajeżdżały limuzyny, krajowiec w liberii otwierał je, wychodzili z nich biali, samotni, w towarzystwie wypielegnowanych kobiet. Wielkie chłopcy, niektórzy w białych smokingach, z niespotykaną pewnością siebie parli przez otwarte na oścież drzwi, w głębi inny krajowiec w liberii witał ich w pokłonach. Parter i okna pięter w błysku światła. Władcy pół świata urządzili sobie bankiet — pomyślał. Łagodna pełna jasność spływająca z mlecznych pajaków. Stoły pokryte najcieńszą porcelaną, kryształami, srebrem, na nich jadło ułożone z wymyślną ozdobnością. W nieskazitelnie zaprasowanych, śnieżnych kurtkach liczna drużyna czarnych w nienaganych usługach. Doskonale wyćwiczeni czynili to z gorliwością dzikich, uroczyście, w niepojętym dla nich misterium jada białych, mowy, toasty, ściszone rozmowy. Piękne kobiety — zachwyty męskich oczu. Szepty. Głośne śmiechy jak wyrośniętych dzieci, w spontanicznej, wylewnej radości. Popatrzył na piętra

w jarzących światłach, samotny jak kołek wśród ludzi. Odpędził uśmiechem czający się strach. Cóż, znajdzie sobie legowisko bez większego trudu. „Murzyni urzną panu głowę”, przypomniały mu się słowa z ambasady. Chcieli go widocznie zastraszyć trochę. W głosie sekretarza była jednak obawa i nawet odcień troski. Na pewno zdarzały się takie wypadki. W wielkim rojowisku portowego miasta więcej niż gdziekolwiek indziej ludzi połamanych psychicznie i do tego głodnych. Wystarczało przejść próg ambasady

181

i skończyłyby się wszystkie jego kłopoty i strachy. Aż zdziwił się, że to tak łatwo. Rankiem obkoczyłaby go gromada dziennikarzy w przydługim wywiadzie, a następnego dnia byłoby pełno w miejscowych gazetach, że znów jeden z za „żelaznej kurtyny” wybrał wolność” i to kto — pisarz, przydając mu szczerze na wyrost to miano. Czytaliby to urzędnicy Ambasady Polskiej i osądzili krótko — zdrajca, dziwiąc się, że takiej swołoczy dają paszport w kraju i wypuszczają za granicę. Potem wyjechałby do Stanów Zjednoczonych i korzystał z hojnego „Funduszu dla pisarzy z za żelaznej kurtyny”. Musiałby tylko trochę bryzgać błotem na swój kraj, darmo pieniędzy nie dają. W kraju popełnia się wiele błędów; mała stabilizacja jest pasożytnicza, tolerowanie karierowiczów, ludzi ograniczonych kurczowo trzymających się swych stanowisk, tępo obcinających inicjatywę mądrych i uczciwych. Sztywna cenzura

daje żer plotce i „Wolnej Europie”. Na Zachód uciekło wielu dziennikarzy, pisarzy ale żaden z nich nie pisze o błędach w kraju uczciwie, krytycznie. Takie pisanie jest tam niemożliwe, byłaby to propaganda komunistyczna. A więc i on by musiał bryzgać błotem. Nie był w partii więc nie czułby się zdrajcą. Był jednak plebejem, jego dziadowie byli niewolnikami pańszczyźnianymi. Babka opowiadała mu jak w jasne noce orali swoje pólka, w żniwa zwozili żytko. Kiedyś powiedział, że jeśli urodził się w rynsztoku to weźmie na siebie całe jego brzemię i wszystkimi siłami będzie starał się uczynić z niego najpiękniejszy

182

ogród. Plebejskość i socjalizm uważał za jedność. Tak, to byłaby zdrada jego plebejów. Ich wielka budowa kraju, to właśnie ten ogród z marzeń.

Ruszył w noc, w stronę morza, by znaleźć sobie legowisko. W świetle latarni zobaczył Murzyna.

— Czy dobrze idę w stronę morza? — zapytał go by upewnić się.

— Tak. Ja też tam idę, pójdziemy razem — odpowiedział ten ochoczo.

Okrzepł po przespaniu się przy przystani. Noc była łagodna, z tchnieniem bryzy znad oceanu.

— Nareszcie można swobodniej odetchnąć — wymówił. — Czy wam w dzień jest też tak gorąco?

– Tak samo, tylko my się mniej skarżymy.

– Powiedzieli sobie swoje imiona. James był skory do rozmowy. Miał żelazne łóżko w pokoiku kolegi, za który byli dłużni kilkumiesięczny czynsz, Czasami udawało mu się złapać robotę w porcie, dorywczo, nie za często, jako liczman. Wysoki, smukły, w piaskowych spodniach i w białej odprasowanej koszuli. Mimo, że ukończył szkołę średnią, nie wiodło mu się najlepiej.

Przychylność Jamesa wydawała mu się zamysłem — biały w jego kraju zawsze miał większe możliwości i pieniądze. Może miał skrytą nadzieję, że pomoże mu w jego tarapatach życiowych. Nie wiedział biedny, że natknął się na jeszcze większego biedaka, którego nie stać na najskromniejszy gest.

– Wydawało mi się, że każdy kto umie czytać i pisać jest cenny w twoim kraju.

183

– U nas prawie nie ma przemysłu, rolnictwo prymitywne.

– Jest wam na pewno lepiej niż za czasów kolonialnych.

– Przedtem robiliśmy na Anglików, teraz na nasz rząd i Anglików.

– Jak to?

– U nas traktuje się urząd za najlepszy sposób

wzbogacenia się, im większy urząd tym szybciej i więcej... Anglicy pozbyli się kłopotu rządu, ciągle mają wielki handel, plantacje towarowe, doradztwo i kierownicze stanowiska horrendalnie wysoko płatne. Nasi mali bogacze ciągle obrywają i tak już głodowe zarobki, są bezwzględniejsi od Anglików.

W pierwszej chwili chciał Jamesowi opowiedzieć trochę o socjalizmie, ten jednak nie pytał go o to. To u Arabów właśnie przez socjalizm jego kraju budził zainteresowanie. James na pewno niewiele albo nic nie wiedział o jednym i o drugim. Zaniechał tego i odezwał się najprościej:

– Powinniście rozbudzać patriotyzm i ofiarność, na złodziei domagać się surowych kar. Mógłbyś zapisać się do związku czy ugrupowania politycznego, które uważasz za najlepsze. To najgorsze, że jesteś bierny.

– Nigdy nie myślałem o tym a powinienem. Szli niemo jakby chcieli odejść od tej ponurej rozmowy, po chwili uważali ją za skończoną. Pokazała się skąpo oświetlona buda, jakiś bar. Na zewnątrz

184

przy stolikach kilka par krajowców. James wpadł w nieukrywaną radość.

– Chodź, napijemy się coca-coli — zawołał wesoło.

– Nie chce mi się pić — odpowiedział, co było prawdą, ale myślał i o wizie, na którą mogło mu zabraknąć pieniędzy.

James przyzwoicie nie nalegał, więc przeszli barek. Skończyły się światła rozciągniętego miasta. Po chwili pokazały się światła statków na oceanie ciemności jak konstelacje gwiazdne. Pod stopami poczuli obsuwający się piasek. Przeszli wąski pas plaży i tuż przy wodzie po twardej, mokrej gładziźnie brnęli w noc. Minęli ogromne, cementowe dreny. Dziwne, skąd się tu wzięły. Po kilometrze zawrócili. Szli teraz drugą stroną plaży przy bujnej trawie, z rzadka porosłej krzakami. Mijali czarne pary na brzeżku trawy pieszczotliwie wtopione w noc. Opoдал każdej wielki samochód, dekorum szczęścia.

– To nasz hig life — objaśnił go James. To dlatego, że mają samochody, pomyślał sobie. Maleńka dziewczynka napierająco tuliła się do wielkiego mężczyzny, jakby chciała wejść w niego.

– To przecież dziecko — wymówiło mu się.

– Ładne dziecko! — zaśmiał się James. Usiedli w pustym miejscu z twarzami na niewidoczny ocean. Półkolisty zarys nieba dobrze zaznaczał się gwiazdami.

– James, a ty masz dziewczynę?

– Nie — odpowiedział głucho.

185

–. Dlaczego nie masz?

– U nas, nie ma pieniędzy, nie ma dziewczyny.

– I w moim kraju jest tak trochę, ale są i takie, dla których najważniejszy jest chłopak. Lubią być kochane, wtedy łatwiej ulegają. Sama pogoń za dziewczyną jest podniecająca, może być romantycznie piękna.

– U nas tak nie jest. Największe powodzenie mają ci z samochodami, im większy samochód tym większe powodzenie.

Siedzieli niemo. James legł na boku. Uczuł jego dłoń na swojej nodze, po chwili głaszczącą.

Parsknął, dłoń umknęła. W pierwszej chwili chciał go odpędzić, ale James wydawał mu się delikatnym i dobrym chłopcem. Zrobiło mu się go żal.

– Lubisz chłopców? — zapytał wprost.

– Tak — cicho przyznał James.

– Kto ciebie tego nauczył?

– Oficer na angielskim statku.

– Zrobił ci wielką krzywdę.

– Inni też tak mówili.

– Dostałby wielką karę, gdybym zaskarżył go przed sądem. Musiałby zapłacić dużo pieniędzy.

– James, to ciebie odtrąca od dziewczyn. Pozbawiasz się miłości, a w niej jest największe ludzkie szczęście.

– Ja też myślę, że to nie jest dobrze — jego cichy głos

tchnął zawstydzaniem.

–Więc, skończ z tym i weź się do zdobywania dużego samochodu.

186

James zbył to łagodnym uśmiechem jak nedorzeczność.

Niewidoczny ocean czasami sapnął, westchnął, pewno gdzieś daleko burzył się. Światła statków przesuwały się zauważalne dopiero po długim wpatrywaniu.

Myślał, że prześpi tu noc w trawie. Nie było chłodu a jeśli spadnie deszcz to skryje się w drenach, jak Diogenes w beczce. James zaczął prostować się i podciągać nogi, niespokojny jak przed odejściem, by mu to ułatwić odezwał się:

– To już idź James, ja zostaję, będę tu spał.

– Dlaczego?

– Po prostu nie mam gdzie — powiedział mu krótko o swojej sytuacji. — Jest ciepło — przekonywał go. — Nie cackaj się. Idź.

– Och, nie mogę ciebie tak zostawić, tym bardziej, że jesteś obcy — oburzył się James.

– Nie róbmy ceregieli.

– Żadne ceregiele. Idziemy do mnie, będziesz spał w moim łóżku a ja na podłodze.

– Nigdy tak, jeśli już to ty w łóżku a ja na podłodze, ale ja zostaję tu.

– Wiesz co, pójdziemy do rybaków przy zatoce.

– Myślisz, że przyjmą mnie?

– Na pewno. To moi, dobrzy znajomi. Poderwali się. Zdjął z ręki zegarek i schował do kieszeni koszuli, by nie drażnić jakiegoś złodzieja. James prowadził na skróty, przez piaski miejscami porośniętą trawą. Wznosił się i powiększał błękitnawy

187

neon „Royal Hotel”. Na wyższych piętrach gdzieś palily się światła.

Na półkolisty, wysoki podjazd z zadaszeniem zajeżdżały wozy. Uszeregowane na wielkim parkingu, z ostrym, zimnym błyskiem, jakieś ogromne monstra opływowe, na pęd, przydawały psychice posiadaczy tego co potocznie nazywa się nowoczesnością. Liczne szeregi, jakby każdy tu z czasowych rezydentów miał swój wóz, legitymację, kartę wstępu.

– Chce mi się pić — wymówił.

James zaśmiał się. Nie proponował mu napicia się coca-coli w barze hotelowym, a prowadził żywo wzdłuż muru do kranu, który był tu dla pojenia samochodów. Odkręcił mały strumień i pił z podstawionej dłoni długo na zapas jak włóczęga.

– Dobra woda — upewniał go James, wiedział, że

biali tutaj mają obsesję zagrożenia i piją przegotowaną.

Sam się napił. Otarli usta wierzchem dłoni i skierowali się nad zatokę. Otchłań i czerń okolona nielicznymi światłami, rzucającymi połyskliwe odbicia. Od strony miasta świetlista łuna i zamierający poszum zgiełku. Na przeciwległym brzegu dżungla. Migotliwa plamka ogniska, z wibrującej ciemności dochodził czysty odgłos tam-tamu. Taras hotelowy wychodził prawie nad wodę, rozległy, skąpo oświetlony, w półcieniu. Przy stolikach czarni i biali we wspólnej więzi bogactwa. Czarny James wydał mu się bliższy od wszystkich białych siedzących tam wysoko. Ich łączyło ubóstwo jak tamtych bogactwo.

188

Zeszli z wysokiego brzegu na ścieżkę tuż nad wodą. James skierował się w stronę miasta, prowadził Weszli w chaszczę, wśród nich wyższe drzewa. Przeszli kilka bud stojących ciasno przy sobie. Ktoś powstał, wyjrzał za nimi. James zatrzymał się i pozdrowił kilka postaci w ich narzeczu. Powiedział i on good evening. Odpowiedziano mu chętnie. James znów .mówił, słuchający przytakiwali mu zgodnie. Zwrócił się do niego zrozumiale.

– To rybacy, Ibo. Siadaj — wskazał mu ławę, sam usiadł przy nim.

James dużo mówił w wybuchach głośnego śmiechu słuchających. Wytrząsnął z kieszeni drobniaki i

zwrócił się do niego:

– Zjemy coś.

– Śmiało, beze mnie — odpowiedział zdecydowanie.

James widząc daremność, przestał nalegać. Jął się jedzenia i mówił ciągle.

Smażona ryba z gotowanym maniokiem, w ostrej przyprawie drażniły mu nos. Łatwo odpędził pokusę. Był po doskonałym obiedzie na statku. Czas by uszczuplić tkankę tłuszczową pod skórą. Wywijające się płomyki z ogniska tuż nad wodą kładły się odblaskiem na czarnych skórach. Naprzeciw niego siedział stary Murzyn i rozrośnięty młodzian, pewno jego syn. Za nimi na leżącej kłodzie przycupnęły kobiety; stara, udrapowana w perkal, młoda dziewczyna w do ziemi przyodziewku utkanym w pasie, do nagich, nabrzmiałych piersi tuliła dziecko. Długi stół

189

z nie heblowanych desek na palach wbitych w ziemię, z obu stron ławy zamocowane tak samo. Nad nimi zadaszenie na zakładkę w spadek. Za kobietami ścianka z wejściem zawieszonym kawałkiem materii, prowadzącym do pomieszczenia mieszkalnego. Deski pewno porzucone ze statków, może wyhandlowane, okrągłaki z dżungli. Otwarte, łatwe dojście do wody, na niej mała i duża, dłubanki wyciągnięte dziobami na piasek. Od strony lądu ściana krzewów stroiła i

osłaniała intymnie. Wysokie drzewa kładły cień w czas spiekoty. Prymityw, a jednak najlepszy architekt nie obmyśliłby tego lepiej.

Przyszło dwóch mężczyzn, usiedli przy stole, sapiąc jak pijani. Jeden miał prawe ramię zakończone kikutem. Starsza kobieta zakrzętnęła się koło garnków stojących przy ogniu i podała im jedzenie. Zjedli, popili samogonem palmowym. Ledwo wybronił się przed poczęstunkiem. Ten z kikutem chciał mówić ale zagłuszono go śmiechem.

— Już tysięczny raz chce opowiedzieć jak to walczył na ostatniej wojnie — podpowiedział mu James.

Potem ten z kikutem zaczął nagabywać go o wódkę. Pohamowali go. Zapłacił ten trzeźwiejszy i odeszli.

U młodzieńca siedzącego naprzeciw pojawiła się w rękach gitara. Trącał struny, wygłuszał dłonią, szukał tonów aż zaczął tkać noc dźwiękami ukrytymi w jej ciszy. Podchwytywał monotony rytm, gubił go i znów szukał. Gdzieś w nocy rozlegały się czyste, pojedyncze dzwonki.

190

— To pewno jakiś ptak? — zapytał Jamesa.

— To żaba — odpowiedział mu wesoło. Żaby śpiewały tu jak ptaki. Myślał o takiej jadłodajni, murzyńskim barku zbudowanym z trzciny, wieczorami, z gitarą i tam-tamem prowadzonym przez Afrykańczyków na ludnej, europejskiej plaży. To byłby rarytas nad

wszystkie kuchnie chińskie i restauracje greckie. Byłby trochę kłopot z afrykańskim jadłospisem, za to owoców południowych byłyby pełne kosze.

Od strony wejścia pojawił się statek w pełnym oświetleniu z marynarzami przy burcie, patrzącymi w niemym zdziwieniu. Przemknął i zniknął jak zjawą, zostawiając za sobą poszum wody. Młodziutka mama ze śpiącym dzieckiem przy piersi zniknęła za kotarą. Grający na gitarze podchwytywał zasłyszane melodie, dobywał własne bardziej stwarzające nastrój. Od wody dochodziło jakieś trzepotanie. Skręcili głowy. Pokazała się łódź. Na dziobie postać szykująca się do skoczenia na brzeg. Na rufie wioślarz bił ostro pagajam pod prąd, przerzucał na drugą stronę i znów bił. Udało mu się zarobić trochę i zmierzył dziób ukosem do lądu. Ten w przedzie skoczył jak kot, chwycił dziób i wyciągnął go na brzeg. Podszedł i pozdrowił ich po angielsku. Przysunął się blisko, wpatrywał się w siedzących zimno, nieustępliwie.

— Dwie młode, ładne dziewczyny — powiedział otwarcie i nie spuszczał z nich zimnego spojrzenia.

191

Słuchający poszemrali w swoim narzeczu. Zwrócili się do starszej kobiety i ta zaraz odeszła.

— Co to za statek? — pytał James.

— Amerykański — odpowiedział z naciskiem.

— To ten, co dopiero przyszedł — powiedział James.

– Tak, stoi blisko.

Nie był skłonny do rozmowy, patrzył mocno aż ponuro. Był w dunkrach, bez koszuli, o matowej skórze. Amerykański Murzyn do autochtonów zwracał się z góry. Wioślarz stał przy łodzi cały oblany potem. Wróciła stara z szeroko rozrosłą kobietą. Mówiła, że innych nie ma. Amerykański marynarz spoglądał na nią uważnie jak na kłacz. Odsunął jej perkal, popatrzył na ogromne piersi, wcale nie obwisłe, przytaknął głową i dopominał się jeszcze o jedną. Starucha odpowiedziała, że starczy jedna, że będzie sobie tylko leżała i chowała pieniądze pod poduszkę. Marynarz ujął kobietę za bark i skierował do łodzi. Weszła posłusznie. Na rufie, już siedział wioślarz. Amerykanin zepchnął dziób na wodę i skoczył. Łódź porwana prądem zniknęła natychmiast.

Młodzian nie brał już gitary. Powstali z ław, popatrzyli na dogasające ognisko. Gospodarze odeszli za kotarę. James pociągnął go za sobą. Za pomieszczeniem rodzinnym było zadaszenie ze ścianką od strony zatoki. Z pół metra nad ziemią ma całej powierzchni podłogi ułożona z desek rozległa prycza. Z brzegu ktoś sapał w głębokim śnie. Obszedł go i zajął miejsce pod ścianką. Legł z chlebakiem pod

192

głową. Ktoś przechodził. Doszedł dziewczęcy stłumiony chichot. Żaby dzwoniły jak ptaki, coraz ciszej, delikatniej aż rozplynęły się.

Znów ktoś chodził. Ściszone głosy. Otworzył oczy, słoneczne smugi i plamki. „A jednak mi głowy nie urznęli”. Przypomniały mu się słowa tych z ambasady. Nie było sandałów. Usiadł i rozglądał się za nimi. Wtedy James z naprzeciwka podał mu je. Przezornie schował, by ktoś nie ukradł.

Powstali. Rybacy wrócili już z połowu. Kobiety z dna łodzi wybierały ryby. Odszedł dalej, zdjął przyodziewek. Wszedł do wody, nie było w niej chłodu, rzeźwiła jednak. Przepłynął ze sto metrów. Wciągnął kąpielówki. Słońce nie było wysoko a już dopiekało. Ubrał się. Wziął od Jamesa swój chlebak i skierował się do miasta.

Ścieżką dobrnęli do drogi, ta zamieniła się w ulicę. Przed gmachem Amerykańskiej Ambasady natłok superwozów. Przypomniała mu się wczorajsza pokusa wstąpienia tam. Uśmiechnął się mocniejszy. Znów wysoki łuk .mostka. Nisko z lewej strony, przystań. Zielony brzeg, szklane domki, białe jachty, żaglówki w złocie słońca. Tyle nadziei wiązał z tym sielskim miejscem. Marina street w bukietach palm, pałace władców. Zwarta zabudowa gmachów. Wizg opon i zgiełk miasta. Za Zarządem Portu skręcili w prawo. Po stu metrach skończył się asfalt. Samochody, ludzie w chmurach gliniastego pyłu. Coraz więcej i bardziej walących się ruder. Nędzarze spali na chodnikach, zwinięci w kłębek jakby dla

przyzwoitości. Przed odrapanym i walącym się drewniakiem krzyk i tumult. W środku ciżby skakali do siebie jacyś ludzie.

– To mój kolega bije się — zawołał James i jął się przedzierać.

Spróbował iść za nim. Przegrodził go mur ludzki. W ciżbie czarnych ciał przyglądano mu się wesoło, w wybuchach śmiechu i niezrozumiałej mowy. By nie wytworzyć jeszcze jednego zbiegowiska z niemałym trudem, wśród nasilającego się śmiechu i wołań, wycofał się.

Miał do załatwienia formalności paszportowe. Łatwo odnalazł Biuro Imigracyjne. Na pierwszym piętrze, przepierzenia klatek, w nich umundurowani urzędnicy z wojskowym rygorem. Staął w kolejce krajowców. Spostrzegł porucznika, który odprawiał go na statku. Skłonili się sobie. Ten wyciągnął dłoń z przyjaznym uśmiechem. Po powitaniu przyniósł mu formularze, które miał wypełnić. Usiadł przy stoliku nad okazałym plikiem angielskich tekstów, w trzech kopiach. Uniósł głowę znad papierzysków i zobaczył Polaka, pilota, który wprowadził ich statek do portu. Był z białą kobietą, pewno żoną. Po chwili usłyszał jego głos nad sobą:

– Może panu pomóc?

– Dziękuję — odpowiedział — to wcale nietrudne.

Pilot sięgnął do kieszeni, wyciągnął paperek funtowy

i podał mu ze słowami:

– Proszę to wziąć, przyda się panu.

194

W pierwszej chwili chciał odmówić, przypominając go sobie ze statku, w następnej popatrzył na jego życzliwą twarz i wziął funta.

– Dziękuję — odpowiedział — kiedyś panu oddam. Popatrzyli z uśmiechem, po sobie.

– Życzę panu powodzenia. Niech pan sobie radzi — powiedział z przejęciem i odszedł.

Wypełnił formularze i podszedł do okienka. Urzędnik wpuścił go do środka i zaprowadził do znajomego porucznika. Ten wziął papiery i posadził go na krześle.

Zobaczył kran i szklankę, powstał by napić się wody.

Porucznik powstrzymał go żywo. Przyniósł mrożoną butlę. Wyjął mu ją z ręki, by go nie trudzić. Napełnił szklankę, potem jeszcze raz.

– Śmiało, śmiało — zachęcał go znad papierów porucznik.

Po przejrzeniu formularzy patrzył na mego z życzliwym uśmiechem, jakby w zakłopotaniu. Powstał.

– Chodźmy — powiedział ośmielająco.

Zaprowadził go do kapitana znacznie młodszego od siebie, prawie chłopca. Ten wziął papiery i rygorystycznie powiódł za sobą. Przez otwarte drzwi wpuścił go pierwszego, potem sprężył się i zameldował po wojskowemu. Siedzący w fotelu za ogromnym biurkiem otyły major skinął głową, wziął formularze a jemu wskazał ręką krzesło, by usiadł. Przeglądał papiery z należytą surowością na twarzy.

195

Kapitan stał z boku, wyciągnięty jak struna, z dłońmi przy szwach spodni. Mieli angielski wychów kolonialny, spotęgowany upojeniem władzy dzikich neofitów. Major uniósł znad papierów twardy, naciskający wzrok, głos zachrypiał mu surowo:

– Gdzie zatrzymałeś się?

– Jestem przecież w Lagos. Major uniósł ciężki korpus.

– W jakim hotelu?

– Jeszcze nie wybrałem sobie hotelu.

– Gdzie spałeś?

– Nad zatoką.

Major nasrożył się. Patrzył z urzędowej góry na bezdomnego włóczęgę.

– Ile masz pieniędzy? — pytał ostro.

– Pięć dolarów i nigeryjskiego funta. Jest to trochę mało — przyznał z uśmiechem.

– Nie śmieję się — wybuchnął major — bo cię zamknę.

Nie wolno było śmiać się, nawet ze swojej biedy.

Kapitan spoglądał na niego surowo.

– Jesteśmy za ciebie odpowiedzialni — odczekał by nadać temu ważność. — W jaki sposób chcesz się dostać do Kamerunu?

– Mam bilet na polski statek — podał mu, ten obejrzał i zwrócił.

– Jak to potrwa długo?

– Statek .może przyjść na dniach, najdłużej za tydzień.

– Dam ci pięć dni pobytu.

196

Podziękował.

Major zwrócił się do kapitana w jednym zdaniu. Ten zabrał formularze, sprężył się przed odejściem i zaprowadził go do porucznika.

Porucznik przyjął go bardzo ludzkim uśmiechem. Śmiał się z jego zakłopotania, krzepiąco, z otuchą. Tu wolno było śmiać się. Wskazał mu krzesło. Usiadł przy maszynie, wygotował pismo, przejrzał i włożył do teczki. Powstał, podał mu paszport, poprawił mundur, ujął teczkę, w drugą rękę trzcinkę jak

oficerską buławę.

– Jedziemy do twojej ambasady — powiedział. Zeszli do samochodu. Askar otworzył im tylne drzwi. Porucznik przepuścił go pierwszego. Askar zamknął, usiadł przy kierownicy i ruszył ostro. Przelatywało egzotyczne miasto, nie oglądał go tak zawsze chciwy widoków. Spostrzegał na sobie opiekuńcze oczy porucznika. Miał on w sobie łagodną swobodę, dobroć i zamyślenie nad wszystkim. Niski stopniem, posiadał cechy, które objawiają się u ludzi na najwyższych urzędach i to nie często.

– Wolałbym tam nie jechać — wymówił — Czy mogłoby się obyć bez tego wszystkiego.

– Chcemy, by ci było. lepiej. Będziesz sobie mieszkał normalnie w hotelu.

– Nie chciałbym stwarzać żadnych zadrażeń dla ambasady.

– To nie ty, to my. Obowiązkiem ambasady jest opieka nad obywatelami. Przypomnimy jej o tym.

– A jednak ja jestem powodem.

197

– Nie przejmuj się tym.

Samochód zatrzymał się. Wysiedli. Radośnie łopocząca biało-czerwona flaga. Skierowali się do ambasady. Afrykański chłopiec poszedł zameldować ich przybycie. Stali w obszernym holu przy stoliku

otoczonym krzesłami. Po kilku minutach wyszedł ten wysoki, jeden z sekretarzy. Na wojskowe sprężenie się porucznika odpowiedział skinieniem głowy bez podania ręki. Usiedli na zaproszenie. Porucznik zwracał się do sekretarza przez „wasza ekscelencjo”, potem podał mu pismo, podsunął do podpisu pokwitowanie odbioru. Sekretarz wstał. Powstali także. Porucznik podziękował, sprężył się po wojskowemu. Nie zapomniał i o nim, pogodnie uśmiechnął się oczami i odszedł.

Pozostali sami niemo, w ciszy nabrzmiałej wrogością. Nie ma nic pamiętliwszego od obrażonej dumy urzędniczej. Przeszywające, rozjątrzone oczy.

– I co, myśli pan, że coś uzyska w ten sposób?

– Wcale tak nie myślę. Już wiem — w razie wypadku, choroby...

Sekretarz pobladł, były to jego słowa, które powiedział mu poprzednio.

– Naopowiadał pan im koszałek — wymówił ze złośliwą radością.

– Odpowiadałem im powściągliwie tylko na pytania.

– A gdzie pan spał?

– Z Murzynami nad zatoką.

Na twarzy niepojęte aż łamiące się zdziwienie.

– Nie urznąli mi głowy (też z przepowiedni sekretarza), i nawet pilnowali mi sandałów.

Zrozumiał, że byłoby nieprzyzwoitością podtrzymywać rozmowę. Skinął głową, by nie wymawiać do widzenia i odszedł.

Znów brnął z odległych peryferii do miasta. Nie zatrzymywał samochodów, wyzbyty złudzeń poprzednią drogą. Od Murzynki stojącej przy rozłożonych na ziemi owocach za kilka penów kupił pęczek bananów. Wyciągał z chlebaka po jednym i idąc pojadał. Uspokajał się. Kiedy można jeść nie jest tak źle z człowiekiem. Skąd ta wrogość? Będąc w ambasadzie nie odczuwał jej tak dotkliwie, mógł się przeciwstawiać. Teraz czuł że towarzyszy mu krok w krok, owity w nią jak w mgłę. Napił się wody z kranu z boku domu, z którego pił wczoraj. Nie myśląc gdzie idzie kierował się nad zatokę. Przy przystani ślizgowców jeszcze raz przeżył ironię bogatych kpiarzy. Pokazała się jachtowa przystań, z którą wiązał wiele nadziei. Aż znalazł się nad wodą. Omiótł wzrokiem zatokę, statki, były mu bliskie, jakby jakieś przyjazne środowisko.

Odczuł, że nie opada z sił mimo skąpego jedzenia. Usiadł w cieniu pod palmą. Na niebieskawej lagunie, na kotwicach statki z dalekich krajów. Wtargnął w niego niepokój i postrzępił zachwyty. Daremnie usiłował przywrócić równowagę. Podświadomość alarmowała zagrożenie. Jaka szkoda, że nie ma tu miejscowego Związku Literatów. A jednak

przypomnienie obowiązków przez Biuro Imigracyjne było

199

daremne. Mógłby tam pójść i powiedzieć życzliwemu mu porucznikowi, że mylił się. Dopiero byłaby heca. Major miałby okazję do nadęcia się. Przekonałby także sekretarza, że właśnie „w ten sposób może coś uzyskać”. Chciało mu się śmiać. A jednak nie zrobi tego, obejdzie się. Może jest tu Związek Dziennikarzy — wskoczyło mu do głowy. Zobaczy środowisko kutych na cztery łapy, wcale niezłych chłopów. Zjadł banany, by ich nie nosić. Puścił się Marina street w stronę centrum miasta. W pierwszym sklepie z telefonem znalazł w książce i zapisał sobie adres. Dziewczyna powiedziała mu jak tam dojść, za podziękowania zaśmiała się szczerze, spontanicznie.

Wrócił Marina street! Znalazł ulicę, była jedną z poprzecznic, bez numerów, to znów skaczącymi bez ciągłości. Spostrzegł ledwo widoczną tabliczkę. Za płotem duża willa tchnęła pustką. Furtka zamknięta. Stał nie wiedząc co począć. Ruszył wolno, przystanął, zawrócił. Po drugiej stronie ulicy za ogrodzeniem z pnączy na kracie, nowoczesną bryłą widniał bar. Skierował się tam. W ogródku przy stoliku, pod przepierzeniem czerwonych róż siedziało dwóch Afrykańczyków. Jeden, ubrany po europejsku w ciemnych, ostro zaprasowanych spodniach i lśniące białością koszuli, drugi w krajowej robie. Skłonił się i zapytał:

– Gdzie tu jest Związek Dziennikarzy?

– Po drugiej stronie ulicy — odpowiedział ten w robie.

200

– Byłem, ale tam pusto.

– Po remoncie, będzie .otwarty za jakie dwa tygodnie.

– Szkoda. Jestem z Polski, czekam na polski statek do Kamerunu. Chciałbym zobaczyć tutejsze środowisko.

– Jestem prezesem. Związku — powiedział swobodnie.

– Ja opublikowałem dwie książki...

– Miło spotkać ciebie.

Powstał gorącym odruchem, ogromny, za nim jego towarzysz. Uścisnął im dłonie. Wskazali mu krzesło.

– Ja też zbieram się do napisania książki, gromadzę materiał.

– Pracujesz w .miejscowej gazecie?

– Czasami drukuję w nich. Pracuję dla agencji obsługującej angielskie pisma.

– To lepsze.

– Większa swoboda, możliwości. Wyjazdy do Anglii.

Wpatrywał się w jego robę u góry swobodnie

rozrzuconą, spływającą w dół w powłóczystych fałdach, nasyconą całym bogactwem barw Afryki.

– Ubiór twój przypomina antyczność...

– Mnie też się podoba. To nasz narodowy strój. Latem chodziłem w nim po Londynie. Pod koniec roku wybieram się do Moskwy, też wezmę go ze sobą.

– Robi wrażenie.

201

– Jest wygodniejszy.

– Na pewno. Po europejsku człowiek wygląda jak prasowany.

Ten ubrany po europejsku przywtórzył śmiechem. Przysłuchiwał się aktywnie z żywym odbiciem na twarzy.

– Chodźmy stąd — wymówił prezes i powstał. Powiedli go ze sobą. Pusta sala wypucowana na połysk, dużo szkła. Gromadka kelnerów w oczekiwaniu. Zajęli przylegający pokój, niski stolik, niska kanapka, fotele.

– Napijemy się — pierwsze słowa prezesa i oczekiwanie na zgodę.

– Możemy — odpowiedział.

– Co chcesz? — by skrócić namysł dopowiedział — koniak może być?

– Może być — wymówił cicho.

Kelner przyniósł im napitek. Prezes popędzał. Unieśli szkła. Wzajemnie życząc sobie zdrowia wypili. Rozsiedli się swobodnie.

– Gdzie zatrzymałeś się? — zapytał go prezes.

Jeśli powie prawdę, zaszokuje to ich na pewno — przemknęło mu po głowie — mogą sobie wyrzucać, że wpadli w niepotrzebną znajomość z nic nie znaczącym włóczęgą, albo może to wywołać odruch opiekuńczy, wtedy znajomość stanie się dla nich uciążliwą.

– W Polskiej Ambasadzie — powiedział wymijająco.

– Podoba ci się tu?

202

– Wszystko zupełnie inne niż w moim kraju i przez to interesujące. Odmówił następnego koniaku. Powinien się zrewanżować, ale myśląc o wydatkach na wizy, nie zdobył się na to.

– Wy też macie pisarzy, chciałbym ich spotkać.

– U nas prawie całe pisanie to dziennikarstwo. — Podał mu numer telefonu profesora wykładającego literaturę na uniwersytecie.

Zbierał się do odejścia.

– A gdybym ja tak napisał reportaż o Lagos, tylko ten

mój angielski — zakończył wstydliwie.

— Ja ci poprawię — podchwycił prezes. — Tu spotkasz mnie prawie zawsze pod wieczór.

Uścisnął im dłonie i zostawił wesoło zdziwionych. Szedł, sam nie mniej zdziwiony, w oszołomieniu. Przypadek, szczęście... Przez głowę przelatywały obrazki reportażu. Nie myśląc gdzie idzie, szedł nad zatokę. Zawsze kierował się do wody. Usiadł. Omiótł oczami połyskliwy błękit z nalotem złota, leżące na nim statki. Napisze po polsku, potem przetłumaczy na angielski. Robota niemała. Oswajanie lądu pełnego tajemnic, nieznanego kraju. Wyłaniające się drapacze w wyrwie dżungli. Dobył brulion z chlebaka, długopis i na kolanie zaczął szkicować plan. „Lagunowy port” — to będzie tytuł. Podjęcie pilota Polaka, zaskakujące i miłe w tej obcości. Śmiałe manewry w zatoce pełnej statków w ruchu i na kotwicach (zawsze Kozietulscy). Uchodzące im z drogi dłubanki piróg. Czarne plecy oblane potem, napierające na pagaje. Strzeliste wieżowce, monumentalne

203

olbrzymy. Nowoczesność. Największa metropolia Zachodniego Wybrzeża. Właściwie była to obwódka na niepełnym łuku lagunowej zatoki. Za nią rudery, dalej budy, szalasy. To pominie — wszyscy są jak kobiety, lubią by ich chwalić. Będzie tylko zachwyty, trzeba tak taktycznie. Dwadzieścia statków z odległego świata w prostej linii pod dźwigami

nabrzeża Apapy, inne na bojach, kotwicach. Obrazy aż jarzące się od nasycenia słońcem. Przyspieszony rytm pracy w słońcu podpalającym krew. Odurzający zapach kakao. Pogoda ducha, skorością do śmiechu wita gorąca Afryka trochę ponurych przybyszów z zimnej północy. Słońce kierowało się do zajścia. Nie myślał, że nie ma gdzie spać, było gorzej, bo nie miał gdzie pisać. Właśnie w Klubie Jachtowym, do którego miał pójść był szklany domek. Schował brulion do chlebaka i szybko popędził.

Pod wielkimi drzewami stało dużo zaparkowanych wozów, od staroświeckich karet aż po sportowe, odkryte cacuszka. Po przejściu furty zjawił się Murzyn, znajomy z poprzedniego dnia, wiedział po co przyszedł, odezwał się pierwszy:

— Jest prezes — widząc jego ożywienie dodał — ale już na zebraniu.

Odetchnął z napięcia. Teraz trzeba było tylko cierpliwie czekać.

— Słuchaj, będę tam nad wodą — ruchem głowy wskazał kierunek. — Przyjdź i powiedz mi kiedy skończy się zebranie.

Krajowiec przytaknął.

204

By nie rzucać się w oczy, skierował się na sam skraj prawej strony nabrzeża. Ustawił leżak z widokiem na zatokę i tak by bez zbytniego skręcania głowy ogarnąć

spojrzeniem przystań. Wpółleżąc wyciągnął się swobodnie, całe ciało zwolnił. Podniósł ręce, złożył dłonie na głowie i wyłączył myślenie. Przymknął powieki. Jak po wielkim zmęczeniu lub przed zebraniem sił do wielkiego wysiłku, kilka razy odetchnął głęboko. Potem oddech dostroił się do potrzeb, stał się niezauważalny. Nie zapadł w sen, dziś był wypoczęty. Otworzył oczy.

Na przystani coraz ludniej, przeważnie kobiety, jakby tylko mężczyźni prowadzili obrady, leżakowały, siedziały przy stolikach. Nigdy nie zmęczone odpoczywaniem, posiadały całkowicie tę sztukę. W tym nie bardzo przyzwoitym świecie, ludzie ci mieli absolutną pewność, że tylko oni są przyzwoici z uporządkowanym tym i tamtym światem. Zamknięci w sobie wobec innych, z chorobliwą wrażliwością na zagrożenie ich trwania w spokoju i wyniosłości. Na tym samym miejscu co poprzedniego dnia, młode małżeństwo z maleńkimi dziećmi. Cała rodzina w kostiumach kąpielowych. W jego stronę szła młoda para, rozglądali się jakby szukali miejsca. On trochę w przodzie w śnieżnej koszuli, jaskrawym krawacie, ostro zaprasowane spodnie, lśniące buty, oliwkowy i kruczy jak Hiszpan, z wypomadowanymi włosami. Ona o jasnych włosach i oczach, wiotka, w skromnej sukience — najpewniej Angielka. Podeszli na sam skraj przystani i zatrzymali

rozdrażnioną twarz. Widać było, że tu chciałby usiąść, ale już siedział ktoś, kto był zaprzeczeniem elegancji. Nawet coś zaszemrał po hiszpańsku, zawrócił, za nim powolnie dziewczyna i przedzierała się dalej osaczeni chłodnymi spojrzeniami.

Poczuł się gorzej niż Hiszpan. I zaraz dawała o sobie znać wrodzona hardość. Powstrzymywał w sobie z trudem śmiech i spojrzenia pełne ironii. W żadnym wypadku nie wolno mu być przykrym intruzem, tym bardziej, że tu właśnie mógł znaleźć stół i światło do pisania. By zająć się czymś, wydobył z chlebaka brulion i długopis.

Przejrzał szkic planu reportażu. Tytuł już miał. Zapalił papierosa, by dojrzeć w sobie do pasania. W pierwszym zetknięciu bardzo silne odczucie bogactwa barw, obrazów, głosów, zapachów. Wszystko było inne, uderzało zadziwieniem i zachwytem. A więc jak najbardziej egzotyka, mimo postponowania jej, określania łatwizną. Będą obrazy portu, pracy, życia w nim, jak w kalejdoskopie, ożywione rytmem palącego słońca.. Prymityw sprzed tysięcy lat i nowoczesność — widoczna miara przebytej drogi. Zaczął od wpatrywania się w białe wieżowce coraz dumniej rosnące w niebo. Smukłe, w pozłocie słońca, dawały radość i zachwyt. Nowy Jork wydawał mu się brudnym, monstualnym rumowiskiem ponuro przytłaczającym. Zapalił papierosa, co kilka zdań brał go z trawy i znów odkładał; przy pierwszym sama ręka szukała popielnicy. Nawet zaniknął

nawyk stołu. Uniósł głowę znad brulionu, zobaczył blisko stojących brzdąców przyglądających mu się z niebywałą powagą. Ciągnął zdania a brzdące stały w cichym zdziwieniu. Radością było, że nie odeszły po jego spojrzeniu. Czuł ich życzliwość, przenikała go ciepłem. Zaraz podbiegła mama, napominała je. Usłyszał tylko wymówione po angielsku:

– Nie można przeszkadzać.

– Są bardzo miłe, wcale nie przeszkadzają —
zaprzeczył z uśmiechem.

Mama na sekundę, dwie, uniosła na niego oczy i odeszła z dziećmi.

Powstrzymał w sobie śmiech, między tymi ludźmi a nim był mur. Spostrzegł, że skrzepiło go pisanie, teraz miał zupełną pobłażliwość dla ich wyniosłości tchnącej komizmem. Nie czuł się gorszym ani lepszym, był inny. Pisania jął się w samoobronie i ani się spostrzegł jak przebył nawyk odosobnienia.

Pochłonięty supłaniem obrazków, zasłuchany we własne myśli, odrywał się od przystani, zapominał zupełnie o nie bardzo przyjaznym środowisku.

Napięta twarz stawała się ostra, chwilami udręczona, ale też stawała się aż nieprzyzwoicie pewna siebie. W takich chwilach chciałby się schować chociażby do pieczary. Na pewno widzieli to na przystani, może myśleli sobie: „Patrzcie bezczelny włóczęga”. Ale on wtedy zapominał o świecie. A jednak był intruzem,

zgodził się z tym bez wyrzutów.

Rozległo się chłaśnięcie, jakby ktoś deską uderzył o wodę.

207

– Barrakuda — krzyknął Hiszpan.

Po kilku sekundach srebrzysta klinga dwumetrowej długości przeleciała łukiem w powietrzu jakby chciała latać. Gromadka mew z piskiem kołowała nad wodą. I jeszcze raz za rogiem nabrzeża wyskoczyła .pionowo, jakby chciała zapolować na mewy. Te pierzchły a barrakuda obsunęła się w wodę na ogon. Na przystani wszyscy znieruchomieli i umilkli z emocji.

Przytomnieli i znów wchodzili w swój chłód.

Pojawiało się coraz więcej przybyszów. Podobało mu się to, stawał się coraz bardziej niepoznacznym. Nawet obawiał się, że nie spostrzeże kiedy skończy się zebranie, a prezes może po prostu odjechać. Powstał. By nie przechodzić przez skupienie ludzkie, skierował się brzeżkiem nabrzeża. Minął Hiszpana i dziewczynę. Stali blisko siebie wpatrzeni daleko w zatokę. Do maleńkiego domku z płyt przylegała daleko większa weranda z obradującymi. Przeniósł najbliższy leżak aż koło domku i usiadł z twarzą w stronę wody. Stąd nie mógł nie spostrzec rozchodzącego się zebrania. Zadowolony ze swej przemyślności wziął się do supłania obrazków. Zapadał zmrok. Schował brulion i pisak do chlebaka. Na przystani wyblysnęły światła. Murzyni znosili na

ramionach poskładane krzeselka. Kobiety po dwie ścigały stoliki, ustawiały w rząd, rozkładały i przystawiały krzeselka. Pohamował pierwszy odruch pomocy. Tu zanosilo się na biesiadę, wyglądałoby jakby przez swoją pomoc chciał się wprosić. Gdyby same go poprosiły

208

o pomoc... to oczywiście nie nastąpiło. A przecież, mimo swej pracy Murzyni też nie wezmą udziału w biesiadzie. Zabawne. Podobała mu się obszerna weranda jak sala. Dawała długi wybieg do chodzenia w tę i z powrotem dla namysłu. Cała ze szkła, dach także. .Miałby tam nocą rozległy widok przez niewidoczną ścianę jakby nie istniejącą, na uśpioną zatokę, kojący i ożywiający. Przepływające z szumem statki. Nad nim roziskrzone w gwiazdach niebo. Przechodzące zenitalne ulewy, tropikalne burze. Idealne miejsce do pisania. Przeniósł leżak, by być jej bliżej i usiadł. Sam w półmroku, teraz niewidoczny, w jasno oświetlonym wnętrzu widział obradujących.

Przeważnie w średnim wieku, leciwcy o białych głowach, siedzieli w rzędach krzesel przykładnie jak chłopcy na lekcji. Twarze zasłuchane, przejęte. Podnosili dłonie, po udzieleniu głosu powstawali oddając tym szacunek dla słuchających. Mówili spokojnie, przeważnie krótko bez ironii, kończyli nikłym uśmiechem, jakby przepraszaali za swoje wystąpienie. Nie było krzyków, wtętoów, żaden z głosów nie dochodził go poprzez szybę. Przypomniał

sobie zebrania w swoim kraju i odczuł zawstydzenie.

Na przystani stoły były już pełne szkła, porcelany. Kobiety dobywały z koszów zakąski, na końcu butelki, sprawdzały jeszcze, przesuwają. Potem zbierały się w szemrzące gromadki pełne oczekiwania. Murzyni przynieśli trójnog, napełnili go konwiami oleju. Śliczna dziewczyna podpaliła z przejęciem jak

209

ogień ofiarny. Z wielkiej czary wywinął się płomień, nasilał w białe kłęby ku radości wszystkich patrzących. Jakby to był znak, po chwili powstali obradujący.

Starał się nie zgubić z oczu tych zza stołu prezydialnego. Całą trójką szli wprost na niego i zatrzymali się blisko. Wybrał najstarszego o srebrnej głowie, pełnego dostojeństwa. Podszedł i raczej twierdził niż pytał:

– Pan jest prezesem?

Wskazał głową na wysokiego, znacznie młodszego od niego, o rudej, zwichrzonej czuprynie i w krótkich spodenkach khaki.

– Ja jestem prezesem — Odpowiedział tenże z wyraźną akcentacją.

– Bardzo przepraszam — wymówił zmieszany.

– Och — odpuścił mu z wielkodusznym uśmiechem.

Skupił na nim wzrok w oczekiwaniu.

– Jestem Polakiem. Czekam na statek do Kamerunu, to zajmie z tydzień. Próbuję być pisarzem, wydałem dwie książki. Nie mam gdzie pisać. Nocą w tym szklanym domku, byłoby idealnie. Czy mógłbym skorzystać z waszej łaski?

Stali niemo aż odezwał się prezes.

– Przepraszam ciebie na chwilę — i odeszli całą trójką do szklanego domku.

Widział jak zebrali się w gromadę. Odszedł, by zostawić im swobodę i usiadł w leżaku. Trwało to długo, myślał, że zapomnieli o nim. Aż wyszedł prezes wypatrujący go. Podszedł.

210

– Nie możemy ci pomóc — wymówił z trudem. — To nie zależy ode mnie.

– No cóż, nie można — starał się wymówić wesoło, chociaż to nie wyszło.

– Czy to ty tu spałeś wczoraj nad wodą?

– Tak, to ja — odpowiedział cicho.

– Poczekaj jeszcze chwilę — wymówił z nadzieją i odszedł. Trwało teraz jeszcze dłużej, nim wrócił.

– Nie możemy ci pomóc. Nie możemy łamać regulaminu — mówił głucho.

– Trudno. Myślę jednak, że moglibyście dać mi szansę. Nie jesteście w porządku.

– Przepraszam ciebie — wymówił smutno.

– To ja przepraszam — odpowiedział i odszedł. Był przekonany, że młody prezes był mu życzliwy aż dwa razy daremnie przekonywał swoich kolegów.

Przyzwoici obronili się przed włóczęgą.

Nie myśląc gdzie idzie kierował się do Ibów. Za mostem zszedł do ścieżki nad wodą, ciasno wijącej się wśród chaszczów. Wyminął dziewczyny ocierając się o nie, czarne, niewidoczne, wyczuwalne. Przystanąły w wybuchu piskliwego śmiechu, przypominały się jawnie, otwarcie. Zdawało mu się, że drwią z jego nieporadności. Przyspieszył kroku. Z bud dochodziły głosy układających się na spoczynek. Zatrzymał się przy otwartej luce z widokiem na zatokę. Niepewny czy trafił zbliżył się do stołu. Czarne twarze zaśmiały się jakby grali w chowanego

211

Siedzieli przy sobie, on wypoczywał, ona karmiła dziecko. Uśmiechnął się i powiedział:

– Dobry wieczór.

– Dobry wieczór — odpowiadali z ochotą, przyjaźnie.

– Czy jest James? — pytał jak o kogoś bliskiego.

– Nie przyszedł dziś — odpowiedział krajowiec.

– A przenocujecie mnie?

– Tak — wymówił najnormalniej. Na czarnych twarzach wykwitły uśmiechy jakby samo pytanie wydawało im się niepotrzebne.

Powiedział im rodzinnie dobranoc i odszedł.

Na wysokiej podłodze jak prycza nie zastał nikogo. Zajął miejsce przy ścianie od strony wody. Rozluźnił pasek, zapięcie sandałów, ułożył chlebak pod głową i legł na wznak. Podzwaniały żaby. Zaszumiał przepływający statek. Pod przymknięte powieki wcisnęła mu się przystań jachtowa. Wielka żagiew, ognie z antycznego trójnogu. Teraz już w najlepsze jedzą i piją. Radosny gwar przy obsiadłych stołach. Toasty, śmiechy, jedzą, piją. Nie myślał o jedzeniu mimo, że był tu na „bananowej diecie”. Łaknął krzepiącej życzliwości i radości ludzkiej. Wyobraził sobie, że wszystko to dzieje się na przystani żeglarskiej w Golęcinnie. Jego krajanie nigdy by nie odpędzili wędrowca od biesiadnego stołu. Kiedy cieszą się Słowianie, chcą obdzielić swoją radością wszystkich, cały świat. Przypomniawszy sobie robotników, Arabów przykucniętych na pokładzie statku wokół wielkiej misy. Kiedy przechodził zapraszali go zawsze,

212

jaką radością było dla nich kiedy nabierał jadła z misy. Postępek, z którym się spotkał dziś, był na pewno wbrew starym cnotom Germanów, z których

wywodzili się ci ludzie. Byli wytworem kilkuwiekowego kolonializmu, rządzącą kastą w murzyńskim kraju. Cynowymi bogami, jak nazywała ich Murzynka, piekarka z Freeton. A gdyby zaprosili go do biesiady, wtedy miałyby o nich inne mniemanie. Nie powinien w niej wziąć udziału, wytłumaczyć się znużeniem, sennością. Z pewnością by jednak nie odmówił i przez to czuł wstyd. Nie mogli przecież postąpić wbrew swoim zasadom, wbrew sobie. Jego obawy i wstyd wydały mu się śmieszne. Nasenne dzwonienie żab przesłoniło przystań, oddalało się jak dzwonienie fletu aż odeszło.

Zbudziły go głosy ludzkie. Usiadł i nasłuchiwał szmerów porannej krzątania. Przez złociste szpary wdzierało się słońce. Przygładził włosy, ujął chlebak i wstał. Na kładce nad wodą kobieta oporządzała ryby. Młody jeszcze chłopiec, jej mąż wrócił już z połowów, przeglądał sieć rozwieszoną na drągu. Niemowlę w opałce jak żywa, czarna laleczka, poruszało rękami i nogami. Powiedział im „dzień dobry”. Odpowiedzieli mu z uśmiechami. Ci prymitywni ludzie mieli je zawsze kiedy zwracał się do nich, przyjaźni, wielkoduszni. Chwilę popatrzył na nich i szedł dalej w stronę cieśniny na ocean. Odszedł od bud spory kawałek. Zdjął z siebie przyodziewek wraz z kąpielówkami. Woda zawsze podgrzana. Przeciągnął ze sto metrów crawlmem, z powrotem przeplatana

swobodnie, więcej dla zabawy niż dla gimnastyki. Wciągnął kąpielówki, by nie świecić golizną przy obsychaniu. Ubierał się powoli, dokładnie. Wdrapał się na wysoki brzeg. Stąd na przełaj do drogi. Kierował się do miasta.

Z mostu ogarnął spojrzeniem uśpioną jeszcze przystań, w której miał tyle nadziei. Odnalazł park, koło którego już przechodził. Usiadł w cieniu na ławce. Nieczuły na rozmaitość kwiatów, roślin, drzew, jakich nie widział nigdy, dobył z chlebaka brulion, pisak i wziął się do reportażu. Kiedy już kończył wtargnęły gromadki młodzieży roześmianej, gwarnej. Przyjemnie drażniły i wciągały uwagę na siebie. Zebrał chlebak i uciekł. Niedaleko stał nieduży kościół, przy nim skwerek i kilka ławek. Tu dopisał kilka zdań. Odetchnął swobodnie jak po ciężkim wysiłku. Było tu pustawo. Nieliczni przechodzący krajowcy ścisiali głosy, szanując świętość miejsca. Wziął się do tłumaczenia na angielski. Dobył słownik, często wyszukiwał, znaczenia nieznanych słów. Podejmowanie z ławki i odkładanie go było uciążliwe, niewygodne. Gdyby jeszcze kawałek stołu, byłoby idealnie. I wtedy przemknęło mu przypuszczenie jak odkrycie. Nie namyślając się zebrał szpargały i skierował się do kościoła. Przez na .oścież otwarte drzwi widniał surowy ołtarz. Wewnątrz pusto i chłodno. Usiadł w przedostatniej ławce. Jak profan rozłożył swoje papierzyska na pulpicie do modlitewników. Było tu wygodnie, trochę ponuro, nastrojowo. Dla ułatwienia powydzierał kartki z

polskim tekstem.

214

Każde zdanie było radością aż odeszła i ona w skupionym zapamiętaniu. Wstępujący na modlitwę krajowcy pełni cichej pokory, jakby szanowali i jego pracę, nie okazywali żadnego zdziwienia. Ciągnął pełnym tchem, zapomniał o czasie. Zaczęła mu ciążyć dbałość o wyraźne pisanie, to wydało mu się teraz najważniejsze. Przy ołtarzu pojawił się w białej komeżce czarny ministrant. Coś ustawiał, przestawiał, przygotowywał ołtarz do wieczornej mszy.

Popędzało i to aż skończył. Wszystko ułożył w chlebaku. Podniośle uradowany, gotów pomodlić się ale nie miał do kogo. W myślach złożył dziękczynienie miejscu i wyszedł.

W barze dziennikarz kończył posiłek. Zapraszał, by zjadł co, napił się. Uśmiechał się wielkodusznie, Ogromny, w kolorowej robie. Odmówił, by nie przeciążać gościnności. Niespokojny, myślał tylko o jednym.

– Napisałem — wymówił z opanowaniem.

– Dawaj to — natarł przyjaźnie. Zaraz wziął się do czytania. Przebiegał oczami, czasami na głos z domysłem.

– Składnia zupełnie połamana — wtrącił z zawstydzaniem.

– Wiem o co chodzi — uspokoił go.

Patrzył jak z trudem przedzierał się przez błędy, z opanowaniem, bez otrząsań, jakby nie chciał mu czynić przykrości. Zwątpienie i nadzieja targały nim i łudziły. Pierwszy czytelnik wreszcie dobrnął do końca. Uniósł twarz, utkwiał w nim mocno oczy. Zdawało

215

się że waha się. By ułatwić mu przykrą decyzję sięgnął po rękopis. Napotkał powstrzymującą go rękę. Zelzało spojrzenie.

– Bardzo obrazowe — wymówił.

– Aż za bardzo — chciał dopowiedzieć niedomówienie.

– Nie przeszkadza, czytający powinien widzieć to wszystko.

– Za duża obrazowość może stłumić mechanizm spraw ludzkich.

– Tu obrazami układasz mechanizm.

– Bardzo powierzchownie.

– Przyczyny powstawania i narastania zjawisk mogą być ukazane pokrótce. To już wychodzi poza reportaż i na to masz za mało rozeznania.

– Właśnie.

Atakował sam siebie, by dziennikarzowi zostawić łatwość wtórowania, ale ten nie chciał się z nim godzić, wziął go w obronę. I tak przekomarzali się aż powstali. Odprowadził go na ulicę do samochodu.

— Dziś jeszcze poprawię i każę przepisać na maszynie — powiedział przed odjazdem.

Patrzył za odjeżdżającym aż zniknął mu za zakrętem. Stał, nie wiedząc gdzie iść, zdziwiony sobą. I naraz zrobiło mu się wesoło. Powstrzymał dziecinny chichot. To dopiero była nadzieja, żaden pewnik, że wydrukują. Był pełny wieczór. Rozejrzał się i skierował, gdzie łuna świateł biła najmocniej.

Przybrzeżna Marina street zaczynała się prawie od przystani jachtowej. Z głębi czarnej zieleni ogrodów

216

jaśniały wille, pałacyki. Od strony wody rząd palm o grubych pniach i wysoko zawieszonych koronach. Rozległy widok na zatokę; statki stojące na bojach, pędzące motorówki, czerń w rozbryzgach świetlnych. Po drugiej stronie długi rząd statków rzęsiście oświetlonych przy nabrzeżu Apapy. Szedł samotnie. Po asfalcie z wizgiem mknęły auta. Coraz więcej pojawiało się przechodniów. Z fery spłynął tłum. Miast ogrodów ogromne kamienice. Z trudem przemykał poprzez ciżbę ludzką, sami krajowcy. Przeszedł na drugą stronę ulicy. Zatarasował mu drogę roześmiany, huczący kłęb ludzki. Przecisnął się do środka aż zobaczył, że wszyscy patrzą w dół na

rozpostartą ceratę i odczytują na głos:

Jean-Marie

Tour de monde

Kwadraty w abstrakcyjnych malunkach, w nich wymyślne i dowcipne podziękowania wierszem, według wysokości cyfr. Właśnie te podziękowania nieciły wesołe wybuchy. Mało używany tu francuski wzbudzał tym większą ciekawość. Obficie sypała się miedź, nawet srebro. Jean-Marie stał na stopniu podcienia, bardzo wysoki, smukły. Rozmawiając po francusku z czarnymi, eleganckimi młodzieńcami, ruchem skromnym pełnym uznania, palcami dłoni dotykał szerokiej, kryzy stetsona, czasami uchylał kapelusza, posyłał melancholijny uśmiech hojnemu dawcy. Jean-Marie wydał mu się Krezusem, rzucił jednak symboliczne pięć pensów. Znów dotknięcie kapelusza

217

Spojrzeli na siebie, jeszcze z nawrotem. Był pewien, że w tym drugim spojrzeniu Jean-Marie upewniał się tylko, że przed sobą ma także włóczęgę.

Schował się w tłum, by spomiędzy głów przyjrzeć mu się. Był w przyszarzałej, kiedyś białej koszuli z krótkimi rękawami, spłowiałych dunkrach i w butach z półcholewą wpuszczonych pod spodnie. Twarz mała, jeszcze chłopięca, z melancholijną, nieokreśloną tęsknotą, w niej absolutne poddanie się swemu losowi,

wprost na zatracenie. Jakieś zupełne zerwanie z normalnie żyjącą społecznością, gdy on trzymał się jej jak mógł wraz z pozorami. Nigdy nie zdecydowałby się na rozpostarcie ceraty na ulicy. Zrozumiał, że zawsze tkwił i będzie zawsze tkwił w społeczności. Pragnął porozmawiać z nim, zaniechał, by nie przeszkadzać w kweście.

Szedł dalej, zagubiony w tłumie krajowców. Skierował się nad wodę i tu stało kilka przycumowanych statków. Jęk i łomot dźwigów, odurzający zapach kakao. Gromadki marynarzy spieszące na ląd. Półnaczy robotnicy siedzieli w kucki pod hangarami. Gorąca, aż lepiąca się noc. Skierował się w prawo. Na jezdniach bocznych ulic roił się, przelewał tłum. Nie było tu domów mieszkalnych. Wielkie sklepy ze spuszczoneymi żaluzjami zamknięte na głucho, składnice, domy towarowe. Zewsząd niosła się muzyka, ryczało radio, zderzały się dźwięki, rozbryzgami biły w uszy. Zajrzał do jednego podwórka, pełno stłoczonych jak rumowisko bud mieszkalnych. Na ziemi gramofon o wielkiej trąbie, przy nim siedział chłopak

218

wpatrzony w wirującą płytę. Wirujący kłęb ludzki w dygach, skurczach. Zobaczyli go i wrzasnęli przyjaźnie zaproszeniem. Wycofał się. Gromadka chichoczących dziewcząt zastąpiła mu drogę. Powiedział że nie ma pieniędzy ale to nie odstraszało je. Wybuchnęły śmiechem, jedna z nich wzięła go za

rękę i ciągnęła za sobą. Wyłuskał dłoń i ruszył ostro. Ci ludzie po ciężkiej pracy tańczyli teraz jak w buszu, na wskroś przeniknięci zabawą. Pewnie mieli mu za złe, że nie chciał się włączyć. Mając dość przyjaznych zderzeń wrócił na Marina street. Nie było już Jeana-Marii pod podcieniem. Skręcił w lewo i tu, tuż za główną ulicą, trwał jakiś ludowy festyn. Pod murami wyciągnięci, skurczeni spali ludzie, przeważnie starcy. Nie przeszkadzała im zabawna wrzawa, może dogorywali, by którejs nocy czy za dnia nie wstać więcej.

Miał dość zabawy, szedł do przyjaznych Ibów nad zatokę. Spostrzegł znajomy kościół. Drzwi były zamknięte. Podszedł do ławki tej samej, w której pisał reportaż. Zawsze mile wraca się do takich miejsc. Nie dochodziła tu wrzawa gramofonów, tańców, rozbawionych dziewcząt. Poddał się podniosłej ciszy. Jego dom był u Ibów, ale i tu było mu dobrze. Patrzył na ciemną sylwetkę kościoła. Dom Boga. Tu ofiarowywano największy dar, dar nieba. Wielkie marzenie jak w poezji. Trzeba tylko uwierzyć, by je osiąść. Tak łatwe i tak niemożliwe. Zauważył, że przy kościele, trochę w oddaleniu stoi piętrowy dom. Paliło się kilka świateł. Pewno plebania, pomyślał

219

sobie, a może tu udałoby się przespać? Odpędzili go krajanie z ambasady jego ojczyzny a tu mieliby go przyjąć? Był niewierzącym. Wydało mu się, że jest bezczelny. A jednak czuł coraz mocniej, że tak

właśnie postąpi. Siedział tym tylko pochłonięty, mocował się ze sobą.

Wstał i skierował się do domu. Przy wejściu widniała tabliczka „Szkocka Misja Prezbiterianów”. Uderzył kołatką w drzwi. Otworzył mu sędziwy krajowiec. Nie słuchając, powiódł go korytarzem, otworzył i zamknął za nim drzwi.

Przy stole nad otwartą Biblią siedział brat mający dyżur. Uniósł bardzo jasne oczy jak z zaświatów. Wysłuchał go, odczekał chwilę:

– W taką drogę wybierasz się dla kaprysu — synu.

– Nie tylko. Myślę, że z Afryki najmniej wiemy o jej ludziach.

– Jesteś komunistą — wymówił łagodnie.

– Tak.

– I wojującym ateistą.

– Nie. Obchodzą mnie sprawy dosiężne intelektowi.

– Intelekt jest zwodny. Często w nim czai się bestia. Tylko w Bogu jest godność ludzka.

– Myślę, że w rozumie i szlachetności jest również.

– Często pod szlachetnością kryje się pycha.

– Myślę o szlachetności wypływającej z dobra i z gotowości poświęcenia dla niego.

Powstał wysoki, chudy, pełen wahania, jakby nie wiedział co począć.

– Ambasada twojego kraju nie chciała a my mamy ciebie nocować?

– Nie musicie — odpowiedział łagodnie. Skłonił głowę przed odejściem.

– Nie możemy ciebie wypędzać w noc — podjął zaraz — jesteśmy chrześcijanami.

Skinął głową, by mu towarzyszył. Zaprowadził go na piętro; otworzył drzwi i zapalił światło. Spojrzał na pokój, na niego. Już z ręką na klamce odezwał się:

– Pewno jesteś głodny?

– Nie jestem — odpowiedział. Po słowach przypomniało mu się dopiero, że nie jadł przez cały dzień.

Brat skinął głową i odszedł. Po chwili przyszedł krajowiec stróżujący przy wejściu, z kłosem bananów. Z okna wziął dzban i przyniósł z wodą. Za podziękowanie uśmiechnął się.

Radośnie zdziwiony ciągle stał. Powiódł spojrzeniem po wnętrzu; ściany pobielane wapnem, żelazne łoże okryte białym prześcieradłem jak całun, stół, na nim Biblia, kanciaste krzeselko, pod ścianą klęcznik z modlitewnikiem, nad nim czarny krzyż. Była to cela, w której można było przebywać tylko cieleśnie.

Zamierzona surowość, by duch ulatywał w zaświaty. Otworzył okno, nad drzewami odbłask światła z oddali, z Marina street. Nie dochodził szum zabaw. Cisza. Doskonałe miejsce do pisania. Zjadł

221

kilka bananów i popił wodą. Na przymusowej „kuracji bananowej” czuł się dobrze. Korzystał z rezerw nagromadzonych w nim sił. Wziął prysznic i sprawił sobie wycieranie jak masaż. Leżąc doceniał miękkie łóżko — prawdziwa rozkosz, A gdyby napisał drugi reportaż? Wskoczył mu tytuł: — „Metropolia Zachodniej Afryki”... Splot interesów handlowych, politycznych, wartości kulturalnych. Ogniskują się na Marina street i oddziałują na wielki kraj, kontynent. Nie byłoby to łatwe. Myślał jeszcze o Ibach, żabich dzwonek, aż zapadł w sen.

Miękkie przebudzenie. Delikatna jasność, słońce nie wpadało w okno. Jednym snem przespał noc. Trochę się wylegiwał, doceniał łóżko. Wciągnął kąpielówkę, ubierał się wolno, starannie. Krótkie włosy przygładził dłońmi. Wyjrzał oknem, tuż za nim gęsta zieleń starego liściowca. Pustka. Zaczął przemierzać pokoik, obmyślał reportaż i szkicował w brulionie. Uporał się z planem. Dochodziło południe. Zamierzał dowiedzieć się kiedy przyjdzie jego statek. Najprościej byłoby z ambasady, ale ominie ją, dowie się z Kapitanatu Portu.

Zamknął okno i wyszedł. Zostawił chlebak. Może

pozwolą mu jeszcze tu pobyc. Parł do Marina street, lekki, wypoczęty. Zdawało mu się, że ma ką, do którego może wrócić i to było z głowy. Przybrzeżna arteria w jękliwym pędzie aut, w hałaśliwym zgiełku ludzkim. Tuż przy wodzie stała wysoka wieża z tarasami. Pomyślał, że to punkt obserwacyjny Kapitanatu Portu. Po stromych schodach wdrapał się na sam

222

szczyt. Maleńki, oszklony pokoik, w nim dwóch krajowców. Pytał się o polskie statki. Obaj dyżurni wskazali małą sylwetkę rybaka „Albacory” po drugiej stronie zatoki, w Apapio i dopowiedzieli, że innych nie ma. Podziękował im gorąco i zbiegł na dół. Niedaleko wieży dobijała fera, tutejszy prom. Przyspieszył kroku. Wszedł na górny pomost i usiadł na ławie. Nie było tłoku. Nadeszła para i stanęła przy relingu na wprost niego. Młodzieniec przyzwoicie ubrany. Dziewczyna dżetowo-czarna w krótkiej, białej sukience i w pantoflach na półobcasie. Prawie wysoka, strzelista o krągłych, mocnych lędźwiach, wyżej gibka, kończysta pierś, na smukłej, mocnej kolumnie mała głowa w posplatanych warkoczykach. Trzymała w rękach staroświecką torebkę uszytą z perkalu. Jakby spostrzegli jego zapatrzenie, spoglądali na niego, odwracali głowy i zaśmiewali się. Fera pohuknęła i oddaliła się od brzegu. Para podeszła do ławy.

— Czy można usiąść? — pytał młodzian, choć było

dużo miejsca.

– Proszę — odpowiedział, nawet odsunął się, jakby zachęcał.

Ona usiadła przy nim, za nią młodzian, ciągle zajęci rozmową. Kiedy w uśmiechu skręcała głowę, lśniły w błysku zęby. Brunatna czerwień podniebienia, witalne zdrowie, które jego rasa już straciła. Widząc że młodzian obserwuje go, siedział spokojny. Aż ten pochwycił jego oczy.

223

Podoba ci się? — pytał w tonie przyjaznym i uśmiechu. Miał już odpowiedzieć tak, powstrzymał zachwyt.

– Jest piękna — wymówił łagodnie. Patrzyli na siebie bez uciekania. Młodzian mówił, że przyjechała z głębi kraju, pierwszy raz do tak dużego miasta, że należy do szczepu nie liczącego nawet trzech tysięcy dusz. Ona często śmiała się, drgały jej rozdęte chrapki. Oczy mocne, niezależne aż psotne. Najwięcej niepokoju budziły w nim rozchylone usta.

– Jedziesz na statek? — dopytywał młodzian.

– Tak.

Poszemrali coś ze sobą i znów młodzian:

– Chcielibyśmy zwiedzić twój statek.

Wytłumaczył im, że to nie jego, że jeszcze nigdy na

nam nie był.

Młodzian był rozmowny. Fera dobiła do brzegu. Skłonili się sobie i rozeszli.

Miał na oku „Albacorę”. Musiał obejść koło płotu aż do hangaru, przejść go i trochę zawrócić. Duży, zgrabny trawler głęboko siedział w wodzie. Zardzewiała burta, widocznie z nie najlepszej stali. Spływające poślizgiem na nabrzeże kartony zamrożonej ryby, krajowcy ładowali na ciężarówkę, przy nich rybak dozorujący.

Przebył niziutki trap i skierował się pod nadbudówki. W na oścież otwartej kuchni chłopak i kucharz kończyli poobiednie porządki. Pozdrowił ich, odpowiedzieli mu radosnym zdziwieniem. W rozmowie

224

zasypali go pytaniami, otwarcie, po plebejsku.

Wpadli w serdeczny gniew.

— U nas jest spanie, co się pan będzie poniewierał — wybuchnął chłopak.

Zaraz kucharz zaprowadził go do swojej kabiny, strasznie maleńkiej. Wskazał mu wolną, górną koję. Kiedy wrócili chłopak znów wybuchnął:

— U czifa z maszyny jest wolna kanapka, tam będzie najlepiej. Już ja to załatwię, a teraz niech pan zje obiad — dyrygował.

W mesie załogowej jadł obiad bardzo młody chłopak. Drugi rybak nie mający ponad trzydziestkę brał się do nalewania zupy. Pozdrowił ich, usiadł z brzegu pod ścianą. Nie czekając na zaproszenie wymówił wprost:

– Czy można zjeść u was?

– To właśnie dla pana — podstawił mu talerz z zupą ten starszy.

Podziękował i dla zabawy opowiedział o wesołym wydarzeniu na ferze.

– Lepiej, że jej pan nie przyprowadził, teraz już będziemy kierować się do domu — odpowiedział z domysłem i powściągliwością.

Jedli obok siebie. Nie mógł znieść ciszy.

– Jak połowy?

– Dobre zaciągi. Pod brzegami Angoli. Pełny ładunek.

– Macie dobrego kapitana — wymówił z domysłem, że to od niego zależy.

Rybak uśmiechnął się, powstrzymał swój osąd

225

o kapitanie. Nałożył sobie kotlet schabowy z warzywami i podsunął mu półmisek. Nałożył i sobie. Zjadł migiem. Zachęcony wziął jeszcze jeden kotlet.

– A czy stary jest na statku?

– Jest odpowiedział cicho.

– A jak się nazywa wasz stary?

– Ja jestem starym — odpowiedział z uśmiechem.

– Bardzo przepraszam pana kapitana — mitygował się.

– Tak się przecież mówi — odpowiedział łagodnie.

Speszony głupimi pytaniami odczekał długą chwilę.

– Czy .pozwoli pan kapitan przespać się na statku?

– Znajdzie się miejsce.

– U czifa już załatwione — wtrącił nadeszły z kuchni chłopak.

– A gdzie teraz będziecie łowić? — wzbierała w nim ciekawość.

– Pójdziemy pod Hiszpańską, Saharę i z pełnymi lukami.

– Do domu — zawołał radośnie chłopak.

– Do domu — przywtórzył kapitan. Dojadł obiad. Oberwał z kiści kilka bananów. Wstał.

– Zaraz jedziemy na wycieczkę. Ma pan ochotę? — zachęcił go i odszedł. Chciał przerwać jedzenie.

Powstrzymał go chłopak

226

z kuchni. Rybak siedzący w końcu mesy opowiedział pokrótce rozmowę ze starym ,i parsknął śmiechem.

— Cóż? Jest tak samo rybakiem jak my — dodał chłopak.

W mesie załogowej na brzegu jednego stołu stał obiad, talerze w dwóch stosach i sztucce w drewnianej skrzyneczce. Każdy z załogi nakładał sobie sam bez żadnych usług. Chłopak z kuchni wybierał ryby z sieci na łowiskach i czuł się rybakiem, stąd jego nieposkromiony duch. Po skończonym obiedzie bananów już nie wziął, miał ich aż nadto.

Na pokładzie szalupowym zobaczył gromadę nagusów. Była to wycieczka w kąpielówkach. Swój skąpy przyodzieżek zostawił w kabinie czifa. Staruszek nie miał ochoty ani czasu na wycieczkę. Kiedy przybiegł spuszczano szalupę bez żadnych komend i hałasów. Usiadła gładko na wodzie. Rybacy, sama młódź, złazili po linach jak koty, mimo wyrzuconego sztormtrapu. Zsunął się także. Jeszcze ktoś zleciał w ostatniej chwili. Zagrał motor i odbili od burty. Płynęli wzdłuż dziesiątka statków różnych bander leżących przy nabrzeżu Apapy. Zajeżdżały limuzyny na sam cypel, wychodzili z nich biali samotni, z kobietami, z dziećmi, i przesiadali się do oczekujących ślizgowców. Odpływali na relaks, w podniecającym pędzie poprawić samopoczucie.

Szalupa pełzła statecznie, spacerkiem. Za cyplem skierowała się w prawo niby w szeroką rzekę a pewno jeszcze w rozlewisko Nigru. Brzegi porośnięte kozuchem

227

dżungli, nad nim śmigły palmy i potężne liściowce. Mimo że nie było wiatru kapitanowi zleciało z głowy słomkowe sombrero i osiadło na wodzie. Nie namyślając się skoczył, cwałem dopłynął do kapelusza, uniósł jedną rękę, podpłynął pod burzę, podał zgubę i wszedł do szalupy. Wszyscy prawie powyskakiwali za nim i szaleli w wodzie. Kapitan zwoływał i słuchali go. Szalupa znów pełzła w rozlewisko.

— A gdyby tak krokodyl — wypominał kapitan. Wybuchnęli śmiechem, potem otrząsali się, że to nie byłoby przyjemne. Zobaczyli z lewej strony osypisko piasku wysokiego brzegu, wpadające w wodę. Kilka dłubanek na wpół wyciągniętych. Gromada nagich dzieci i zupełnie wyrosniętych przyglądała im się. Kiedy skierowali się do brzegu pierzchnęła za wysoki pagór ile sił w nogach. Wyciągnęli łódź dziobem na płyciznę, został w niej rybak. Pełni ciekawości parli po piasku za uciekinierami. Wydeptana prosta droga obsadzona młodymi palmami kokosowymi za dziesiątki -lat miała stać się aleją. W szczerym piasku za bocznymi rzędami pękały wielkie owoce i wypuszczały liście. Dzieciarnia zatrzymała się przy kilku starszych chłopcach w przepaskach. W oczekiwaniu, patrzyli w ich stronę. Podeszli do nich i

pozdrowili ich po angielsku. Ale im to nie wystarczało, podawali wszystkim dłonie, nie było to dla nich uciążliwe. Witały się i śmielsze dzieci. Przeplatały się wzajemne uśmiechy, żadnych mów. Kapitan z bardzo barwnym pudełkiem w dłoni

228

obdarowywał dzieci cukierkami. Dorosłych częstowano papierosami. Szli zmieszani w jednej gromadzie. Pokazały się czworoboczne chatki z trzciny, z doskonałymi strzechami z palmowych liści. Rybacy zaglądali do środka, zdziwieni porządkiem, czystością, doskonałymi legowiskami zaścielonymi kocami. .Wśród dzieci wyrosnięte dziewczyny proste jak trzciny, o chłopięcych pośladkach i wydatnych, ostrych piersiach. Zwinnie obiegały przybyszów, oglądały ich z psotną ciekawością. Rybakom uśmiechy rozlewały się po twarzach, spoglądali po sobie i z uznaniem wzruszali głowami. Tuż przy wsi kilka kopczyków z kamieni. Nie było na nich krzyży. Płyta cementowa grobu matki władającego kacyka. Starsi ciągle palili papierosy. Dzieci podchodziły do kapitana, zanurzały dłonie w otwartą puszkę aż skończyły się cukierki. Puszka znalazła się w rękach dziewczuszki. Obstąpili ją i spoglądali z zachwytem na jej skarb. Wioska stała na mierzei, poprzez drzewa, widać było ocean. By ustrzec się przed krokodylem popędzili wykąpać się. Kapitan przestrzegał, by z dala od przyboju, sam został na brzegu. O pięćdziesiąt metrów dwumetrowe wały z hukiem obrywały się w

kipiel. Ociekający wodą parli przez wieś. Dzieci odprowadzały ich i z przyjaznym pokrzykiwaniem zegnały odpływających.

Płynęli w milczeniu. Na twarzach igrały uśmiechy. Spoglądali po sobie, rozumieli się bez słów.

— Kupiłbyś sobie taką Murzyneczkę? — odezwał się ściszony głos.

229

Zapytany powstrzymał się z odpowiedzią. Ogólny wybuch wesołości.

— Przecież to dzieci — strofował niewiele starszy od nich kapitan.

— Ładne dzieci — ten sam głos i znów śmiechy.

— Już niedługo będziemy w domu — rzucił pogodnie kapitan.

— Wielki czas — ktoś westchnął.

Zelzały uśmiechy jakby nawiedziła ich chwila wspomnień. Blisko przeleciał ślizgowiec, zostawił po sobie spienioną ścieżkę. Znów zatoka i tuż przed wyjściem na ocean, upstrzona ludźmi plaża.

Najsamprzód wypchnęli szalupę na mieliznę, potem wzięli się do pływania na wyścigi, kręcili się jak baki, tylko kapitan stał na brzegu i patrzył jak żuraw. Po kąpieli zbierali się. koło niego uśmiechnięci jak drwale, bez żadnego tłuszczu — sama młodość.

Podpływające ślizgowce stawały na kotwicach, by nie zdzierać farby. Z ostentacją wychodzili z nich biali. Z jednego wyszedł krajowiec z dzieckiem na rękę, potężny jak Tamango, za nim maleńka, bardzo jasna Mulatka.

W sporej gromadce rybaków wybrał się w stronę pobliskiego oceanu. Plaża nie była podzielona, zauważył jednak, że biali trzymali się na osobności. Na wprost nich siedziały trzy jasnoskóre dziewczyny. Idąc w środku zatrzymał się przy nich. Myślał, że rybacy obstąpią je kołem, ale przykładnie obeszli i poszli sobie. Trzymali się twardo. Popatrzył chwilę i zagadał.

230

Chętnie mówiły. Były Amerykankami. Drobna Włoszka z Nowego Jorku, Japonka z Kalifornu, duża, bez skośnych oczu, o mocno śniadej skórze, i najmłodsza z nich, bardzo jasna Niemka z Pensylwanii o kształtach bujnych jak Germania. Były po wyższych studiach, w ochotniczej służbie Korpusu Pokoju. Uczyły w szkole w maleńkim miasteczku w głębi kraju. Były tam jedynymi białymi.

— Nie boicie się? — zapytał.

— Krajowcy, którzy pomagają nam w naszym gospodarstwie domowym są bardzo uczciwi i pracowici — podjęła Germania.

— Bezpieczniej, niż w Nowym Jorku — odpowiedziała

Włoszka.

– Jesteście z kraju o najdoskonalszej technologii produkcji przemysłowej i wszystko u was jest naj, naj.

Zaśmiały się swobodnie jak z czegoś oczywistego,

– A jednak wasz styl życia jest dla nas nie do przyjęcia.

– Dlaczego? — pytała Samuraj.

– My zwracamy większą uwagę na wartości duchowe.

– To wam, Europejczykom tak się zdaje — zaperzyła się Germania.

– A jednak mimo waszego ogromnego bogactwa — Paryż jest w Europie.

– Paryż, ciągle Paryż — mówiła Germania — cóż to jest Paryż!?

– Składamy pieniądze — powiedziała Włoszka —

231

przez Paryż wybieramy się do domu. Musimy zobaczyć to cudo. — A jednak — zaśmiał się.

Od strony oceanu nadchodzili rybacy, z szyderstwem uśmiechali się z jego zalotów.

– Wesołej zabawy w Paryżu — powiedział Amerykankom i dołączył do rybaków.

Teraz wydawało mu się, że twardzi chłopcy byli

zdziwieni, że tak łatwo odszedł od pięknych dziewczyn. Doszli do samotnego kapitana i zostali przy nim.

Sam wybrał się w przeciwną stronę plaży. Z dala od wody pod samymi drzewami liczna gromada krajowców śpiewała z przejęciem jakąś pieśń w swoim języku. Potem pobrali się za ręce i zawiązali koło. Byli młodzi, przeważnie chłopcy, ubrani, porozbierani dla wygody i w kąpielówkach. Z kilkoma na uboczu znów wdał się w pogawędkę. Byli Joruba. Dumni ze swojego miasta. Olśnieni nauką obiecywali, że wszystko potrafią zrobić równie dobrze jak biali. Spontaniczni, pełni wiary, trochę bezkrytyczni. Zнали tylko swój kraj i stolica wydawała im się cudem. Życzył im, aby wszystko zrobili lepiej od białych.

Szedł sam aż do ostrogi kamiennej. Zawrócił. Przy kapitanie uzbierała się spora gromadka aż powrócili wszyscy. Wykąpali się. Zepchnęli szalupę, powskakiwali. Zaskoczył motor. Siedzący przy sterze zatoczył półkole i skierował dziób na Apapę.

Rozsiedli się swobodnie. Pozwijani w kłębki na

232

podłodze zapadali w drzemkę. To mieli z łowisk, wystarczyło złożyć głowę, by obejmował ich sen. Nie reagowali na przelatujące z grzmotem ślizgowce. Znów statki jeden za drugim i na samym końcu „Albacora”. Zgasł motor i wtedy wszyscy

otworzyli oczy. Szalupa podpełzła pod zwisające talie, siedzący na rufie i dziobie założyli na uchwyty, w łodzi został jeden, reszta wdrapywała się po sztormtrapie na pokład, sami rozdzielili się do lin, z krzyża na wyścigi podciągnęli szalupę, skierowali na pokład, osadzili w łożu i zamocowali. Radośni zręcznym wysiłkiem schodzili w dół.

W mesie zastali przy kolacji tych, którzy nie byli na wycieczce, motorzystów spracowanych przy małym remoncie maszyny. Przyzwoicie odszedł od kapitana. Zrobili mu miejsce. Każdy brał ze stosu talerz i nakładał sobie jadła ile chciał. Jedli szybko — nawyk z łowisk. Byli w koszulach i bez koszul. Ani jednego grubasa, smutnej czy znudzonej gęby, jakie trafiają się często na frachtowcach. Jedli tu i oficerowie, których nie można było odróżnić. Byli rybakami. Najmłodszy o najzuchwalszych uśmiechach i nieujarzmionych oczach. W twarzach żadnej opieszałości. Gdyby wszedł tu kapitan z eleganckiego eks-presowca liniowego powitano by go serdecznie radosnym śmiechem. Kapitan z ekspresowca zżymałby się na taką spontaniczność. Szukałby oficerów, kiedy dowiedziałyby się, że jedzą, a tu nawet kapitan z nimi, pomyślałby sobie: „Ale to piracka banda”. Nie było tu żadnych pozorów celebracji, liturgicznego prestiżu.

233

Prostota brała się z pogoni za ławicami, w ciągle potęgującej się zawziętości, którą żyła cała załoga. Z pracy zbijającej z nóg, kiedy cały pokład ryb trzeba

uprzątnąć na następny zaciąg. Każdy, przy tym cichutko, w przypuszczeniu, obliczał sobie swój procent. A jednak ciężka praca może uszlachetniać. Z podołania jej bierze się duma. Zuchy z „Albacory” dadzą radę każdemu liniowcowi, gdy marynarze z liniowca mogliby na „Albacorze” wozić frachty...

Siedzący przy nim chłopcy podsuwali mu chleb, owoce. Mesa szybko opustoszała, wolni od wacht pędzili na ląd. Nie spieszyło mu się nigdzie. Został jeden rybak, młody jak wszyscy tu; wysoki, smukły, tylko w dunkrach, o atletycznym torsie. Z dużą delikatnością podjął rozmowę. Na jego suchej twarzy coraz bardziej potęgowała się ciekawość. Uśmiechał się ze zdziwieniem, jakby w wyobraźni podstawiał siebie, kręcił głową ale nie odciągał go od zamiaru. Był starszym rybakiem, łowił już na Północnym, Barentsa i pod Labradorem. Powstali, przed odejściem powiedzieli sobie „dobranoc”.

Zawrócił, dopił herbatę. Idąc już spać spotkał go na korytarzu z patefonem. Zdziwiony aż przystanął.

— Idę sobie trochę pograć — jakby tłumaczył się.

— Czy ja też mógłbym posłuchać? — wyleciało mu bez namysłu.

— Proszę bardzo — pospieszył zachęcająco. Znów rozsiedli się w mesie. Rybak podłączył patefon.

234

— Nie wiem czy mam to co pan lubi —

usprawiedliwiał się.

– Niech będzie to co pan lubi — zachęcał go.

Zadźwięczały trąbki corridy, potem pieśni ludowe o miłości i śmierci. Kastaniety. Przeniknął ich burzliwy rytm, żar ognia, najlepsza Hiszpania.

– Zaraz wrócę — powiedział rybak i odszedł.

Po chwili pojawił się z psotnym uśmiechem. W ręku taszczył za szyję napoczętą butelkę czystej. Nalał w kubki niedużo, przyzwoicie. Wypili za zdrowie.

Boguś mówił o gonitwach za rybą, o zaciągach pełnych sieci, robocie, jakiej nie znają ludzie z lądu, mówił twardo z uśmiechem. Potem on opowiedział mu o ambasadorowiczach.

– To właśnie tacy jak oni odrzucili mnie ze Szkoły Morskiej. Za wrogie pochodzenie klasowe.

– Wyrządzili ci wielką krzywdę.

– Nie — zaśmiał się swobodnie. — Za dwa lata będę miał potrzebny czas pływania na młodszego oficera. Myślę zdawać jako ekstern.

Dźwięczała Hiszpania, najwyższa radość ze smutkiem w splocie — drżące trąbki, kastaniety.

– Lubię to — wymówił.

– Jesteśmy romantykami — dopowiedział Boguś.

– Pragniemy słońca. Nasz kraj jest trochę szary.

Większość dni w roku to szarugi i żyje się trudno.

– Ale nasz. Żyje się w nim w rejsach i wraca z radością. Chciałbym opłynąć świat, ale zawsze wrócić.

– Nie wszyscy...

235

– Obejdzie się bez szcurów — wyrzucił z pogardą.

– Piękno naszego kraju winna uformować doceniona i nie zmarnowana praca ludzka i sztuka.

Rozhuczały się gitary. Z głębokiego smutku narastająca radość aż do śpiewu w ekstazie. Poddali się słodkiej, obezwładniającej melancholii. Uśmiechnęli się po zakończeniu.

– Ci ludzie spalają się w muzyce, śpiewie, na zatracenie — podjął jakby się bronił.

– Podniósł kubek i dodał — za twoją drogę.

– Za twoje rybactwo — oddał mu.

Boguś nałożył nową płytę i przyglądał mu się. Ciche tony narastały. Trąbki, bębny. Łoskot burzy aż wszystko skreśliło się w niszczący wir. Nagłe przerwy pełne niepokoju. Ciche tony i znów wybuchy. Przedzieranie się jasnych tonów przez splot nie do zniesienia. Narastanie fanfar...

– To Beethoven — wymówił cicho. Co sobie myślałeś przy tej muzyczce?

– Zawsze nakłada mi się morze. Myślałem sobie o Pacyfiku i Indyjskim, bo i tam kiedyś pójdziemy. A ty?

– O mojej drodze.

Boguś wyjął z kieszeni zdjęcie w celuloidowej oprawce i podał mu. Na szkolnej fotografii łagodny owal twarzy, kosmyki krótkich włosów i czyste oczy.

– Śliczna. Co ona robi?

236

– Czeka — uśmiech, jakby miał ją zobaczyć jutro. — Chodzi do szkółki, kończy uniwersytet.

– Kochasz ją?

Z oczu wyjrzał uśmiech. Odeszła psotność.

– Ciułam na mieszkanie. Idzie dość szybko. Nasz stary umie znaleźć rybę.

Wszedł młody chłopak, usiadł z dala i słuchał muzyki. Zajrzał do mesy twardy chłop o twarzy w bliznach, zaklął i popędził z powrotem. Doszły ich podniesione głosy. Boguś poderwał się i popędził. Po chwili wstał i on. -

– Niech pan zostanie — odezwał się chłopiec — już Boguś ich pogodzi. Wrócił zaraz z krótką opowieścią.

– Z bosmana kawał zucha. Bierze pod uwagę to co mówię, wie że mu dobrze radzę.

Przez iluminatory wchodził dzień. Spojrzeli na pustą butelkę.

– Idziemy spać — wymówił.

– Już nie. Czeka robota.

Zebrał płyty i patefon. Wyszli razem.

– Dziękuję ci za muzykę — zawołał w korytarzu.

– I ja tobie.

Wszedł cicho do kabiny. Czif spał. Na kanapce narzucone prześcieradło, drugie do okrycia, poduszki. Rozebrał się, legł i zaraz zasnął. Przespał do obiadu.

W mesie zauważył, że ci co jedli na początku, starali się zjeść szybko by innym zrobić miejsce. Stale ktoś wychodził i wchodził. Jakiś przybysz szedł do

237

niego z uśmiechem i wyciągniętą dłonią. Po uścisku wymówił:

– Przecież my się znamy.

– Twarz nieobca — przyznawał. Pracowałem w szczecińskim Radiu a pan tam przychodził.

– A pan co tu robi?

– Jestem radiotelegrafistą. A. pana historię znamy już wszyscy. Już po obiedzie? — to chodźmy — i pociągnął go za sobą.

Przy mostku, w kabinie kapitana w przyjaznej ciasnocie siedziało kilku młodych ludzi ze szklaneczkami w rękach. Zrobiono mu miejsce i też obdzielono koniakiem. Oficerowie mówili o wyładunku i remoncie maszyny. Potem ich uśmiechy skupiły się na nim. Zнали już jego historię, nie mogli powstrzymać się od pytań. Odpowiadał. Byli obruszeni do żywego, tylko kapitan powstrzymywał się. Uśmiechali się jakby coś knuli. Radiotelegrafista podsunął mu płachetkę Nigerian Post i w nim jego reportaż z podpisem. Pohamował radosny wstrząs. Oficerowie uśmiechali się, ujawniali, że i im przynosi to radość. Radiotelegrafista przybliżył się do niego.

— W kraju ma pan kogoś, kto mógłby panu pomóc? — mówił półszepem ale wszyscy słyszeli — to musiałaby być jakaś gruba ryba lub wysoki urząd. Napisze pan tekst a ja nadam do kraju jak tylko wyjdziemy w morze. Niech pan pyta kapitana czy pozwoli.

238

Zwrócił oczy na kapitana, ale ten słyszał wszystko jak i oficerowie.

— Można — powtórzył — jak tylko wyjdziemy z portu.

Podziękował kapitanowi, oficerom i popędził do kabiny, by ułożyć elaborat. Pisał do Fabiana na wielkim urzędzie; o wrogim nastawieniu do niego Polskiej Ambasady, że spał u Murzynów, u

misjonarzy. Prosił i zaklinał, by pocisnął Ministerstwo Spraw Zagranicznych, ażeby stamtąd zadeszowali do naszej ambasady w Lagos, by pomogli mu w uzyskaniu wiz państw, przez które będzie przechodził. Przypominał mu, że wszystko to dla literatury, że z tego powstanie książka. Zakończył pełen najlepszych myśli. Elaborat wydawał mu się mocno za obszerny, ale radiotelegrafista nie miał nic przeciw temu.

Pełen niepokoju nie mógł usiedzieć na statku. Kupił gazetę w portowym kiosku i natychmiast przeczytał swój reportaż. Było już późno, by pójść do redakcji. Nadchodził wieczór, odpowiedni czas kiedy mógł spotkać dziennikarza, swego dobroczyńcę. Na ferze, rozbawieni, kolorowi ludzie wydawali mu się złądą. Powodem jego uniesień wydawał mu się radosny sen. Wtedy przerzucił gazetę, oglądał swój reportaż, upewniał się, że to jawa, że Jest naprawdę drukowany. Radość pozostawała. U misjonarzy zastał znajomego braciszka dyżurnego. Zdziwionego jego nieobecnością, ciekawego gdzie się podziewał. Oznajmił mu, że ojciec przełożony pytał się o niego

239

i że chciałby go widzieć. Podziękował za pamięć, za gościnę, z której kto wie czy nie skorzysta jeszcze. Wziął chlebak i odszedł.

Raźno pomaszerował z chlebakiem narzuconym na ramię. Wystający spod zapięcia koniec gazety pieśczośliwie pogładził dłonią. Przenikające

ożywienie niosło go na skrzydłach. Ulica, tłum, wszystko było powabne. Jeszcze drugi, trzeci reportaż i wybije sobie drogę.

W barze ludno, sami krajowcy, kilka kobiet. Bardziej eleganccy od białych, do ubrania przykładali większą uwagę. Uskromnił swoje dobre samopoczucie. Spoglądał łagodnie aż dostrzegł swojego dobroczyńcę siedzącego samotnie nad plikiem gazet. Podszedł, pozdrowił go, uścisnęli sobie dłonie. Nie usłyszał zaproszenia w odpowiedniej chwili, z własnej inicjatywy usiadł naprzeciw niego. I wtedy w oczach, które na poprzednim spotkaniu, pełne były gorącej serdeczności, zobaczył rezerwę, odczuł ziąb. Powstrzymał swój wylew radości. Wyciągnął gazetę zza klapy chlebaka, wyszukał stronę z jego reportażem, położył do połowy na stole i wymówił:

— Jest.

Spojrzenie z rezerwą bez uśmiechu.

— Doprawiłeś to doskonale — powiedział z uznaniem.

— Nie było trudne — odpowiedział tak sobie.

— Jesteś moim dobroczyńcą, bez ciebie nie byłoby reportażu.

240

W oczach dziennikarza zastanowienie, jakby nie wiedział jak to przyjąć.

— Napijemy się — powiedział z całą zachętą

szczerości.

– Ja już piłem — odpowiedział spokojnie, jakby cofnął się w siebie.

Jakby mu przetrącono skrzydła. Posmutniał. Ciągłe był jednak pełen nadziei.

– Myślę pisać reportaże — „Lagos metropolią Zachodniej Afryki”, z miejscowej plaży byłby ładny obrazek i łatwy.

– Nie będę mógł ci pomóc, wyjeżdżam — w głosie opanowanie, jakby chciał się oderwać od niego,

– Gdzie jedziesz? — zapytał, mimo że to nie miało już sensu.

– Na Północ Nigerii, do Kano — dopowiedział szybko.

Właśnie ten pośpiech, tchnął nieprawdą. W ledwo zaakcentowanym uśmiechu odcień pogardy. Oczy ich zaczęły się wymijać.

– Muszę już iść — powstał — czeka mnie jeszcze kupa roboty.

Odprowadził go do samochodu. Szli niemo. Uścisnęli sobie dłonie. Patrzył za odjeżdżającym jak za wielką nadzieją. Natychmiast ze swego postępowania wyłowił kłamstwo. Poprzednio, na zapytanie:

„Gdzie zatrzymałeś się? — odpowiedział „w Polskiej Ambasadzie”. Zdawało mu się, że nie mógł

powiedzieć. że jest bezdomny. Nie chciał być uciążliwy. A może wyczuł, że gdyby powiedział prawdę, dziennikarz

241

potraktowałyby go jako nic nie znaczącego włóczęgę i porwałyby się wszystko. Tak właśnie potraktował go przed chwilą. Ale skąd dziennikarz wie, że jest bezdomnym włóczęgą, tego nie mógł dociec. Szkoda, że odjechał, powiedziałaby całą prawdę i wtedy może wszystko wyszłoby na jaw.

Ulice znów wydały mu się wrogie, ludzie obojętni na to czy będzie starty w proch. Na ferze rozbawieni krajowcy. Biali marynarze dziko nasyceni czarnymi kobietami, wracali na swoje statki do życia bez kłopotów. Wachtowy przy trapie „Albacory” powiedział mu, że był przedstawiciel ambasady, przyniósł gazety z kraju, pytał się o niego, potem poszedł do kapitana.

Zjadł kolację. W mesie wszyscy czytali gazety. Wyławiali wydarzenia ze Szczecina, Trójmiasta i na głos dzielili się uwagami. Zapomnieli o jego reportażu, którym niedawno cieszyli się jak własnym. Tak jest lepiej, ma znów swobodę. Ze sterty gazet na ławie wziął kilka, by poczytać przed spaniem i poszedł do kabiny.

Rano zobaczył kapitana przy poślizgu ze zlatującymi kartonami ryb. Po pozdrowieniu kapitan zatrzymał na nim spojrzenie.

– Wczoraj był tu pan z ambasady — przerwał z niedomówieniem.

– Miał pan kapitan przykrości z mojego powodu.

Żadnych przykrości. Ja tu jestem. Ale oni są

242

na pana cięci — skierował spojrzenie na poślizg, zajął się wyładunkiem.

Po zejściu z trapu natknął się na dwóch rybaków.

– O, nie odmówi pan z nami jednego — zawołał ucieszenie jeden z nich.

Zatrzymał się. Spoglądali w dół na grubą Murzynkę szczerzącą zęby w ustawicznym śmiechu. Siedziała przykucnięta na piętach, z pękatym dzbanem o cienkiej szyjce i kilkoma glinianymi naczynkami między gołymi kolanami. Spódnica opinała jej potężne lędźwie. Podnieśli głowy i zaśmiali się.

– Co tak medytujecie — wymówił powstrzymując śmiech.

– Och, my nie — tłumaczył się ten drugi — chcemy tylko napić się palmowego wina. Może to trujące?

– Lej — wymówił po polsku ten pierwszy. Murzynka migiem naląła w gliniaczki. Podnieśli z ziemi, próbowali. Oleisty, cierpki napitek niczym nie przypominał wina. Nie bardzo smakowało, chwalili krzepkość przypominającą samogon z ich rodzimego

kraju.

– Napisanie reportażu na pewno trudniejsze jest od łowienia ryb — podjął drugi.

– Wcale nie — zaprzeczył — nie trzeba się tylko czaić.

– Trzeba podejść ostro jak do wszystkiego — odpowiedział pierwszy.

– Lubię pisać listy, jeszcze bardziej otrzymywać. To trzyma przy życiu — dodał drugi.

243

To tak samo jak opowiada się komuś co się widzi, słyszy, czuje.

– Nie namawiaj pan, bo jeszcze weźmie się do pisania — drwił z niego kolega.

– Kapitan na pokładzie — obawiał się, by picie nie przedłużyło się.

– My po nocnej wachcie. Może jeszcze po jednym? Znów spoglądali na dzban. Podnieśli głowy.

– On tak czeka, kiedy kiecka jej pęknie — wymówił pierwszy.

Wybuchnęli śmiechem, rzucili miedziaki w podolek spódnicy i odeszli.

Z palącym winem i rybacką serdecznością pędzał na ferę. Przedostał się na drugą stronę zatoki. Redakcja

Nigerian News była przy Marina street w reprezentacyjnym gmachu na pierwszym piętrze. W sekretariacie siedziała przy biurku bardzo jasna Mulatka. Młodziutka Murzynka parzyła kawę w szklankach na tacy. Wyłożył gazetę ze swoim reportażem i przedstawił się. Mulatka odczekała, spojrzała delikatnie.

— Można już odebrać honorarium w kasie — zachęcała go.

Uśmiechnął się. Po taką czynność nie chodzi się do sekretariatu.

— Czy mógłbym widzieć się z redaktorem naczelnym — nie rezygnował z kontaktu.

Odczekała chwilę.

— Obawiam się, że nie. Naczelnny jest bardzo zajęty

244

— wypowiedziała łamiącym się, wrażliwym głosem.

— A z kierownikiem działu reportażu?

— Nie ma w tej chwili — wymówiła wolno.

Wydało mu się to dziwne. Sekretariat zawsze jest przygotowany na podobne wizyty. Sekretarka proponuje zwykle dogodny czas. Przeprosił Mulatkę za najście i odszedł.

Piętro wyżej z kasy pobrał pięć funtów. Coś porwało

się, tylko funty zostały na pocieszenie.

Następnego dnia koło południa na oczach wszystkich, wszedł do portu statek z ogromnym napisem na burcie „Uniafrica”, uwiązał się jednak daleko od nich. Poszedł zobaczyć co to za statek. Była to „Rugia” pod banderą NRD.

Kapitana zastał w salonie, był w białym, krótkim mundurze. Dowiedział się, że statek wieczorem odchodzi do Kamerunu. Po przejrzeniu biletu statkowego i paszportu kapitan powiedział zdecydowanie, że weźmie go, tylko musi mieć wizę kameruńską. Chwilami zdawało mu się, że bardzo młody, płowowłosy chłopiec zabawia się w „starego”. Robił to doskonale, bez żadnych póż i puszenia się. Przed odejściem rzucił mu zachęcająco, by spieszył się.

Po przedostaniu się ferą na drugą stronę w pierwszym sklepie zapisał sobie z książki telefonicznej adres Ambasady Kameruńskiej. Sprzedawca powiedział mu jak tam dojść. Odnalazł ulicę biegnącą skrajem miasta, ziemią zmieloną stopami ludzkimi w czerwony pył, głębokimi rowami po bokach „afrykańskiej

245

kanalizacji”. Stężała maź pokryta w przejściach betonowymi płytami, zalatywała mdławo. Minął piechura objuczonego wielkim plecakiem, z pięciolitrowym kanistrem na pitną wodę. Okrzyknął

go powitaniem. W przejściu zamienili kilka słów. Był to Amerykanin z Korpusu Pokoju, w drodze. Po minięciu niskich ruder, pomysłowych bud, pojawiły się przyzwoite domy, sklepy, nawet kino, centrum dzielnicy peryferyjnej. Po zapytaniu się skręcił w prawo i zaraz odnalazł dom z głębokim podcieniem, z tarasem na dachu, zdziwił się wpływem arabszczyzny. Na piętrze w obszernej poczekalni-biurze, urzędnik objaśnił go, że do otrzymania wizy konieczne są dwie fotografie. Odebrało mu dech, zaśmiał się ze swojej głupawej niewiedzy. Uczynny czarny urzędnik natychmiast pospieszył z radą, że takie kilkuminutowe zdjęcia może sobie zrobić przy Marina street w pobliżu stacji benzynowej. Zleciał szybko po schodach. Na ulicy rozejrzał się za taksówką, nie było żadnej, a czekanie na nią to zdanie się na opatrność, u której nie był w łaskach. Zawrócił do pyłnej drogi ciągle przyspieszając kroku, teraz miał już prosto ze dwa kilometry z okładem. Zgarniał pot z czoła, by nie zalewał mu oczu, pływał w nim cały. Koszula nieprzyjemnie lepiła się do pleców, przeszkadzała ruchowi barków. Tu słoneczko prażyło jak morderca. Była pora ciągle nasilającej się popołudniowej spiekoty, którą szanowali i krajowcy. Zapomniał o lepiącej się koszuli, strząsał głową pot z czoła. Wyskoczyła za nim gromadka dzieci, ale

246

szybko odstały wołając ajbo, ajbo. W głosach ich nie było szyderstwa tylko dziecięce ubawienie. Po niebie

potoczył się grzmot. Spadło mu na twarz kilka, grubych kropel i zaraz lunęła ulewa. W skokach wpadł pod werandę najbliższego domu. Jak tu było dobrze, doskonałe schronienie. Szkwał znad oceanu powinien przelecieć szybko. Popatrzył po niebie — sine, bure, całe w wodzie. Mogło to trwać i pół godziny. Dla niego ważna była każda minuta, by zdążyć przed zamknięciem urzędowania w ambasadzie. Wyjął paszport, wsunął go głębiej w celofanową oprawkę, otwartym końcem w dół włożył do kieszeni koszuli, zapiął klapę na guzik i rozprostował ją jak okap. Wyszedł spod werandy, od razu jakby zanurzył się w wodzie. Ruszył biegiem w nacierającą na niego niewidoczną ścianę, ustępowała dopiero po znacznym wysiłku. Po paru minutach zaprzestał biegu. Szedł na stojąco w wodzie i pomagał sobie wiosłowaniem rąk. Smrodliwe rowy kanalizacyjne zamieniły się w przelewające, rwące potoki. Spływał nimi cały miejski brud. Znów przetoczył się grzmot, ciszej, dalej. Kaskady łagodniały w sekundach, przestało padać i zaraz wyszło słońce. Szkoda, że nie przeczekał ulewy — kto by to wiedział kiedy przestanie. Ochłodzona ziemia, powietrze — rześkie, pachnące. Spod stóp nie wzbijały się tumany pyłu. Skąpy, przemoczony przyodzievek nie ziębił. Szło mu się teraz łatwo, nawet przyjemnie. Bez trudu odnalazł zakład fotograficzny w małym pomieszczeniu z doskonałym automatem. Po dwóch minutach

wyskoczyły z niego gotowe zdjęcia. Zapłacił i serdecznie podziękował. Fotografijki włożył do suchego paszportu i puścił się w drogę.

W biurze poczekalni było kilku Afrykańczyków zajętych pisaniem i — Jean-Marie ze swoim statsonem w ręku gawędził z urzędnikiem siedzącym za biurkiem. Spotkali się oczami i uśmiechnęli się do siebie. Po wzięciu formularzy przeglądał je przy biurka. Aż skręcił głowę, były w tekście francuskim. Musiał mieć nieporadną minę. Podszedł do niego Jean-Marie z chęcią pomocy. Kapelusz swój trzymał w dłoni za szeroką kryzę jak coś bardzo drogiego. Troskliwie położył go na najbliższym stoliku, trochę z boku. Usiedli naprzeciw siebie. Potrzebne personalne mówił po angielsku a Jean-Marie pisał po francusku. Po skończeniu uśmiechali się do siebie i przyglądali się sobie, znajdując wzajemne podobieństwo w obsesji wędrowania.

— Na co ci wiza? — zapytał Jean-Marie. Opowiedział mu zwięźle o swoim zamierzeniu i zakończył niespodziewanie:

— Jan, a może byśmy ruszyli razem?

Pokręcił przecząco głową, po chwili odpowiedział:

— Nie. W pojedynkę łatwiej wyżywić się, łatwiej podwieźć się okazją, skorzystać z noclegu. Nie ma sprzeczek, o wszystkim decyduję ja.

— A powiedz mi, dlaczego wędrujesz?

– Nie wiem, po prostu muszę.

– Nie jest to najłatwiejszy sposób życia a można je i stracić.

248

Rozchylił dłonie jak święty i łagodnie uśmiechnął się.

– Gdzie się kierujesz?

– Kapsztad — jedno słowo znaczyło więcej niż pół Afryki wzdłuż — potem na jakimś statku przedostanę się do Ameryki Południowej.

– Wielka droga — wyszło mu samo ,z ust.

– Po drodze można by zarobić u Kongo-Mullera, nieźle płaci — tysiąc funtów miesięcznie.

– Jan, nie chciałbym być został najemnym zbirem.

– Zaraz takie ciężkie słowa — zaśmiał się i wyciągnął dłoń.

Uścisnęli sobie mocno.

– Dobrej drogi — życzył mu.

– Dobrej drogi — odpowiedział Jean-Marie.

– Masz już kameruńską wizę?

– Tak — uroczyście uniósł swój kapelusz i nałożył na głowę.

– Kiedy ruszasz? — .zawołał za nim.

– Jeszcze dziś — odpowiedział i zniknął na schodach.

Zebrał formularze i skierował się do urzędnika. Ten przejrzał je, zwrócił i wskazał mu kancelarię pierwszego sekretarza.

W obszernym wnętrzu w tonacji ciemnej, wszystko ogniskowało się w kościstej twarzy nad wielkim biurkiem. Przeglądanie formularzy dłużyło mu się w oczekiwaniu pełnym napięcia. Znad papierów uniosła

249

się ciemna twarz, uczuł na sobie jeszcze ciemniejsze, przepatrujące oczy. By skrócić to, odezwał się.

– Poszę o wizę tranzytową do Republiki Srodkowo-Afrykańskiej.

– W jakim celu? — suchy, beznamiętny głos.

– Chcę napisać książkę.

– Na jaki czas ma być ta wiza?

– Wystarczy tydzień.

– Tydzień, żeby napisać książkę o Kamerunie! — zaśmiał się z ironią.

– Mógłby wystarczyć i tydzień. Zresztą nie będzie to książka tylko o Kamerunie, chcę przejść Afrykę aż do Mombasy w Kenii.

Podał legitymację Związku Literatów Polskich, mającą także wersję francuską. Wyburzył ironię.

Pozostał uśmiech jakby zdziwienia. Sekretarz sięgnął po leżący przy formularzach paszport, skartkował na odpowiednie miejsce i zaczął wypisywać wizę. Z trudem opanował bijącą w niego radość. Uderzenie stempla zadźwięczało jak dzwon.

– Opłata osiemnaście szylingów — doszło go czystą radością.

– Zapłacił ochoczo. Widział się już na niemieckim statku i dalej w drodze. Sekretarz nie spieszył się z podaniem paszportu. Trzymał go jak na torturach.

– Czy w Ambasadzie Polskiej zgłosił pan swój pobyt?

– Tak. — Opadły go przykre wspomnienia.

– A dlaczego w uzyskaniu wizy nie korzysta pan z pomocy swojej ambasady?

250

– To pan osobiście może wydać wizę.

– Mogę — odpowiedział z akcentacją. Znów przepatrywał go z odrobiną uśmiechu.

– Czy mogę zatelefonować do Ambasady Polskiej? — wymówił wolno.

Nie popełnił nic złego. Nie chciano mu pomóc, nie myślał, by chcieli mu szkodzić.

– Oczywiście — odpowiedział swobodnie. Po połączeniu się z Polską Ambasadą Kameruńczyk

niewiele mówił, słuchał. Odłożył słuchawkę i jakby zaniemówił. Po chwili zastanowienia wrócił mu głos.

– Nie bardzo dobrze mówią o tobie — wymówił delikatnie, jakby chciał złagodzić to, co słyszał.

– Nie popełniłem nic złego.

– No więc dlaczego? — pytał zaciekawiony.

– Już chciał odpowiedzieć, że nie wie ale to wydało mu się płaskie i nieprawdziwe.

– Mówiąc otwarcie, ich osobowość i moja są krańcowo różne, jesteśmy wzajemnym zaprzeczeniem. To ich drażni. Celebrują swoją małość. Ja tego nie mogę, nie mam urzędu, myślę, że i nie umiałbym nawet. Brakuje mi jednego stempelka z Polski. To świetna okazja, by mogli poczuć się papierowymi lwami.

Pierwszy sekretarz z trudem powstrzymywał śmiech. Otrząsnął się, jakby to w pewnej mierze dotyczyło i jego. Bawiło go to również. Spoglądając prawie życzliwie wymówił:

– Zostawmy tę sprawę do jutra.

251

– Rozmawiałem z kapitanem niemieckiej „Rugii”, chce mnie zabrać, mam bilet. Statek odchodzi dziś wieczorem do Duali.

– Dziś nie ma mojego ambasadora. Nie jestem pewny

czy dostaniesz wizę — przestrzegał go przed radością.

Musiał się zdać na to. Nie widział żadnego wyjścia.

— Należy mi podziękować Waszej Ekscelencji i przyjść jutro.

Skłonił głowę na pożegnanie. Zostawił go ubawionego, uhonorowanego tytułem przynależnym ambasadorowi.

Na ulicy ochłonął z napięcia. Wieczorem niemiecki statek odejdzie bez niego. Zgodził się z tym.

Uśmiechnął się, było mu lżej. Zrobił wszystko co mógł — nie wyszło. I pomyśleć: wiza wypisana w paszporcie i opłacona. Wszystko przez ten telefon. A gdyby te pięć funtów za reportaż rzucał jako łapówkę? Rychło w czas pomyślał o tym, trzeba było przedtem. Zbyt cenił tak wysoki urząd i nie dopuszczał nawet myśli o przekupstwie. Pięć funtów to strasznie duży pieniądz. Nie widział możliwości zarobienia następnych. Mogły przydać się na wizy.

Następnego dnia wybrał się do Ambasady Polskiej. Pełen otuchy, był pewien, że na pewno uda mu się przekonać sekretarzy. Nie było nic złego w jego zamierzeniu. Dlaczego mieliby mu szkodzić. Tym bardziej, że z tą wizą z początku było tak łatwo. Poprosi ich i pociągnie za swoim, wielkim marzeniem.

252

Do holu wyszedł do niego geograf —.pierwszy

sekretarz i attache morski. Powiedział im „dzień dobry” ale oni jakby nie usłyszeli powitania. Cali byli w napięciu, twarze ściśnięte, jakby byli zdecydowani wyrzucić go stąd. Miast mówić po co tu przyszedł, z wrażenia aż zgubił język w gębie. Mały wzrostem pierwszy sekretarz wpatrywał się w niego, nabierał gniewu. Nadał się złością, by nie pęknąć wykrztusił:

– Co pan wyprawia!

Zdziwiony zarzutem. W pojęciu tych ludzi samo jego istnienie było złem dostatecznym.

– Jak pan śmie sam nawiązywać kontakty!

– Cóż w tym złego — dobyło się z niego samo, jakby opędzał się przed napastliwą muchą.

– Pan nawet nie wie, że na drukowanie się poza granicami kraju trzeba mieć zezwolenie Ministra Kultury i Sztuki.

– Istnieje takie...

– Istnieje takie — z naciskiem przerwał mu sekretarz — ale pana to nie obowiązuje.

– Reportażyk opisowy napisałem tu. Cóż to za przestępstwo — przedarł się przez napastliwość.

Pogardliwa ironia skrzywiła im twarze. Przekonani święcie, że nic ponadto nie był wart.

– Wysoce anarchiczny — przemógł się attache morski.

– I to takich wypuszczają z kraju — wykrzyknął sekretarz — Ci, którzy pomogli w tym panu poniosą konsekwencje.

253

Panowie zamieniliby socjalizm w obóz koncentracyjny — już miał na języku ale ugryzł się. Skąd ta wrogość. Z radosną ulgą wrzuciliby go do więzienia, a że nie mogli, boleli nad słabością swego urzędu aż przynoszącą im upokorzenie.

– Żadnych więcej drukowań, ani wiz. My tu jesteśmy po to, by był porządek — powiedział władnie sekretarz i uśmiechnął się.

Znów miał na języku, że kameruńska wiza jest już wypisana w paszporcie i opłacona. Coś go tknęło, by lepiej nie jątrzyć ich. Był to już koniec. Przewlekająca się cisza coraz dotkliwiej truła ich i dławiała.

Uśmiechnął się ze swobodą skazańca i z hojnością tegoż odpuszczający winę swoim sędziom, wymówił:

– Dziękuję.

Powiedział z cichą pokorą, ale oni to wzięli za szyderstwo. Nie wymówił już „do widzenia” i odszedł. Przy zamykaniu drzwi holu zobaczył nieporuszonych; z kamiennymi twarzami ścigali go swoją nienawiścią.

Ruszył chyżo by ochłonać. Przypomniało mu się pierwsze spotkanie z nigeryjskim dziennikarzem, wylewne, z całą afrykańską serdecznością. Potem był

powściągliwy, zbył go wyjazdem. Nie chciał po prostu z nim rozmawiać. Podobnie przyjęli go w redakcji „Nigerian News”. Wszystko to zrobiło mu się teraz jasne. Drukowany reportaż przeczytał sekretarz ambasady. Najprościej skontaktowali się z redakcją, a potem z nigeryjskim dziennikarzem. Nastąpiła interwencja

254

wyjaśniająca — na pewno tak określili swoją szlachetną czynność, przestrzegając przed włóczęgą o hochsztaplerskich zapędach. To samo powiedzieli o nim Ambasadzie Kameruńskiej. Zginęła cała nadzieja otrzymania wizy stamtąd. Cóż, że jest wypisana w paszporcie, tak łatwo skreślić ją. Z niewesołą świadomością wydarzeń dobrnął do Kameruńskiej Ambasady.

Pierwszy sekretarz przyjął go wesoło. Przypatrywał mu się uważnie, jakby to bawiło go.

— Twoja ambasada bardzo zajęta jest tobą, dziś znów telefonowali do mnie — wymówił siląc się na powagę.

— Och, pewnie nie doceniam ich szlachetnej troski o mnie.

Sekretarz powstrzymał śmiech, zamigotały mu oczy. Spoza papierów sięgnął po jego paszport, otworzył w odpowiednim miejscu, spojrzął na niego i wymówił:

— Nie będziemy kreślić, z siedmiu dni pobytu

poprawimy na dwa. Dobrze?

Był to czas postoju statku a więc wiza prawie żadna. Migiem zrozumiał, że i tu był palec ambasady. Był to łatwy sposób pozbycia się go także i przez Ambasadę Kameruńską.

– Trzy dni Wasza Ekscelencjo — zawołał radośnie.

– Niech będzie — zgodził się sekretarz, jakby uległ jego radości.

Podziękował kiedy paszport miał już w dłoni.

255

Przed odejściem złożył głęboki ukłon. Nie chciał pierwszy wyciągnąć dłoni jako ten z opinią o mocno wątpliwej wartości. I sekretarz nie wyciągnął ręki na pożegnanie i tak rozstali się.

Gdy wracał na „Albacore” świat znów był piękny i przyjazny. Dobry i jeden dzień dłużej w Kamerunie. Statek na pewno odejdzie wcześniej i wtedy legalnie zostanie. Potem trzeba będzie przedłużyć wizę, nie będzie to już tak trudno, najważniejsze, że ją, ma.

Na „Albacorze” dowiedział się, że następnego dnia wychodzi ona w morze. Znów pości u Ibów, a może u szkockich misjonarzy. Skończy się dobre jadło, będzie na własnym, spartańskim wikcie z najprostszymi posiłkami od głodu do głodu. Rasowego psa pasie się raz dziennie dla utrzymania w kondycji. Nie bardzo pewny swojej dzielności wspierał ją słowami.

Następnego dnia powiedzieli mu rybacy, że wszedł „Radom” i uwiązał się gdzieś u nabrzeża tu w Apapie. Nie spieszyło mu się, z rybakami było tak dobrze. Po obiedzie zakrywali luki, sklarowali statek. Uwijali się lekko, zręcznie, z wesołymi gębami.

Podziękował starszemu mechanikowi za kanapkę i zarzucił chlebak na ramię. Potem kapitanowi. Kiedy schodził wyciągały się do niego życzliwe dłonie. Ścisnęły krzepko do bólu. Boguś zszedł z nim na nabrzeże. Zrzucał kolejno cumy, kiedy zrzucił ostatnią uścisnął mu dłoń, szybko wszedł na pokład. Zaraz

256

wciągnęli trap. Najsamprzód odszedł dziób i „Albacora” zaczęła sunąć na zatokę.

— Oby udało ci się — zawołał Boguś. Wzniósł rękę na pożegnanie. Na „Albacorze” wzniosło się kilkadziesiąt. Podniósł drugą. Kochani, dzielni chłopcy. Wszyscy wydawali mu się tacy jak Boguś, a kapitan bez szamerunku. Duch Polaków objawił się na dalekomorskim statku rybackim, nie w ambasadzie. „Albacora” sunęła coraz szybciej aż przesłoniły ją statki leżące przy nabrzeżu. Po wyjściu z zatoki chłopcy spłuczają pokład. Następnego dnia wyciągną i przygotowują sieci. Po drodze złowią pełne luki ryby. Za miesiąc będą w kraju.

Ruszył nabrzeżem z ciasno leżącymi przy sobie statkami. Jęk dźwigów, zgrzyt żelastwa, głosy ludzkie przenikały się zmęczone u schyłku dnia. „Uniafrica”,

ogromny, biały napis na lśniącej, burcie i wszystko nad nią było takie, w wyrazistych kształtach, gładkich powierzchniach nim je czas i praca pognie, odkształci. Był to frachtowiec „Radom”, pachnący jeszcze farbą i stalą. Pozdrowił marynarza przy trapie i dodał:

– Ładny macie statek.

– Nowy. Strasznie dużo roboty, by jak najdłużej tak go utrzymać — odparł.

Prostował nogi, ogorzały tors i uśmiechał się spaloną twarzą. Radością było dla niego niespodziewane spotkanie ziomka. Powiedział, że „Radom” nim wróci idzie do Duali w Kamerunie, potem do Matadi i dalej aż do Angoli, że kapitan jest u siebie.

257

Kapitan był w swoim saloniku wraz z szefem stewardem. Angielski wąs, nienaganna elegancja. Po wstępnych wyjaśnieniach przejrzał paszport, bilet statkowy, oddał mu je.

– Szefie, niechże pan umieści naszego pasażera — w głosie jego brzmiała gościnna zachęta.

Podziękował kapitanowi i skierował się za szefem. Przeszli na drugi korytarz. Szef kluczem otworzył drzwi jednej zbieżnych kabin, wszedł do środka, zapalił światło, stanął przy ścianie z sakramentalnym — „proszę”.

Przestąpił próg. Pod burtą leżały w stos ułożone

skórzane walizki. Cała kabina zarzucona egzotycznymi różnościami. Z pierwszego łóżka szef przekładał na drugie murzyńskie maski, jaskrawe samodziały, rzeźby, prymitywną broń i narzędzia.

— Trofea z podróży — usprawiedliwiał nieład. — Inżynier poszedł na ląd. Myślę, że będzie wam dobrze. Niechże się pan rozgości — powiedział i wyszedł.

Rozejrzał się. Inżynier wróci do domu z obfitą zdobyczą, by przez resztę życia wspominać życiową podróż. Radośnie odczuł cudze bogactwo, mimo że sam skazany był na ubóstwo. Ze swych wędrówek po świecie, do więcej niż skromnego domu nie przyniósł ani kamyka. Był niepoprawnym łowcą wrażeń, zachłannym, nienasyconym, bez świadomości, że mogą nakarmić wyobraźnię i stać się tworzywem dla przyszłych książek, które chciał napisać. Przekreślił zamek w drzwiach. Rozebrał się do slipów, zgasił

258

światło i legł na łóżku bez nakrywania się. Po ostatnich smutnych wydarzeniach teraz odczuł zmęczenie, pofolgował mu, ażeby wyrzucić je z siebie, oczyścić się. Statek odejdzie nocą i nareszcie będzie poza zasięgiem ambasady. Uładzonego spowił sen.

Ocknął się. Zdawało mu się, że dopiero zasnął. Spał — nie spał, dziwne uczucie. Usłyszał natarczywe walenie w drzwi, jakby ktoś dobijał się dłuższy czas,

teraz już zdecydowanie. Przerwa i po chwili gniewny głos:

– Niechże pan otworzy:

Attache morski, przemknęło mu w świadomości i w tej samej chwili, że to nic dobrego. Wstał spokojnie, zapalił światło i otworzył drzwi. Zobaczył go w pozie całego urzędu.

– Ma pan zaraz zejść z tego statku i iść na „Kraków”, stoi tu w porcie. Wszystko już załatwione — powiedział zdecydowanie jak wojskowy rozkaz.

– Kapitan z „Radomia” powiedział, że weźmie mnie do Duali, nie widzę więc potrzeby — odpowiedział łagodnie.

Attache napiął się jakby chciał wybuchnąć, wybrał lepsze, puścił się korytarzem. Przymknął za nim drzwi. Ledwo zdążył się ubrać otworzyły się i zza progu ten sam głos co poprzednio:

– Kapitan powiedział, że ma pan zaraz przyjść do niego — nie mogąc doczekać się odpowiedzi zamknął drzwi.

Odczekał chwilę. Zarzucił na ramię nie rozpakowany jeszcze chlebak, symbol swojej drogi i posiadania,

259

wyszedł. Zobaczył wszystkich w salonie statkowym przez na oścież otwarte podwójne drzwi. Był kapitan, kilku oficerów, elegancka pani i attache. Stali w

gromadce wyczekująco jak na widowisko. Powściągliwie skłonił się, ale nikt mu nie odpowiedział. Nieprzyjazne twarze. Spoglądali na niego jak na intruza, nie bez pogardy. Podszedł blisko i łagodnie spojrzął na kapitana. W jego oczach nie było żadnego wyrazu.

– Ma pan zejść ze statku — powiedział mechanicznie.

Uśmiechnął się. Tak wprost bez żadnych wyjaśnień, poprzednio przecież chciał mnie pan przewieźć — już miał na języku. Spojrzął na attache i powstrzymał się, kapitan był trybikiem w jego ręku.

– Dziękuję — wymówił cicho. Uśmiechnął się ze skromną naiwnością i odszedł. Przy trapie stał ten sam marynarz co poprzednio.

– Co już pan schodzi — rzekł zdziwiony.

– Tak.

– Jak to, przecież są miejsca — mówił oburzony, jakby wychwycił w tonie jego głosu, coś niejasnego.

Uśmiechnął się. Nie dochodził celowości tego zarządzenia.

– Poszaleli — gniewał się marynarz.

– Tu jest gdzieś „Kraków” — wymówił.

– Zdaje się, trzeci czy czwarty statek dalej — ochoczo podpowiedział marynarz. W podziękowaniu skinął głową i powiedział:

– Dobrej drogi.

– Dobrej drogi — zawołał marynarz. Dalej szedł nabrzeżem. Łagodne ciepło pełnego wieczoru. Po upalnym dniu wzmożono tempo pracy. Jękliwy rytm dźwigów, pomruk ogromnych ciężarówek, stukot wagonów, platform. „Kraków” stał między dwoma dużymi frachtowcami. Tego samego typu co „Radom”, wydawał się niepokąźny, przyduszony, szary, pomarszczony starością.

Marynarz wachtowy powiedział, że jutro odchodzą do Port Harcourt. Będzie jeszcze kilka małych portów, potem Duala w Kamerunie i stamtąd wracają do kraju, że „stary” jest u siebie. Kapitan wcale nie był stary, wysoki, w białej koszuli i spodniach khaki, miał w zachowaniu swobodę i życzliwość. Nie zadawał żadnych pytań ani nie przeglądał dokumentów. Do przybyłego stewarda zwrócił się:

– Mamy pasażera. Jakaś kolację panie szefie.

– Jestem już po. Dziękuję — odmówił, nie mając ochoty na jedzenie.

Kapitan uśmiechnął się łagodnie i patrzył za odchodzącym jakby porównywał to co już wiedział o nim z wrażeniem po zetknięciu się.

W kabinie był sam — spokój i wytchnienie. W przylegającej łazience nie było wanny. Obmył się pod prysznicem, potem wziął gorący tusz, na sen. Legł na

łóżku i szybko zasnął. Nikt go tu nie nachodził. Spał, głębokim, nieprzerwanym snem.

Przy śniadaniu oficerowie, asystenci, przeważnie w spodniach khaki i białych koszulach. Nie było tu

261

obowiązku noszenia munduru ani dętej reprezentacyjności mesy oficerskiej, uwierającej ludzi aż zmieniają się w poprawne, sztywne kukły. Nie było tu męczącego napięcia. Była łagodna swoboda jak we własnym, zadbanym przez nich domu. Pogodne twarze mówiące, że dobrze się tu żyje, obowiązki są spełniane. W spojrzeniach widział życzliwość. Niektórzy jakby znali wydarzenia, które go spotkały i uśmiechali się jak z dobrego żartu.

Po śniadaniu udał się do świetlicy o piętro wyżej. O tej porze nie było tu nikogo. Zasunął rozwarte okno, by przytłumić hałas portowy.

Począł przechadzać się na długiej przestrzeni od buntury do burty. Myślał o kapitanie, o rodzinnym nastroju mesy, który udzielił się i jemu. Ludzie nie byli tu tak serdecznie wylewni i energiczni jak na „Albacorze”, byli powściągliwie życzliwi i dobrzy. Popatrzył na stosy dzienników, tygodników jeszcze z kraju. Otworzył szafę biblioteczną i jął się przeglądania spisu tytułów na dwóch kartkach. Usłyszał kroki, stał przed nim steward podający w mesie.

— Kapitan prosi pana do siebie — po chwili dodał — i

niech pan weźmie paszport.

Skoczył do kabiny i z paszportem w ręku pędził do kapitana. Przyzwoicie zapukał. W saloniku stał kapitan z twarzą poważną, tuż przy nim drugi sekretarz ambasady, ten wysoki. Skłonił mu się ruchem głowy.

— Dzień dobry — odpowiedział ten hojnie i nawet

262

uśmiechnął się. — Chcę zobaczyć pański paszport — dorzucił lekko.

— Pewno chce pan oglądnąć kameruńską wizę — podał mu.

Sekretarz wziął. Ciągłe w uśmiechu, zapytał:

— Może pan ma swoją, jedną fotografię?

— Nie mam — odpowiedział.

Sekretarzowi zniknął uśmiech, twarz stała się oschła, zimna — twarz wielkiego urzędu. W jednej chwili nastąpiło jak gdyby przeosobowienie. Zdecydowanie usiadł przy stole, rozłożył paszport wydarł z niego fotografię. Sięgnął do aktówki po kartkę z wypisanym już tekstem i przyciskacz do spinania papierów. Wydartą fotografię przypiął do kartki. Powstał z całą powagą urzędu z jego poszarpanym dokumentem uniesionym w dłoni.

— Paszport zostaje panu odebrany — wyskandował jak

wyrok sądowy.

Odczekał chwilę według rytuału. Ostentacyjnie zwrócił się do kapitana:

– A pan, kapitanie pod aresztem odstawi go do Szczecina, Gdyni czy Gdańska — sięgnął po kartkę z fotografią, ruchem nakazu wręczył mu ją i dodał — a to jest karta paszportowa podróży.

Kapitan wziął kartę podróży bez słowa. Stężała mu twarz, jakby poprzednio nie był na to wszystko odpowiednio przygotowany.

Nastąpiła przewlekła chwila ciszy. Z twarzy sekretarza odeszło napięcie powagi, nawet uśmiechnął się. Dokonał urzędowego aktu i uważał wszystko za

263

skończone. Swobodnie przyglądał się podsądnemu, który zaniemówił. Wielce zadowolony z siebie, z wrażenia, jakie wywarł.

Sekretarz zwracał się do niego jak do aresztanta. Wszystko to wydawało mu się jakąś komedią, w której na siłę wtłaczano go jako głównego bohatera i grano tę sztukę bardzo złośliwie. Nie mogąc jednak znieść wzroku upojonego ważnością władzy, powiedział cicho, jakby do siebie:

– Bez winy i bez sądu zostałem skazany na kilku miesięczny areszt.

– Urządza pan sobie jakieś ekskursje literackie — w

głosie karcący ton.

– Nie wiedziałem, że usiłowanie napisania książki, jest karalne.

– Ma pan pisać swoją marynistykę — powiedział jak rozkaz.

Uśmiechnął się. Głęboko odczuł jak mało znaczy literatura wobec urzędu. Nie mogąc jednak znieść lekceważenia, wymówił:

– Wybór będzie należał do mnie.

Sekretarz powstrzymał się od odpowiedzi. Jakby spostrzegł że po akcie urzędowym niepotrzebnie zabrnął w rozmowę i to przy kapitanie oniemiałym ze zdziwienia i w napięciu. Ujął swoją aktówkę, podał kapitanowi rękę i wyszedł szybko.

Po odejściu sekretarza przyglądali się sobie bez słów, jakby powtórnie uzmysławiali sobie to wszystko, próbując dokonać jakiegoś osądu. By przerwać

264

to skierował się do wyjścia. Uczuł powstrzymującą rękę na ramieniu. Odwrócił się.

– Pan kapitan chce mnie zamknąć — powiedział żartem, spodziewając się jednak takiego wydarzenia.

– Siadaj pan — rzucił kapitan i ostro wskazał ręką.

Usiadł na kanapce. Wygodnie oparł się plecami i

wyciągnął nogi. Rozluźnił się, by wyrzucić z siebie napięcie i gniew. Kapitan stał wysoki, słusznej budowy, przyglądał mu się jakby z daleka. Kiedy napatrzył się dość, podszedł do szafy, otworzył ją, wyjął z niej butelkę koniaku, postawił na stole, przy niej dwie lampki. Stojąc ciągle napełnił je. Uniósł swoją z zachęcającym:

– Zdrowie.

Wychylili, by stępić wrażenie niedawnego zajścia.

– Są wściekli na pana — w tonie zdziwiona wesołość. Kapitan znów napełnił tylko jemu.

– Czeka mnie robota. Po obiedzie odchodzimy — tłumaczył swoje powstrzymanie.

– Jak to dobrze, że odchodzimy — wyszło mu samo.

– Pij pan, to robi panu dobrze — przynaglał kapitan.

– A gdyby sekretarz wrócił po coś? — naszło go zaskakujące przypuszczenie.

– Poczęstowalibyśmy i jego — znalazł wyjście kapitan.

Wypił jeszcze ze dwa razy. Wstał i podziękował,

265

Wychodząc usłyszał kapitana:

– Niech się pan nie przejmuję.

Poszedł do kabiny, położył się na łóżku. Wszystkie udreki stępiły się w gorzale i zaraz przyszedł sen.

Obudził się. Nie wiedział gdzie jest, uczucie zagubienia i niepokoju. Odczuł drzenie z cichym pomrukiem i rytmicznym łoskotem. Łagodny szum wody wciskał się przez otwarty iluminator. W jednej chwili przyszła świadomość, wydostał się z pustki, ale niepokój gdzieś głęboko tkwił w nim nadal. Włożył kąpielówki i wyszedł na pokład szalupowy.

Spojrzeniem omiótł horyzont, nigdzie nie wciskał się ląd. Byli już na pełnym morzu. Marynarz stojący na skrzydle mostku spojrział za rufę, doglądał czy co nie zagraża spokojowi i znów patrzył w przód. Na drugim skrzydle zobaczył oficera. Statek zawieszony w bezmiarze wód i nieba. Kojąco odczuł monotonię. Nie czuł się tu aresztantem a jednak nim był. Nie mógł się z tym pogodzić. Z szumiącym pluskotem nadchodził rześisty deszcz i zatrzymał się o jakie sto metrów od burty. Z przelatujących, małych chmurek obrywały się sine smugi, wykwitwały na nich tęcze aż przesłoniła je noc.

Około południa wpłynęli do małego portu Bonny River. Doskonałe nabrzeże z kilkoma dźwigami. Mały statek, kilka motorowych barkasów. Domy urzędów, biur, kompanijnych agend, wszystko w kolorach jasnych, wesołe, owite soczystą zielenią. Świeżość jakby zawsze trwał tu pogodny ranek.

Eleganckie samochody i sporo białych w krótkich, śnieżnych tropikach. Pogodne twarze zadowolone łatwym życiem. Kiedyś, na zawijających tu żaglowcach febra, malaria i inne mory wybijały całe załogi. Statki przychodzące z Anglii zastawały puste urzędy. Było to najgorsze miejsce na Ziemi, A jednak cywilizacja zdjęła stąd przekleństwo śmierci. To mu się wydało olśniewające i cieszył się, jakby to było i jego osiągnięcie.

Z czarnym pilotem na mostku brnęli wśród niskich krzaków i wysokich traw przez zakola rzeki, odnogę Nigru. Jak okiem sięgnąć zbity kozuch bagna, delty wielkiej rzeki. Gdzieniegdzie wysepki palm i ogromnych drzew. Czasami przemknęła dłubanka z rybakami i zniknęła, zdawałoby się, w nieprzebytym kozuchu. Szałasy, domki ludzi zamieszkujących tę topiel, gdzie nogi nie można było postawić sucho. Czarny pilot doskonale prowadził przez meandry rzeki. Była to trudna trasa. Pilotowanie w Lagos było dużo łatwiejsze, pełnili je biali. Wydawało mu się to trochę niedorzeczne. Pod wieczór zawinęli i uwiązali w Port Harcourt. Gdzieś bardzo daleko w smolistej nocy płonęło kilka żagwi gazów przy szybach ropy naftowej.

Rano wybrał się na spacer. Szedł nabrzeżem w stronę miasta. Minął dobrze już wysłużonego „anglika”, nowego „szweda” i odrapanego „greka”. Z dwieście metrów pustego nabrzeża i koniec basenu. Zapуścił się ścieżką między wysokimi łozami do miejsca, gdzie

urywała się na siatce płotu. Trochę z boku

267

dostrzegł zupełnie wygodną dziurę. Przeszedł nią i ścieżka dalej zaprowadziła go do murowanego domu, schludnie wybielonego wapnem, wychodzącego zadaszeniem na słupach wzdłuż długiej ściany. Pod nim z rzadka stoliki i krzesła. Usiadł przy jednym i zapalił papierosa. Na ścianach angielskie napisy witające marynarzy. Nie była to dziwna knajpa na pustkowiu, jak mu się zdawało, a Dom Marynarza. Niedaleko siedziała gromadka Szwedów, byli w roboczych portkach, skąpych koszulach, jeden nawet bez — z gołym tarsem. Popijali mrożone piwo i przyglądali się dziewczynom plewiącym grzędę dużych i jaskrawych kwiatów poza dachem. Sterczącym zadom, nogom jak hebanowe kolumny i piersiom prężnie wyskakującym ze skąpego przyodziewku. Szwedzi jak urzeczeni, zwróceni na grzędy kwiatów, kręcili głowami, uśmiechy zalewały im twarze. Jedna z dziewczyn wyprostowała się, utknęła kopaczkę w ziemi i skierowała się do domu. Któryś z marynarzy przywołał ją, kiedy zatrzymała się przy nim pogładził ją po dużej piersi. Dziewczyna się uśmiechała, raczej dumna niż zawstydzona. Zalotnik objął ją wpół i zwrócił się do siedzących.

— Ganska bro!

— Miki bro! — odpowiedzieli niektórzy.

— Jewła bro! — zawołali chórem wszyscy. Marynarz

powiedział do niej kilka słów i zwolnił uścisk. Dziewczyna odeszła do baru, wróciła z naręczem piw, postawiła na stoliku i odeszła na grzędę kwiatów. Balet trwał nadal.

268

Teraz dopiero .dostrzegł z boku, przy stoliku młodziutkiego chłopca. Nie pił, ani nie palił. Pochłonięty pisaniem jakby przebywał o tysiące mil stąd. Twarz surowa i czysta. List był raczej do matki niż do dziewczyny. Oczy chmurne, skupione w sobie, była w nich siła i zuchwałość. Przez chwilę pozazdrościł chłopcu najlepszych cech, jakie czasami tylko miewa najlepsza młodość. Zawstydził się swojej słabości. Był aresztantem. Jeśli mógł tu przyjść to tylko z dobroci kapitana. Przecież kapitan mógł go, kazać zamknąć. Odczuł strach, że może tak się stać. Wtedy w porcie musi dać znać o sobie miejscowym władzom przy przyjęciu statku i te przywrócą mu wolność. Prawie zawsze wtedy jest dość ścisła kontrola. Załogi statków w obcych portach podlegają prawu kraju, w którym znajdują się, a w tych nie ma prawa na areszt bez winy. Wyszłaby z tego sprawa polityczna, że chce wziąć azyl, jednak nie wzięłby, a poczekał na inny polski statek i wrócił na nim do kraju. A gdyby i na tym drugim statku kapitan zastosował areszt z zamknięciem, znów starałby się uwolnić jak poprzednio. Jeśli to by mu się nie udało, to pokazałby, że poprzednio mógł „wybrać wolność” a nie zrobił tego. Trzeba protestować, nie wolno ulegać

widzimi się papierowych duszyczek, które jest bezprawiem. A jednak kapitan mógłby go kazać zamknąć w tunelu wału śruby. Tam nikt nie zagląda, czasami tylko celnicy. Wtedy sprawa byłaby raczej przegrana. Chociaż — gdyby zjednął sobie jednego, dwóch marynarzy, a ci w porcie donieśli by

269

władzom o jego areszcie... Jeśli to by się nie udało skazany byłby na potworny karcer w kazamacie z żelastwa, w duchocie, gdzie niewiele powietrza i wędziłyby się w smarach. Spojrzał na chłopca piszącego list do mamy. Twarz nieujarzmiona, czujna, jakby przeczuwał czekającą go walkę i gotów podjąć ją radośnie ze światem nie najlepszym we wszystkim, w swoim marynarskim losie.

Powstał zdecydowanie. Wszedł na ścieżkę przez dziurę w płocie. Tuż przy samym trapie „Krakowa”, kapitan wsiadał do odkrytego wozu, spostrzegł go, zadowolony widząc go powracającego z lądu, cofnął nogę ze stopnia, odpowiedział na ukłon.

– Dobrze już? — zapytał.

– Dobrze, panie kapitanie — odpowiedział.

Kapitan uśmiechnął się i wsiadł. Biały, siedzący przy kierownicy ruszył zrywem.

Cóż mógł odpowiedzieć. Cieszył się, że sprawił kapitanowi odrobinę radości, chociaż w nim nie było jej. Popędził do swojej kabiny. Z brulionu, który wziął

na drogę, odpiął dwie kartki i zaczął pisać list do Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich w Warszawie. Pisał dosadnie, z pasją, na co narażony jest człowiek chcący napisać książkę i to tu, na obczyźnie, od braci krajanów na wielkim urzędzie. Ze nieświadomy, co go czeka poszedł do Ambasady Polskiej w Lagos i wpadł w tryby wielkiego urzędu, znajdującego się w rękach ludzi małych. Błagał i zaklinał — by wstawiono się za nim w Ministerstwie Spraw Zagranicznych o zwrócenie paszportu

270

z kameruńską wizą, co umożliwi mu rozpoczęcie podróży, z której będzie książka. Obarczył ich odpowiedzialnością, że jeśli nie uczynią tego, będą współwinni jego cierpieniom. Wielki humanizm, który winien cechować pisarzy okaże się fikcją. Prosił, aby zarządzenia w jego sprawie kierowano do Ambasady Polskiej w Lagos w Nigerii. Do tego portu statek jego zawinie za jakie dwa tygodnie w drodze powrotnej do kraju, a więc czasu jest dość. „Nie bójcie się papierowych duszyczek” zakończył list. Zakopertował, zaadresował z angielskim dopisem polecony, ekspres lotniczy. Włożył go do kieszeni i wypadł z kabiny.

Kierował się do głównego wyjścia prowadzącego do miasta. Zjadliwe słońce parzyło w skórę. Stężały bezruch w powietrzu, spiekotliwa cisza. Oblał się potem, koszula przywierała do pleców, podniecało to jeszcze do szybszego kroku. Zatrzymywały się

taksówki, samochody. Nie mógł ich opłacić więc nie zwracał na nie uwagi. Po niebie przetoczył się grzmot jak sygnał z działa. Przystanął, popatrzył na niebo. Skłębiony wał chmur toczył się do słońca, za nim ziemny welon burzy. Z kieszeni koszuli wyjął celuloidową oprawkę po paszporcie, chciał list włożyć do niej. Koperta była za duża, złożył ją na pół i tak wsunął. Otwartą stroną w dół włożył oprawkę do kieszeni. Zapiął nad nią klapkę w dobry okap, by woda nie wlatywała do kieszeni. Te szczegóły wydały mu się teraz najważniejsze. Minał bramę, asfaltowa szosa pięła się pustacją na wygarbienie.

271

Ruszył biegiem W nadziei napotkania jakichś domów, gęstych drzew. Ziemię okrył cień. Ogromne krople głośno i z rzadka biły w przydrożny pył aż kurzyło się. Przyspieszył biegu. Coraz głośniej, jednostajnie nadchodził łoskot. Zrozumiał, że to nie od grzmotu. Łoskot natężył się w ryk. Woda biła o ziemię strugami, kaskadami. Ugiął się pod tym wodospadem. Nie mógł biec. Przystanął ze zdziwienia, zresztą teraz wszystko wychodziło na jedno. Świat widział przez wodę i nie dalej jak dwadzieścia metrów. Nie było sensu jednak stać, ruszył mocując się z napierającą ścianą wody. Popatrzył na kieszeń czy nie wzbiera wodą. Zatrzymywały się taksówki, samochody. Kierowcy po uchyleniu drzwi jeszcze szybciej zamykali je i przez szybę dawali znaki, by wsiadł. Szedł dalej. Od marynarzy dowiedział się, że

afrykańscy szoferzy biorą chętnie, mówią że bezinteresownie a potem twardo egzekwują zapłatę przy policjancie. Znów zatrzymała się taksówka. Siedzący przy szoferze Murzyn odchylił tylne drzwi i wrzasnął:

– Wchodź!

– Nie mam pieniędzy — odkrzyknął wesoło i zdecydowanie.

Murzyn wyskoczył wprost na ulewę. Otworzył tylne drzwi, mocując się z wiatrem trzymał je, drugą ręką wcisnął go do środka i wskoczył za nim. Szofer odwrócił głowę, popatrzył na nich i wybuchnął śmiechem. Śmiał się i siedzący przy nim gwałtownik w eleganckim ubraniu, pod krawatem,

272

w śnieżnej koszuli, wyglądał jakby go wyjęto z wody.

– Przykro mi, to przeze mnie, moja wina — przyznawał się.

– Kto to widział chodzić w taki deszcz. Uparty jesteś jak muł — natrząsał się z niego gwałtownie nie przerywając śmiechu. — Gdzie chcesz jechać?

– Na pocztę.

Szofer przytaknął głową i przedzierał się przez; wodę jak łodzią podwodną. Pokazały się domy. Skręcił w prawo i stanął pod zadaszeniem

murowanego domu.

– Poczta — zwrócił się do .niego.

– Dziękuję wam i przykro mi za twoje ubranie.

– Uważaj na siebie, w taki deszcz nie chodzi się — strofował go gwałtownik.

Rozstali się w przyjaznym śmiechu. Auto pożeglowało dalej. Poczta była zamknięta w porę obiadową. Według napisu nad wejściem otwierano ją o godzinie piętnastej.

Stał pod zadaszeniem i spoglądał na zanikający deszcz aż przestało padać. Wyszedł z cienia na gorące słońce. Buchał parą. Przyodziewek schnął na nim szybko, bez zdejmowania z siebie. Odchodzili ci, którzy schronili się przed deszczem, przychodzili nowi, mimo że sobie obcy skupiali się razem, łatwo nawiązywali rozmowy. Gromadki rosły. Miał chęć podejść do którejś, słuchać ich rozmowy i śmiać się razem z nimi. Zobaczył młodziutką dziewczynę, podobnie jak i on zabawiała się przyglądaniem się ludziom

273

Była w bardzo krótkiej, jasnej sukience bez rękawów i w sandałkach na długich nogach. Smukła, gibka. Spostrzegł, że oglądają się wzajemnie. Uśmiechnął się — radosne odbicie na jej twarzy. Obszedł okrężną drogą i zatrzymał się przyzwoicie blisko. Patrzyli na siebie w uśmiechach. Mógłby odejść ale to nie byłoby ładnie. Patrzył na jej ostro nabrzmiewającą pierś,

wydatne brodawki, smukła szyja, kształtna głowa z krótko strzyżoną, poskręcaną w pierścienie czuprynką. W oczach ciekawość dziecka a uśmiech kobiety. Podszedł bliżej.

– Co ci ludzie tu robią? — powiedział ot tak.

– Czekają na otwarcie poczty.

– Ty też?

– Ja sobie tak przyszałam. Mieszkam blisko, ten sklepik z lewej strony stacji benzynowej jest nasz. Wpatrywali się w siebie przyjaźnie.

– Wy Ibo, nie narzynacie sobie znaków plemiennych?

– Och, my nie lubimy tego — jakby powiedziała:

Nie jesteście dzicy.

– Śliczne z ciebie dziecko.

Uśmiechnęła się jak kobieta i zaprotestowała jak dziecko:

– Chodzę już do pierwszej, licealnej.

Poczta została otwarta. Weszli do środka i stanęli w kolejce przed okienkiem. Krajowcy mówili coś do niego.

– Czego oni chcą? — zapytał jej.

– Chcą wpuścić ciebie poza kolejką.

Uśmiechnął się, podziękował im .głośno, ale nie skorzystał, chociaż to było raczej gościnnością niż wyróżnieniem.

– Lubisz białych, co? — chciał powiedzieć: mężczyzn.

– Jeśli mam powiedzieć prawdę to nie lubię ich.

– Dlaczego?

– Są tacy nadęci pychą, ale ty nie. Roześmiali się, zatańczyły im oczy. Nadał list i wyszli na dwór.

– Pójdę już na statek — wymówił.

– Odprowadzę cię trochę — powiedziała swobodnie.

Dużo pytała się o jego kraj, jakby przez kraj poznawała i jego. Przystanęli na wysoczyźnie szosy.

– U nas szykuje się wojna z okrutnymi Hausa — powiedziała smutno.

– Och, kiedy to ludzie nie mówią o wojnie — zbył ją. Uścisnęli sobie dłonie.

– Kiedyś przywędruję to przyjdę do ciebie.

– Znajdziesz mnie w sklepie.

– Rodzice nie będą na mnie koso patrzeć?

– Och nie, ja też mogę mieć swoje przyjaźnie.

– Będziemy przyjaciółmi.

– Tak — dopowiedziała.

Jeszcze raz uścisnęli sobie dłonie i rozeszli się. Obejrzał się po chwili, ona uczyniła to samo. Pomachali sobie rękami.

Na statku poczuł się lepiej. Wspominał śliczną Ibo,
275

nie ukrywała swoich myśli jak dziecko. I to łaknienie przyjaźni. Zapomniał spytać się jej o imię — niech zostanie Ibo. Załoga była mu życzliwa. Wszystko może odmienić się. W drodze powrotnej do kraju statek zawinie do Lagos, wtedy zostanie zdjęty z niego areszt, ambasada zwróci mu paszport zagraniczny i będzie mógł rozpocząć swoją podróż. Pełen nadziei wierzył, że tak się stanie. Zarząd Główny Związku Literatów, może wszystko odmienić.

Następnego dnia w mesie oficerskiej steward podawał obiad z zapowiedzią:

– Tuńczyk — co brzmiało jak niespodzianka. Każdy miał przed sobą na talerzu wielki płat smażony na chrupko z ziemniakami, jarzynką. Próbowali powoli, smakowali.

– Doskonały ten dorsz — odezwał się głos.

– Pyszny — przywtórzył drugi z naciskiem.

– Czerwonawy i smakuje jak łosoś — jeszcze inny.

- Nareszcie świeża ryba w .obcym porcie.
- Skąd wytrzasnęliście ją? — pytali stewarda.
- Rano wszedł tu nasz trawler „Mątwa”. Rybacy przywieźli nam pod sam trap na wózku elektrycznym, trzy sztuki, jak konie, zamrożone na kość, najmniej po pół cetnara każdy.

Rozgorzała rozmowa o rybach. Każdy chciałby łowić takie, że nasi rybacy nie łowią tuńczyków, musiały same im wpaść we włok pelagiczny, nasi przeważnie tak łowią, bo nie znają dna, może już pod wierzchem przy wyciąganiu sieci...

276

- Jeszcze pół porcji — wołali na stewarda.
- Często moglibyśmy mieć świeżą rybę, gdybyśmy zadawali się z rybakami, pełno ich tu na tutejszych pobrzeżach — jakiś rozsądny głos.
- Warto zadawać się z rybakami — wybuchnęli wrzawą.

Po obiedzie wybrał się aby zobaczyć „Mątwę”. Leżała przy drugim końcu nabrzeża, niedaleko Domu Marynarza. Przystanął na wprost śródokręcia, z dala, żeby łatwiej całą objąć wzrokiem. Wielki trawler dobrze siedział w wodzie, miał wysoki dziób ostro wysięgający nad wodą i wywinięty na fale, ściętą rufą. Dość wysoki mostek jak na rybaka, z przodu opływowo obły, pod nim spora kamieniczka

pomieszczeń mieszkalnych. Zamieszkujący je powychodzili na pokład. Reling burtowy oblepiony, nanizany ludźmi jak koralikami. Swobodnie wsparci, wyprostowani, bez koszul, niektórzy w krótkich khakach, korzystali z obiadowej odsapki. Jeden z nich przechadzał się po nabrzeżu, wzdłuż statku, jak na uwięzi w ciągłych nawrotach. Wysoki, smukły o opalonym torsie. Kiedy przechodził blisko niego zawołał:

– Dzień dobry.

– Dzień dobry — odpowiedział jak najbardziej swojsko.

– Pan z tego statku?

– Tak. Wyszedłem trochę rozprostować się. A pan?

– Z „Krakowa”.

277

Wzajemny uśmiech powitania.

– Duży trawler — wciskał się w rozmowę.

– Och, będziemy mieć po dwa i pół tysiąca ton i jeszcze większe.

– Ale, załogi... — rzucił spojrzeniem na „Mątwę”.

– Około osiemdziesięciu chłopów.

– Gdzie łowiliście?

- Przy brzegu Angoli, prawie w jednym miejscu. Pełne zaciągi. Cały ładunek tu sprzedany. Zaraz będziemy wyładowywać, czekamy na ciężarówki — powiedział jednym tchem.
- Ile to przyniesie zysku?
- Sto tysięcy dolarów na czysto — odpowiedział z przekąsem.
- Taka mała fabryczka — wyleciało mu zdziwienie. — A pan z pokładu?
- Nie, ja z „Odry”.
- Jak to z „Odry”?
- Jestem dyrektorem personalnym — odpowiedział jak z przymusu.
- Czy w waszej chłodni w Świnoujściu ciągle magazynujecie połcie świń, wołów?
- Nie mają gdzie, ciągle wieszają. U nas nie ma zrozumienia dla gospodarki rybnej, każda złotówka włożona w nią, odda wszystko szybciej i więcej niż w każdym innym przemyśle.
- To ci z Warszawy... — wymówił.
- Tak, ci z Warszawy — przywodził dyrektor. Uśmiechnęli się z politowaniem, aby nie zwymyślać

rybołówstwa.

– Japończycy — podjął dyrektor — tych wszędzie pełno, wszędzie łowią. Ze sprzedażą ryby nie ma żadnych kłopotów, idzie jak woda.

– Mądrzy.

– Mądrzy.

Nadjechały ciężarówki. Ruszyły taśmociągi z kartonami zamrożonej ryby. Odprowadził dyrektora pod samą burtę. Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie.

Wrócił na „Kraków”. Na tablicy przy trapie rygorystyczne napisy — statek był już na wyjściu. Marynarz na wachcie powiedział mu, że mają pasażerów Afrykańczyków.

Zatrzymał się na pokładzie. Na nabrzeżu stała gromadka tubylców, tuż za nimi kilka wielkich limuzyn. Mężczyźni w ciemnych spodniach i śnieżnych koszulach, niektórzy w binoklach, pełen dostojęstwa starzec o białej czuprynie. Stare kobiety w barwnych robach ludowych, młode w skąpych, europejskich sukienkach. Dzieci bardzo schludne, starannie ubrane. Z głowami podniesionymi spoglądali na statek. Byli smutni, w przygnębiającym skupieniu, pełni oczekiwania. Czasami ktoś z nich powiedział słowo, dwa, drugi odpowiadał tak samo, inni przyjmowali słowa spojrzeniem, ruchem głowy.

Na statku rozległy się dzwonki. Zaraz wyszli marynarze z rękawicami do stalówek w dłoniach,

kierowali się na dziób i rufę, stanowiska manewrowe. Stamtąd rzucali dalekie spojrzenia na miasto, potem

279

jakby zaglądali w siebie. Przypominali sobie jakieś przeżycie, na ogół błahe, jakiego tu doznali. Każde odejście z portu jest trochę uroczyste.

W pośpiechu nadeszli pasażerowie — kobieta i dwóch mężczyzn, zatrzymali się tuż przy zejściu, nieporadni, nie wiedząc co począć. Z głębi statku doszło dzwonienie z maszyny. Ruszyła śruba. Marynarze wpatrywali się w nich przynaglająco, wtedy jeden z mężczyzn objął kobietę, całowali się wzajemnie w policzki. Potem objął ją drugi i ucałował ją w usta. Wypuścił ją z rąk i zaraz obaj mężczyźni zbiegli na nabrzeże. Marynarze podciągnęli trap. Statek odszedł od lądu i zaczął sunąć. Gromadka Afrykańczyków zwarła się. Podnieśli ręce, chusteczki, niektórzy ocierali oczy. Kobieta uniosła chusteczkę i trzymała ją nieruchomo. Oczy miała suche. Stała nieruchoma, aż przestrzeń i statki zakryły żegnających, wtedy szybko odeszła, pewnie do swojej kabiny.

Potem widział ją na pokładzie szalupowym. Statek sunął poprzez ogromne mokradła ujścia Nigru, skołtunioną, niską dżunglę, z wysepkami w wybuchach zieleni, ogromnych drzew, palm. Skupiona w sobie kobieta przechadzała się po pokładzie. Wysoka, smukła, w lekkich, przewiewnych pantofelkach na wysokim obcasie, w jasnej, cienkiej

sukience z prześwitem dżetowego koloru ciała. Na gibkiej szyi, kształtna głowa, w zaplecionych warkoczykach, stojących jak radarowe anteny. Twarz poważna, smutna. Wydawała mu się jakaś inna, mimo swojego europejskiego bycia tchnęła w niej cała Afryka. Nie

280

mógł uchwycić jej spojrzenia, w którym można, by delikatnie wymienić uśmiechy. Zaszedł jej drogę, Zatrzymała się i uniosła zaciekawione oczy.

Przeprosił i żeby wpaść w jej nastrój zaczął poważnie:

– I ja jestem pod wrażeniem twojego pożegna nia. My Europejczycy już nie mamy waszej gorącej serdeczności rodzinnej, straciliśmy ją.

– Rozłąka z drogimi ludźmi — to strata ich — odpowiedziała.

– Wrócisz do nich i spotka cię wielka radość z odzyskania ich.

– Och, nie wiem kiedy to będzie.

– Gdzie jedziesz?

– Do Anglii, kraju nie bardzo przyjaznego nam.

– Współzycie Anglii z Nigerią jest dobre.

– Tak, ale my jesteśmy Ibo.

– Urodziwy naród. Wszyscy na statku są tobie

przyjaźni. Będzie ci dobrze.

– Dziękuję ci.

– Podoba mi się twoje uczesanie, pochłania dużo czasu...

– Robię to bardzo szybko. To takie afrykańskie.

– Wydaje mi się bardzo nowoczesne.

Stłumiła wesołość w oczach. Nie poddawała się nastrojowi, który narzucał. Oderwała się od niego. Przeszła się jeszcze kilka razy i zeszła z pokładu.

Miał małe wyrzuty. Mimo, że rozmowa przebiegła w największej delikatności, właśnie rozmową spłoszył ją. Przechadzał się w orzeźwiającym powietrzu. Po niebie przepływały małe, kolorowe chmurki, podbite

281

słońcem. Spokój, pustka. Zachód słońca w feerii barw. Aksamitna czerń nocy. Widział jak kapitan poszedł na mostek. Zaglądnął i zszedł do niego. Zarys jego wysokiej sylwetki i twarzy. Usłyszał przyjazny głos żeglarza:

– Mamy dobrą pogodę.

– Jak w raju.

– A tak boją się Afryki niektórzy marynarze. Był ciągle pod wrażeniem pasażerki. Nie mogąc mówić z nią, chciał chociaż o niej.

- Udało mi się zamienić parę słów z naszą pasażerką. Nie była chętna. Wydaje mi się wspaniałą kobietą...
- Jej demoniczny kolor porywa — zaśmiał się kapitan.
- Właśnie. I wydaje się być mądrą, to potęguje jeszcze jej urok.
- Byli u mnie. To bardzo bogaci i wykształceni ludzie. Tu grozi wybuch wojny. Chcą zaoszczędzić jej makabry, jaka czeka wszystkich a może wysyłają ją z jaką misją? Ci Ibo zaskoczyli mnie pytaniem: „Dlaczego Polska nie zakłada placówki konsularnej w Port Harcourt?”, że wtedy wymiana handlowa mogłaby odbywać się bezpośrednio ze Wschodnią Prowincją, przez co wzrastałaby. Na pewno mieli rację, ale im chodzi o większą niezależność od Lagos. Idą ostro do separatyzmu.
- Gdyby bardziej pan zainteresował się tym i powiadomił nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych...

282

- To sprawa naszej ambasady w Lagos, Obraziliby się, że wchodzę im w paradę.
- Może me mają rozeznanie. A jednak pan ma rację. Minęły te czasy kiedy kapitanowie statków handlowych nawiązywali przymierza, podpisywali traktaty. Może są jeszcze takie możliwości na Pacyfiku w wyspiarskich mini-państewkach. To czasy Conradowskie, nie tak bardzo odległe. On też tu,

niedaleko stąd, przebył swoje „Jądro ciemności”.

– Conrad był tylko świadkiem, gdy na pana zważyło się wszystko i pan musiał to przeżyć osobiście.

– Inna epoka, inni ludzie...

– Takie samo okrucieństwo ludzi, może tylko w bardziej perfidnych formach. Bo cóż to jest? Wtedy, kiedy nie miał pan gdzie spać, groziła panu śmierć, według ich rozeznania. Nie zatrzymali. Powiedzieli z jakimś ukontentowaniem: „Murzyni urzną panu łeb”. Z tego, co pana spotkało, wynika, że są to niepokojąco ograniczeni ludzie i złośliwi jak małpy. Niech pan pisze swoją marynistykę — zakończył kapitan.

– Popędza mnie pan jak sekretarz ambasady.

– U nas marynistykę wyobrażają sobie jako naiwne zachwyty nad morzem. Pan musi pisać nagą prawdę ludzką, jątrzyć, żeby problemy nie dawały spokoju. Inaczej, mamy przelewanie wody.

– Wysokie rygory — zauważył.

– Chodźmy na kieliszeczek. Napijemy się za literaturę — powiedział wesoło i w nocną czerń skierował się pierwszy.

283

Do saloniku, kapitan wpuścił go pierwszego, wszedł za nim, uśmiechnął się gościnnie.

– Może napijemy się wina, węgierskiej „byczej krwi”

— proponował.

— Proszę bardzo — odpowiedział.

Gospodarz zakrzętał się, zostawiając go samego ze sobą. Podszedł do biblioteki i odsuwał szyby. Wśród książek naukowych, filozoficznych, były całe wydania Conrada i Melville'a w języku angielskim, oprawne w płótno, w symbolicznym kolorze niebieskim. Zbiorek mały, niezły. Wiedząc, że kapitan stoi za nim, przesunął palcami dłoni po niebieskich grzbietach.

— To jest dobre — wymówił.

— Lektura obowiązkowa. Marynarze, koledzy po fachu — mówił o nich kapitan, jak o starych, dobrych domownikach. — Zostawmy ich — dodał swobodnie.

Usiedli przy stole przy napełnionych kieliszkach.

— Lubi pan książki? — zapytał.

— Bo ja wiem, to taka cicha szkoła przyjaźni, ludzie.

— Ci, którzy piszą.

— Tak. No to za literaturę.

Wychylili. I jeszcze po jednym. Podziękował kapitanowi. Idąc do swojej kabiny myślał: gdyby ci z ambasady chociaż w pewnym stopniu cenili literaturę, jak ten marynarz, to swoją podróż urzeczywistniłby inaczej.

Przy śniadaniu już nie było pasażerki. Zeszła, by

udać się do Duali a stamtąd odrzutowcem przez Paryż do Londynu. W powrotnej drodze statek miał zawinąć do Lagos. Mówiono, że to właśnie było powodem jej zejścia ze statku — obawa, by wybuch wojny tam jej nie zastał. Jadł szybko. Często oglądane mapy tej części świata obiecywały czary. O mapach zapomniał, zostało wrażenie, pędziło go na otwartą przestrzeń.

Na pokładzie, miast patrzeć na wprost jak zawsze, zadarł głowę i wzniósł oczy na górę delikatnie odcinającą się w czystym, aż niebieskawym powietrzu. Jaśniejąca golizna szczytu w odbiciu słońca na lawie. Pod nim ciemniejsze plamy kosmyków wdzierającej się trawy, niżej skłębiona ciemna zieleń lasów, przejaśniająca się w dół do wesołych palm. Z wysokości trzech czwartych szczytu połączona z nim złudnie wyglądająca grań łagodnie schodziła w dół, aby wznieść się jeszcze i opaść prawie pionowo nie opodal morza. Olśnieni ogromem, Fenicjanie nazwali ją Rydwanem Boga. Ich życie było podróżą, sadzali więc w wyobraźni swego Boga na Wysokim Kamerunie, z nogami spuszczoneymi na Niższy, by w należnym mu majestacie przemierzał Afrykę. Na południowy zachód, strasznie blisko, jak głowa cukru, pięła się wprost z morza Fernano Po — wyspa-góra. Bliziotko statku na kotwicy trzy wysepki-okruszki na wygładzonej wodzie zatoki, drzemały sobie w rozpadlinie powietrznej — bo i ono miało tu widoczny wymiar — w wiecznie gorącej wiośnie. Na

jednej z wysepek mieszkał kiedyś krótko Rogoziński z towarzyszami,

285

pewno na tej z kilkoma rybackimi chatkami. Byliśmy wtedy o krok od kolonializmu. Gdyby społeczeństwo nasze było bardziej aktywne i zaborcze, i nie tak ubożuchne, popełnilibyśmy grzech kolonializmu. A może Polacy stworzyliby braterskie formy współżycia z krajowcami? Nigdy to nie było sprawdzone.

O jakie trzysta metrów wzdłuż brzegu stałego lądu, u podnóża góry, miejscina Wiktorja; z kościółkiem, białe domy, wille z czerwonymi dachami. Co pięć minut główną i jedyną ulicą przechodził w półśnie krajowiec, rzadziej przesuwał się samochód — to biali.

Po południu motorówka przywlokła pod statek tratwę z kilkoma krajowcami i białym pilotem. Zaraz wyładowano kilka dużych pak i wciągnięto kotwicę. Statek ruszył wzdłuż brzegu, wszedł w wąską ścieżkę wodną Tiko creek wijącą się w bagnistej dżungli. Gałęzie skrobały burty, zdawało się, zerwą szalupę. Statek dziwnie zwalniał, stawał, przekopywał się przez muł, pełznął zostawiając za sobą gęstą bryję. Na twarzach marynarzy pojawił się niepokój pełen obawy, jaką zawsze budzi mielizna. Potem wdzierał się uśmiech niepojętego zdziwienia tą „lądowną żegluga”. Pilot mały, zwalisty, gruby, o ciemnooliwkowej skórze, kruczonych włosach, w

murzyńsko kolorowej koszuli, bardziej wyglądał na czarownika posługującego się magią w tym labiryncie, bez boi, nabieżników, nawet wiech.

Z dziobu doszedł łomot przewracanych drzew, statek

286

wjechał w las aż do drugiej ładowni, nim się zatrzymał. Marynarzy na mostku aż zatkało, ale zaraz uśmiechnęli się — przecież mieli czarownika. Po pół godziny pracy śruby na pełnych obrotach i jeżdżenia rufą na boki, cofnęli się z potężnym konarem na dziobie. Zrzucili go z niemałym trudem. Czarodziej prowadził teraz gładko. Pokazało się rozleglejsze zakole i tu rzucili kotwicę.

Miało się już ku wieczorowi. Na pokładzie zebrała się gromadka marynarzy, mieli wielką ochotę wykąpać się. Spoglądali na czarną bagienną wodę. Afrykańskie rzeki zawsze kojarzyły im się z krokodylami, co było przeważnie błędne, jeśli jednak miały w nich być to wydawało się, że tu najbardziej. Niósł się jadowity, słodki zapach dżungli, gnijących złogów, agresywnego wzrostu zieleni. Życie i śmierć przenikały się wzajemnie w morderczym splocie, Pewno była też tutaj wylęgarnia morderczych chorób, zabijających szybko. Utrudzone załogi żaglowców, zawijające niegdyś do takich zatok, miast krzepiącego odpoczynku zapadały na obezwładniające choroby. Jeśli daremnie wyczekiwali wiatru i nie mieli sił, ażeby odciągnąć się wiosłami z tego morowego

powietrza na morze, była to ostatnia ich żegluga.

Czasami w gąszczu rozlegało się skrzypienie, chrapanie, pewno głosy ptaków, aż uciszyła Je noc; czarna, gorąca, lepka, zakrywająca wszystko, jakby nic nie istniało.

Następnego dnia, kiedy wyszedł na pokład rzuciła

287

mu się w oczy wielka tablica na wysokich słupach z napisem Tiko, jakby ona była najważniejsza na tym pustkowiu. Statek stał przy drewnianym nabrzeżu zbudowanym na palach wbitych w wodzie, by obyć się bez pogłębiania. Przed małym „norwe-giem” dwa nieruchome krany, za nimi duża wiata, dalej kilka małych, uciesznych wagonów, z boku cieszył oczy ładny domek Zarządu Portu. Nie było widać tylko ludzi, jakby na scenie portowej była przerwa.

Zaraz po śniadaniu wybrał się z marynarzami na wycieczkę. Najwięcej chętnych było z maszyny; chcieli odpocząć od żelastwa, złapać szerszy oddech. Motorowa szalupa sunęła wśród cichych rozlewisk, pływających wysp, wykrotów, wąskimi przejściami. Za zakrętem pokazała się dłubanka z dwoma chłopcami. Motorzysta przydusił gaz, aby wyminąć ich z bliska. Chłopcy śmigali pagajami do brzegu, im bliżej białych tym w większym popłochu. Widząc, że przegrają wyścig rzucili pagaje, skoczyli do płytkiej wody, dobiegli brzegu i zniknęli w gąszczu. Strach, jaki nieśli samym pojawieniem się, był dla niego

niepojęty. Przerażeni chłopcy porzucili dłubankę, prawdziwy skarb, by tylko uciec. To wydarzenie było jakby z wyprawy niewolniczej, jakie odbywały się tu jeszcze w ubiegłym stuleciu. Zobaczyli kilka dłubanek do połowy wyciągniętych na brzeg, dorodny gaj z kilkunastu palm kokosowych. Sternik skierował szalupę do brzegu, dziób uniósł się i utknął. Mieszając muł dotarli do brzegu. Kilka chatek, gromadka

288

starszych ludzi. Powitalne uśmiechy, skinienia głowami. Dzieci chowały się bojaźliwie za matki, nawet cukierki nie ośmielały ich, musiały podawać im matki. Nie mogąc sobie nic powiedzieć patrzyli na siebie. Uśmiechy stężały. Bezwład, jakieś życie w półśnie, to co my nazywamy apatią. Kilka maleńkich kur grzebiących w śmieciach. Pełno odpadków z ryb przy wodzie, mdlący zapach. Trochę bananowców. Ludzie drobni, mizerni. Marynarze z ulgą wracali na statek. Siedzieli cicho w szalupie, wstrząśnięci błotnym życiem swoich czarnych współbraci.

Po obiedzie wybrał się do Tiko. Wszedł na ślad wyboistej drogi, wzdłuż niej ciągnęły się szyny wąskotorówki, zdumiewały i dodawały nadziei, że takie miasto naprawdę istnieje. Szedł prawie nago, spodenki khaki i sandały to przecież nie ubranie. Co za swoboda po wyzbyciu się odzieżowych futerałów. Czuł się jak krajowiec. Wzdłuż toru tubylcy kopali motykami maleńkie działki — pewno miejscowi kolejarze. Potężne, samotne drzewa liściaste. Minął

kapitana powracającego z miasta. Wymienili kilka słów i rozeszli się. Bądź co bądź był pod aresztem statkowym, kapitan jednak nie zawrócił go. Minął maleńką osadę rybacką i tłum kupujących ryby. Pokazały się chatki, domki. Skierował się w stronę najwysokościjszych. Wszedł w prawdziwą ulicę, kilka jednopiętrowych „gmachów” i tłum dokądś żywo spieszący, szczelnie ubrany, nawet z miejskimi elegantami. Przedziwnie przyglądano mu się, niektórzy nawet spoglądali z góry i uśmiechali się radośnie, że ubranie

289

może przemienić ludzi. Potem natknął się na targowisko; ludzkie mrowie. Kobiety przyglądały mu się jak gdyby rodziło się u nich poczucie wstydu. Skierował się ku wieży kościółka. Przebył wielkie połacie pustkowiecia w pośrodku rozrzuconej wsi. Przy drewnianym kościółku kilka doskonałych baraków. Przy jednym, pod cienistym zadaszeniem, zobaczył w leżaku białego. Pozdrowił go po angielsku. Ten przyniósł mu wody i wskazał drugi leżak. Nie usiadł jednak. Rozpoczęła się senna rozmowa. Jego rozmówca mimo świeckiego ubrania, był misjonarzem. Opowiedział o zbożnej pracy, osiągnięciach i sam zaczął zadawać pytania. Po chwili wpadł w zdumienie.

– Musisz dobrze być nadziany pieniędzmi, jeśli pozwoliłeś sobie na taką podróż — po znaczącej pauzie dodał słodko — ofiarowałbyś co na misję.

– Tej podróży nie byłbym w stanie nigdy opłacić.
Dostałem ją jako premię za opublikowanie książki.

– Jesteś pisarzem? — upewniał się, żeby zrozumieć lepiej.

– Tak jakby — odpowiedział cicho.

– Sprzedałeś książkę, przecież to kupa pieniędzy! — zaśmiał się znacząco, jakby teraz dopiero miał przed sobą bogacza.

– To wcale nie tak dużo pieniędzy — wymówił nieśmiało.

– Ile? — w tonie nieodparta ciekawość.

– Dwanaście tysięcy złotych — powiedział z uśmiechem.

290

– Ile to w dolarach? — cisnął go braciszek.

– Trudno przeliczyć. U nas wartość dolara jest bardzo rozpięta.

– Mniej, więcej?

– Mniej, więcej — sto dolarów.

Braciszek uśmiechnął się, jakby go przejrzał. Stwardniałymi oczyma odrzucił od siebie ni to kłamcę, ni to błazna. Oparł się wygodnie i przymknął powieki jakby chciał się oddzielić od tego mizernego człowieka, w którym obie te cechy skupiły się razem.

Z kolei on czuł się dotknięty jakby mu nawymyślano. Trochę zawstydzony, miał i wielką ochotę rozeźmiać się. Podziękował za wodę i odszedł.

Na Obszernej przestrzeni należącej do misji, chłopcy grali w piłkę nożną z całkowitym oddaniem, jakby każdy z nich chciał zostać Pelem. Dziewczyny w siatkówkę, inne przechadzały się pysznie w modrych mundurkach szkolnych. Sport stawał się tu pasją kosztem tańca, bez którego tutejsi ludzie żyć nie mogą. Pewno młodzi lgnęli do niego bardziej, niż do religii i szkółki misyjnej.

W drodze powrotnej znów znalazł się na głównej ulicy z tłumem. Podszedł do niego krajowiec w ciemnym, wizytowym ubraniu.

— Jestem tu szefem policji? — przedstawił się z powagą. — Dlaczego chodzisz bez koszuli?

— Jest przyjemniej bez lepiącej się od potu koszuli. Wiatr szybciej osusza.

— To jest miasto — powiedział szef z naciskiem.

291

— Trzeba być ubranym kulturalnie — po chwili — będziesz pamiętać?

— Jak najbardziej — skłonił mu się i odszedł. By zejść z oczu władzy kierował się prosto na statek. Jak dzikus, chciał najszybciej wyjść z kulturalnego miasta. Wszedł na doskonałą, szutrowaną szosę ze

strzałką wskazującą kierunek do Duali. Pomknął tam samochód. Miał wielką ochotę iść w tamtym kierunku, podróż na pewno byłaby ciekawsza niż statkiem. Skierował się jednak w przeciwną stronę. Doszedł do kolejowego toru i szedł tuż przy nim. W połowie drogi dopędziła go szumiąca dieslem ciuchcia. Wskoczył do ostatniego wagoniku i jechał jak w jakimś Luna-Parku. Zeszedł w porcie tuż przy statku.

Następnego dnia wyszli z Tiko. Przez dżunglę przedarli się teraz sprawniej. Na otwartej zatoce czekająca motorówka wzięła pilota, czarodzieja. Płynęli dość blisko brzegu z wysokopiennym lasem, o skołtunionym podszyciu z kraju. Statek skierował się w lewo we wdzierającą się w ląd zatokę. Widać było doskonały pomost, przy nim motorówkę i małą barcę. Za smugą białego piasku ogromne, równe pole kakaowców, w prostych szeregach, w równych odstępach. Pośrodku bungalow, trochę z dala od niego kilka długich szop krytych dachówką. Wszystko to z trzech stron otoczone dorodnym lasem bez podszycia, widocznie ciętym. Las dawał kapitał, który można było inwestować w plantację. Mieszkał tu sobie jakiś biały pan jak udzielny książę: kiedy spoglądał,

292

wszystko wokół było jego. Drapieżna zdobywczość posiadania. Wszystko zaczęło się od ujarznienia czarnych, potem już było łatwo. Pokazał się drugi brzeg zatoki, na nim nędzne chatki zamieszkałe przez

„dzikich”, jak to my nazywamy.

— „Radom” — niosło się radosne wołanie z mostka.

Poderwał się z leżaka na pokładzie szalupowym. Marynarz ze skrzydła dalej wpatrywał się przez lornetę, chociaż gołym, okiem można było rozeznaczyć, że statek idący bliżej drugiego brzegu ma bliźniaczą sylwetkę ich statku. Chrapliwie ryknęła syrena. Doszło ich czyste granie nowiutkiego „Radomia”. Przed czterema dniami leżeli blisko siebie w Lagos i przez to pewnie nie witali się banderami. Jeszcze raz na pożegnanie rozległy się syreny i rozeszli się prawie milę od siebie. Przypomniawszy mu się kapitan z „Radomia” o nienaganej elegancji pasującej do statku wymalowanego jak na pocztówce, i władczości trochę filmowej.

Nie skorzystał już z wygody leżaka. W nawrotach przechadzał się wzdłuż burty. I wtedy znów przyszła skryta myśl tkwiąca w nim głęboko. Nie nachodziła go często; wstrzemięźliwie, z powagą i tym większą siłą. Zrodziła się natychmiast po urzędowym akcie odebrania paszportu, przez sekretarza naszej ambasady i gdy dowiedział się, że statek przed powrotem do kraju miał jeszcze zawinąć do Kamerunu. Wtedy to powstało: A gdyby spróbować? Cóż, że nie miał już paszportu; rząd każdego kraju, może

293

chyba wydać swój paszport... Miał przecież

legitymację Związku Literatów Polskich, była w niej i francuska wersja. Bilet statkowy z licznymi stemplami, wyglądający jak wyciągnięty z depozytu papier wartościowy. Razem wystarczająco wiarygodne dokumenty. A jeśli nie będą chcieli wydać swojego paszportu? Nie wiadomo. Trzeba spróbować. Miał przecież w odebranym paszporcie wizę wydaną przez ambasadę Kamerunu w Lagos. Nie popełni więc przestępstwa. Odpowiednia władza kameruńska telegraficznie może to sprawdzić. Moralnie nie będzie czuł się przestępcą i to umacniało go w zamiarze. Często myślał o kapitanie statku, zobowiązany jego serdeczną dobrocią. Pamiętał jego zdumioną twarz, kiedy sekretarz ambasady zlecił mu pilnowanie aresztanta. Wysłuchał tego niemo, potem zostawił mu swobodę wyjścia na ląd, nie przykładając ręki do tego urzędowego przestępstwa. Dlatego nosił się z myślą by to powiedzieć kapitanowi, apelując do jego fantazji i mądrej wielkoduszności dla odrobiny szaleństwa o głęboko ludzkich intencjach. Bardzo by sobie cenił jego cichą zgodę. A gdyby kapitan sprzeciwił się? Mógł potem mieć sporo urzędowego kłopotu za niedopilnowanie aresztanta. Wtedy, chcąc okazać się lojalnym nie mógłby tego zrobić. Może tym wyrządził kapitanowi krzywdę, fałszywie oceniając jego wartość? Nie zauważył nawet, kiedy zaszło słońce, zgęstniała noc i wyblysnęły gwiazdy. Dobrze już było widać światła Duali. Z rzeźbiście oświetlonej motorówki wzięli pilota, weszli do portu

i uwiązali. Oparł się o reling, spoglądał na puste nabrzeże. Było już późno, tylko w samym końcu portu pojękiwał dźwig. Z dołu głównego pokładu wygarnęła się gromadka marynarzy. Ktoś z nich zawołał:

„Bracie, tu lepiej jak w Paryżu, nie opędzisz się”.
Odpowiedział mu męski chichot i zniknęli w wielkim pośpiechu. Stał jeszcze chwilę w bezwietrznej, lepkiej czerni i poszedł do kabiny spać przykładnie. Szybko zagarnął go sen, jakby opuściły go wszystkie myśli.

Przebudził się z jasną głową, ubierał się powoli, dokładnie. Wolno zjadł śniadanie, mimo że zawsze czynił to raczej szybko. Był cichy, skupiony, uważny na wszystko wokół niego. Przy trapie, marynarz stojący na wschodzie nie zwrócił na niego żadnej uwagi. Skierował się na schody, pewnie skrót przejścia do miasta, leżącego dość wysoko! Na wzniesieniu, wśród bujnie pleniących się krzewów i chaszczki stał biały kościółek o ładnych proporcjach, tchnący opuszczeniem, smętkiem. Zaszedł za krzaki i przez chwilę poprzez listowie popatrzył na leżący w dole port i jego statek. „Teraz już nie będzie długo”, pomyślał sobie. Ruszył dalej. Asfaltowe, pustawe ulice przecinające się pod kątem prostym, z pustymi kwadratami ziemi, czekające na zabudowę, przemyślnie zaplanowane na sto i więcej lat. Coraz więcej domów, sklepy. Rzadki strumień przemykających samochodów, ulica wyglądała na ważną arterię. Skręcił w przecinającą ją, o zwartej, wysokiej zabudowie z podsieniami. Tłum z dziecinną

radością oglądał

295

wystawy sklepowe. Zapuścił się daleko aż do bud, chatek, jakiegoś innego miasta na wielkiej przestrzeni. Popatrzył przez chwilę na rumowisko, śmietnik ożywiony ludźmi i zawrócił. Znów podsienia i wystawy sklepowe. Na ogromnej szybie okazały napis: „Amerykański Ośrodek Informacyjny”. Wnętrze udywanione, stoliki, foteliki, nowoczesny luksus, gazety, książki na półkach. Błysk szkła i niklu. Otwierano tu dopiero po południu. Oderwał się od okna i zobaczył idącego wprost na niego trochę uroczyście, ze statsonem na tyle głowy, Jeana-Marię. Powściągliwy uśmiech, kiedy go spostrzegł. Na twarzy zagubienie, jak żywioł.

– Witaj, Janie — kto by się spodziewał — zawołał.

– Zdarza się — odpowiedział jak prawdziwy oglądacz dziwów.

– A jak droga?

– Ibowie powstają. Wszędzie pełno ich wojska. Szosy ostro kontrolowane.

– Będzie wojna.

– Tak wygląda.

– Udało ci się.

– Kto wie czy nie jestem ostatnim białym, który

przejechał przez Biafrę, jak to oni nazywają ten kraj.

Opowiedział o swoim zamierzeniu. Ten przyjął to bez zdziwienia. Rozmawiając zdążył ku stacji benzynowej i zatrzymał się przy niej.

296

Zobaczył jego wielki plecak oparty o ścianę frontową, zupełnie na widoku.

– Nie ukradnie ci kto twojego dobytku?

– Zawsze tak zostawiam, w całej Afryce. Oni doskonale pilnują. Rzucił oczami na dwóch tubylców w firmowych kombinezonach. Czasami jeszcze jakiś samochodziarz weźmie mnie na nocleg.

Umówili się na wczesne popołudnie przy stacji i rozeszli się.

Na statek wracał teraz drogą łagodnie opadającą skośnie do wzniesienia, z licznymi ciężarówkami jadącymi w obu kierunkach. Zamierzenie jego wydało mu się proste, musi zejść ze statku tak, aby nikt z załogi tego nie zobaczył. Przy trapie przecież stoi marynarz, ten zatrzymałby go, gdyby miał takie polecenie od kapitana, co wydało mu się wątpliwe. Nie wierzył, by cichcem zamknęli go w kabinie czy w jakimś zakamarku. Na to nie pozwalało miejscowe prawo. Mogliby postąpić wbrew prawu. Jeśli zejdzie na ląd ujawni to i prawo miejscowe go obroni. Jeżeli nie będzie mógł skrycie, to będzie działał jawnie. Szedł wzdłuż nabrzeża z leżącymi przy nim statkami

średniej wielkości, przeważały „francuzy”, wśród nich był „norweg”, „grek” i „anglik”, pokazał się także jego staruszek „Kraków”. Spostrzegł, że przy przedostatniej ładowni najbardziej wglębiona w wodę burta nie wystaje wyżej niż dwa i pół metra. Gdyby zręcznie skoczył na nabrzeże to powinno mu się udać. Na tabliczce przy trapie, widniał już napis kredą: „Statek wychodzi w morze godz. 17”.

297

A więc; zejdzie ze cztery godziny wcześniej. Nawet marynarze w takim czasie wychodzą jeszcze po jakieś zakupy a więc nie będzie to zbyt podejrzane. Na pokładzie minął wachtowego, ciężko wsparty na relingu jakby drzemał z nudów.

W kabinie spakował chlebaczek, poutykał w nim drobiazgi. Niedługo czekał. Rozhuczał się gong, zwoływał na obiad.

Do mesy oficerowie schodzili się z wesołym ożywieniem. Każdy posiłek jest urozmaiceniem życia statkowego. Na powitanie kapitan odpowiedział mu z uśmiechem. No, gdyby wiedział co on knuje... A może? Nie był pewny jego reakcji, więc lepiej, że nie wie. Zupa grzybowa miała zapach wigilijny, domu. Męska porcja schaboszczaka na chrupko, bukiet z jarzyn, kiszony ogóreczek. Ślina toczyła się pod językiem. Ostatni obiad na statku, kto wie kiedy będzie jadł podobny. Spojrzał na oficerów jedzących powoli, smakujących, i podjął, że była to najlepsza

pora .opuszczenia statku. Skupili się w swojej mesie marynarze. Po obiedzie, kiedy rozejdą się, będzie znacznie trudniej. Nie może zostawić kabiny otwartej. Jakiś wałęsający się handlarz mógłby ją ogołocić z koców, z drobiazgów. Kabinę musi zamknąć, klucza jednak nie będzie mógł oddać, ochmistrz wprowadzie ma zapasowy, nie będzie to jednak ładnie, jeśli weźmie go ze sobą. Tu przy wejściu stały dwa stoliki zarzucone prasą, natychmiast wpadł mu pomysł. Szybko dojadł obiad, banany deseru wziął w rękę i wyszedł.

298

W kabinie zostawił banany. Wziął swój dobytek. Zamknął drzwi na klucz. Pod nimi zostawił chlebak na pustym korytarzu. Wszedł do mesy. Usiadł na kanapce przy pierwszym stoliku. Przerzucając gazety upuścił klucz. Spojrzał na obiadujących w najlepsze i wyszedł. Podniósł chlebak. Nie miał co się pchać przez ludne śródkręcie. Udał się w stronę rufy. Przy ładowniach nie było nikogo z załogi. Zszedł w dół na główny pokład. Przeszedł na drugą burtę. Wychywał okiem zza ściany, przy trapie pusto. Ruszył swobodnie. Nie nadział się na nadchodzącego wachtowego. Zszedł z trapu. Radosne odczucie przyjaznego nabrzeża. Skierował się na skos do hangaru, przeszedł go. Zza ciężarówek popatrzył na swój statek. Przy trapie stał już marynarz. Napięcie spłynęło. Lekki jak ptak podążył do głównej arterii wiodącej do miasta. Mógł jeszcze spotkać kogoś z

załogi, ale to już by nie zmieniło jego sytuacji.

Jean-Maria siedział na stopniu, oparty o frontową ścianę stacji benzynowej. Nadejście jego przyjął naturalnie, bez dopytywania się o szczegóły ucieczki, jak gdyby to było tak łatwe, że niewarte słów.

Postawił swój chlebaczek przy wielkim plecaku Jana i przysiadł na stopniu. Cień wystającego zadaszania i przewiew łagodziły przetrwanie popołudniowej spiekoty. Zajechało kilka samochodów. Jakaś rozgadana francuska rodzina.

— Co oni tak krzyczą? — zapytał Jana.

— Maleńka kłótnia rodzinna — odpowiedział bez zdziwienia.

299

Jedna i druga ciężarówka prowadzone przez tubylców o twarzach słonecznie pogodnych, ruchach pewnych siebie i minach, jakby prowadzili rydwan Boga. Przepłynął odkryty, sportowy wóz ze znakami USA. Siedząca w nim starszawa kobieta nie wychodząc, powiedziała kilka słów przesadnie głośno, jakby nie bardzo pewna swojej francuszczyzny. Murzyn jął się roboty. Siedziała nieporuszona w śnieżnej bluzeczce i takim kapelusiku, ni to czapce, na rdzawych włosach. Obojętna na wszystko, skupiona, jakby na świecie nic nie istniało poza nią.

Spostrzegł, że samochód odmieniał nie tylko Murzynów. Wstąpił w niego duch przekory.

Powstrzymał śmiech i powstał:

– Czy łaskawa pani do Jaunde? — zapytał.

– Nie — odpowiedziała nieporuszona. Jan zaśmiał się swobodnie i zawołał:

– Poczynasz sobie śmiało, ale próżne twoje nadzieje.

– Czemu nie miałabym wziąć was — odpowiedziała z wyrzutem.

– Wierzymy, madam — zapewniał ją Jan. Zapłaciła tubylcowi. Uśmiechnęła się do nich i bezszmerowo odpłynęła w swoim woziku.

– Moja droga tam nie prowadzi, ja na Gabon — trochę sztywno głosił Jan swoje wyobrażenie.

– Ale nie zadzierała nosa — bronił jej.

Wozy jakoś nie zajeżdżały i nie miał sposobności pytać się o podwiezienie.

300

Słońce zniżało się wyraźniej za nim popołudniowy skwar. Jan podniósł się.

– Przejdziemy się — wymówił.

– Wolałbym schować się gdzieś...

– Jeszcze nie wiesz, że zostałeś, a po odprawie statek nie będzie czekał na ciebie.

Tak powinno być. Na krótko, wszystko dla niego

układało się korzystnie. Potem może nie być tak dobrze. Na ulicach niewiele ludzi. Minęli pusty kościół, boiska szkolne pełne tubylczej młodzieży oddającej się sportom. Przeszli okazały wiadukt, pod nim gubiła się w trawie wąska nitka kolei. Trochę pod górkę i obszerny, trawiasty kobierzec poprzetykany palmami i starymi drzewami, ławki. Białe dzieci z pilnującymi Murzynkami. Na ścianie poczty ogromna tablica z długą litanią bitew i marszów. Sama poczta fasadowa, przestrzenna — świątynia posłanniczej cywilizacji. Wstąpili do spożywczego samu, parterowy, obszerny. Wymyślnie wyłożone piramidy wiktuałów. Obfitość bogactwa. Możnaść wyboru do zawrotu głowy. Tęcza opakowań, kompozycje kolorów — istna wystawa plastyczna. Był to sklep dla górnego tysiąca i ich rodzin. Jeśli Francuzi są największymi żarłokami smakowitego i wymyślnego jadła, to największymi — koloniści. Tu w kraju dzikim, wrogim, jedzenie to nie tylko zabawa i rozkosz podniebienia. Ono decyduje o znaczeniu, daje samopoczucie, miażdżącą pewność siebie. Panie domu z Murzynkami objuczonymi koszami, snuły się w radosnym podnieceniu. Trafiały się i czarne panie domu

301

z czarną pomocą domową; gdyby ją sobie odmieniły na białą, wtedy ceremoniał zakupów byłby rasowo wyrównany. Może brakło im konceptu, może odwagi? Należały do wstępującej rodzimej burżuazji i środków

na to miały aż nadto.

Gdy tylko oni pojawili się, biała obsługa szykownych pań wpadła w rozbawienie. Do błysku i elegancji wiktuałów i ludzi nie pasowali swoją zgrzebnością, byli krańcowo inni. Smukły Jan nosił swój stetson na tyle głowy, szeroka kryza okalała mu twarz, w której była dal i zagubienie. Był chłopcem romantycznym. Skupiał na sobie spojrzenia, wydawało się, że nie dostrzegał ich. Kiedy mu to powiedział — wzruszył plecami, że mało go to obchodzi. Spostrzegł jednak, że i on był świadom uwodzących spojrzeń i wtedy radosny nalot przechodził mu przez twarz, a więc nie były mu obojętne. Ten włóczęga miał w sobie delikatność poety. Kiedy wychodzili pańki znów uśmiechały się, na co Jan podniósł dłoń do szerokiej kryzy.

Przeszli na pustawy skwer i usiedli na ławce. Spoglądali na spacerujących i gawędzili ze sobą. Jan chciał zdobyć trochę pieniędzy. Następnego dnia zamierzał złożyć podanie do urzędu miejskiego o pozwolenie urządzenia kwesty i jednocześnie tu gdzieś przy skwerze rozłożyć swoją ceratę. Kiedyś próbował parzyć i sprzedawać herbatę, było to bardzo uciążliwe i niewiele dawało. Zamierzał zrobić sobie pocztówki z własnym zdjęciem i podpisem. Cerata z abstrakcyjnymi malunkami i dziękczynnymi, dowcipnymi

aforyzmami, była najprostsza. Miało się pod wieczór. Białe dzieci z czarnymi niańkami powędrowały do domów. Pokazywało się coraz więcej Afrykańczyków w ciemnych, wizytowych ubraniach, jaskrawych krawatach i lakierowanych butach. Kobiety w wbitych na siebie, mocno błyszczących sukienkach, chodziły jak nagie, lśniące złotem, zielenią, szkarłatem, barbarzyńskie królowe. Napatrzyli się i odeszli jak przyzwoici chłopcy.

Wielki plecak i mały chlebaczek stały na stacji benzynowej. Popatrzyli na swój dobytek i znów ruszyli w miasto.

Wybłąsnęły światła. Doszli do pobliskiej ulicy handlowej o domach z podsieniami i skręcili w nią. Pustawe sklepy, dużo oglądających wystawy. To nie kosztowało nic, a przez chwilę dawało dziecinną złudę szczęścia. Wstąpili do Amerykańskiego Ośrodka Informacyjnego. Usiedli w miękkich fotelikach. Mleczne oświetlenie, dywany. Na ścianach fotogramy z kraju, gdzie wszystko było „naj” i super. Prasa na regałach, w sztywnych okładkach z wytłaczanymi inicjałami ośrodka. Kilku Afrykańczyków w binoklach, doskonale ubranych, chłonęło świat zadziwiający ich wszystkim. Panienska przy stole czytała książkę, tym razem o swoim kraju, do którego pragnęła już wrócić. Kiedyś, w Nowym Jorku, wyobrażała to sobie jako misję: wpajanie nowej wiary, którą miała być kultura. Skończyło się na czytaniu książki wieczorami. Przekonała się, że jej

praca byłaby chyba bardziej owocna potrzebna w mieście,

303

które opuściła. Nowoczesne, luksusowe wyposażenie Ośrodka, to, co miało służyć ludziom, onieśmiewało bosego Murzyna. Nie umiał czytać, mógłby sobie jednak oglądać obrazki.

Rozsiedli się wygodnie i wodzili oczami po wnętrzu. Nie pragnęli wgłębiać się w świat, który opuścili, byłby to po prostu niepotrzebny balast. Najważniejsze dla nich były najprostrze potrzeby — jedzenia, spania, zdobycia trochę franków. Nasie-dziawszy się powstali i wyszli.

— Ale martwota — rzekł Jan.

Po przeciwnej stronie ulicy puste pola zaplanowane w kwadraty pod przyszłą urbanizację. Skręcili w lewo. Skończyły się domy. Przeszli na drugą stronę skąd zaczynało się ogromne rumowisko bud, szalásów z gdzieniegdzie pobłyskującymi światłami. Brnęli w głąb osiedla. Przechodzące kobiety wpadały w podniecający chichot na ich widok. Dopadały ich gromadki dzieci, ale Jan pozbywał się ich szybko. Przy ognisku kobieta krzątała się nad posiłkiem, inna syciła ogień. Wywijające się jęzory oświetlały siedzące wokół postacie. Jakiś chłopak uderzał patykami w skrzynkę, inni dygali, gardłowo akcentując rytm. Siedzący włączali się chwilami nikłym zaśpiewem bez słów. Zatrzymali się niedaleko

nich, nasłuchując. Od ognia dobiegł ich chrapliwy głos, ale Jan nie odpowiedział.

– Czego oni chcą? — spytał go.

– Zapraszają nas do siebie — odpowiedział i ruszył dalej.

304

Szli wśród mijających, przyglądających się im, cieni. Dobiegł ściszony głos bębna, potem gitary. Natknęli się na gromadę ludzi obiegających dużą szopę, skąd dochodziła muzyka. Powitano ich okrzykiem zdziwienia i gościnnie schodzano z drogi. Przeszli szerokie wejście bez drzwi. Pod ścianą ludzie stłoczeni na ławach. Muzykanci w głębi z prawej strony. Wysoko nad klepiskiem zawieszona naftówka, druga w końcu szopy. Przeszli puste klepisko do długich stołów i ław, zbitych z obrzynków, tarcic, obsiadłe posilającymi się. Na jednej ławie ścieśniono się i zrobiono im miejsce. Zasiedli w przyjaznej ciżbie. Ciasnota ludzka, ciągłe ocieranie się ciał, nie miały sztywności i wrogości białych, podniecały i stwarzały wspólną radość.

– Przyjemny barek—wymówił.

– Mnie też się podoba — przywodził Jan — samoobsługowy. Zjemy co?

– Ja nie. Jeszcze mam w sobie statkowe jadło.

– Doskonałe.

– Niezłe.

Jan powstał, przecisnął się do pierwszego stołu bufetu, wrócił po chwili z czubatym talerzem, przyniósł jeszcze dwie herbaty i zabrał się do jedzenia. Fasola z kawałkami mięsa w ostrym sosie jątrzyła powonienie, Jan chwalił sobie i jadł z apetytem.

Odezwały się gitary, włączyły bębny, cicho, szemrząco, rytmicznie. Przejęły prowadzenie, narzucały orgiastyczny rytm. Czasami wybuchwały niepokojąco, skręcały ciałami w znaczącym ruchu. Obszerne klepisko

305

zapełniło się półnagimi ciałami, w skąpych przepaskach, przydeptujące, charczące. Biodra kobiet kręciły z ukosa nacierające koła, ósemki, wpadały w zuchwałę rozkołysanie, w zapamiętanie. Inni przyglądali się i klaskali w rytm brzuchów, kończyły drzeniem pleców i odchodziły nieprzytomne. Taniec opanował wszystkich. Tańczyli starcy, dzieci, nawet garbus. Rozgrzani do czerwoności, opanowani tańcem jak modlitwą. Głośne, rytmiczne przydechy, czasami jęk. Nikt nie mógł oprzeć się, dygały i tłuste kobiety za bufetem i te wybiegające z kuchni. Tylko oni siedzieli uparci jak muły. Nie dali się wyciągnąć szarpiącym ich dziewczynom.

– Ale tańczą — wymówił w zdziwieniu.

– To naprawdę potrafią — dopowiedział Jan. Tańczyli

z oddaniem, jak gdyby nie mieli nic więcej, jak by w tańcu zawierało się całe ich życie. Pragnienia, pożądania. Tańczył garbus z wysoką, krzepką kobietą, starzec z wiotką, młodą dziewczyną, dorodne pary rówieśników. Jedność radości. Zmęczeni muzykanci wyciszyli swoje instrumenty, by przerwać, wtedy tańczący popędzali ich, aż i sami zaczęli odpadać pojedynczo, parami. Muzyka załamała się i ścichła. Zapełniły się ławy, siadali na klepisku, niektórzy wychodzili, spoceni, zmęczeni, uradowani.

Obsiadły ich dziewczyny, częstowali je papierosami. Bujnie dojrzała, ocierała się o Jana gołymi piersiami, co podobało mu się bardzo. Na niego cisnęła się dziewczyna ledwo wyrosła z dziecięcości, czarna

306

aż niebieska, o małej główce łasicy. W pewnej chwili poczuł jej dłoń na kolanie i wędrującą dalej. Otwartą dłonią chlasnął ją po ręce. Syknęła z bólu, potem uśmiechnęła się łagodnie. Jan zaczął mocować się pod stołem z ręką dziewczyny. Pomógł sobie drugą ręką i ledwo dał radę.

— To szatany, bardzo lubią taką zabawę — wymówił.

— Jak w Paryżu — przywtórzył mu.

— Och, tu gwałtem, nie można uwolnić się jak od suki.

Jan przekomarzał się i strofował je. Zaśmiewali się.

Przypomniało im się, że muszą gdzieś spać.

Dziewczyny przyjęły to chętnie i chciały od nich po

tysiąc franków, na co Jan aż gwizdnął.

– A bez rozkoszy ile? — pytał.

Nie chciały o tym nawet słyszeć, jakby to było niemożliwe. Opuściły do połowy, ale i to wydano im się za wiele. By umknąć ponownego ataku ich chwytnych dłoni, wyszli.

Jeszcze po drodze próbowały zagarnąć ich dziewczyny, ale nie dały się. Wyszli z murzyńskiego przedmieścia bud, szałasów. Weszli w oświetloną ulicę, gdzieś pod podcieniami spali krajowcy. Zupełna pustka, tylko w lampy uliczne biły ćmy.

Na stacji benzynowej przykładowie stały obok siebie, wielki plecak i mały chlebaczek. Obok na stopniu drzemał krajowiec w firmowym kombinezonie obsługi. Na szelest kroków czujnie otworzył oczy i już nie zamykał. Był tu nawet prysznic, ale zepsuty.

307

Skorzystali z umywalki z mydłem, umył sobie ręce, twarz i stopy. Ogarnawszy się, znalazł Jana w śpiworze za stacją na murawie tuż za zadaszeniem. Legł obok niego.

– Myślę, że nie będzie deszczu — odezwał się.

– Nie ma obawy. Jeśli będzie to pójdziemy pod dach — odpowiedział Jan na dobranoc.

Leżał na wznak w swoim skąpym przyodziewku khaki, tylko zostawił sandały przy chlebaku i o jedną

dziurkę rozluźnił pasek od spodni. Rozciągnął się swobodnie na miękkiej murawie, otuliła go poranna noc. Jeśli Jan spał w śpiworze to tylko z przyzwyczajenia, z nawyku ciała do okrycia, podobnie jak Arabowie nakrywają tylko głowę, by spotęgować noc, schować się przed światem. Śpiwor niejednokrotnie chronił go przed komarami, ale tu zapach benzyny stanowił dla nich zaporę. Okryty niebem z gwiazdami czuł się lepiej, niż u Ibów w Lagos na pryczy. Ziemia jak łoże. Popatrzył na migocące gwiazdy. Widok gwiazd zawsze skłaniał go do myślenia. Po wzlotach opadał na padół ziemski, czuł brutalny ucisk, niemożność oderwania się od niego. Nie miał żadnego dokumentu, którym mógłby wylegitymować się, że przebywa w tym kraju legalnie, a więc mogą potraktować go jako przestępcę. To właśnie jutro powinien załatwić. Najprościej będzie pójść do Urzędu Imigracyjnego i wszystko wyłuszczyć. Ten Urząd wydawał mu się jednak za okrutny, bezwzględny. W tym kraju było ministerstwo turystyki, mógłby się tam zwrócić. Mieściło się w

308

stolicy Jaunde, około trzysta kilometrów stąd. Tu w Duali wychodziła codzienna gazeta w języku francuskim. A prasa często odważnie broniła ludzi niewinnie i na zimno miażdżonych w młynach biurokracji. Jutro musi iść do redakcji, opowiedzieć o swoim zamierzeniu, o zupełnie nieuzasadnionym zabraniu mu paszportu z wizą kameruńską. Chce

odbyć swoją podróż i jako pisarz napisać książkę o poznawanych krajach i ludziach. Będzie prosił w redakcji, żeby mu w tym pomogli. Sprawa była prosta i głęboko ludzka. Na pewno zechcą mu pomóc. Wtedy wszystko byłoby łatwe. Wystarczy, aby Biuro Imigracyjne skontaktowało się z Ambasadą Kamerunu w Lagos, która wyjawia, że wydawała wizę tranzytową do paszportu na jego nazwisko. Miał legitymację Związku Literatów Polskich z fotografią, bilet statkowy na drogę powrotną z licznymi stemplami. Na podstawie tych dokumentów i informacji, mogliby mu wydać miejscowy, zastępczy dokument, pozwalający mu odbyć swoją podróż. Wszystko wydawało mu się jasne i proste. Wierzył w dobroć ludzką i jasność ich myśli. Popatrzył na gwiazdy i zasypiał z uśmiechem. Nocą przebudził się, doszedł go cichy poszum motoru, tankowania benzyny, znów motoru i cisza, żadnych głosów, hałasów, aż dziw, że to miasto. Odwrócił się na drugi bok, przedramię położył pod głowę i znów objął go sen.

Rano wygrzewali się jak koty. Zadaszenie rzucało na nich cień i chroniło przed spiekotą. Usłyszał szmer, otworzył oczy. Jan wyskoczył ze śpiwora

309

i wziął się do mycia pod kranem wystającym ze ściany, służącym do polewania trawnika. Potem on, tylko splukał twarz po wczorajszym myciu i zapiął sandały. Ich sypialnia na tyłach stacji benzynowej, była dobrze schowana przed ludźmi i bardzo

wygodna.

Ruszyli żwawo w stronę Placu le Clerka, nie spotykając ani jednej białej twarzy. Jan kupił od starej Murzynki z kupy bananów leżącej na chodniku, sporą kiść, przerwał ją i podał mu połowę. Szli i pojadali, było to śniadanie. Przy placu pojawiło się kilku białych. Jan pokazał mu redakcję gazety i parł dalej ze złożoną ceratą pod pachą. Spoglądał za nim aż zniknął mu w fasadowym domu Zarządu Miasta.

Postał jeszcze chwilę. W redakcji miał załatwić bardzo ważne sprawy, nie wahał się ale skupiał. Budynek redakcyjny prezentował się więcej, niż skromnie. Skierował się przez frontowe drzwi w wąski korytarz. Zapukał i wszedł do pierwszego pokoju. Była to klatka z dwoma pracownikami przy maleńkich stolikach i dziewczyną przy maszynie do pisania. Pozdrowił ich po angielsku i w tymże języku zapytał o redaktora naczelnego. Jeden z młodzieńców zaprowadził go do innej klatki, która może była sekretariatem. Stąd elegancka sekretarka zaprowadziła go do starszego, szronkowatego pana. Uścisnęli sobie dłonie. Próbował porozumieć się po angielsku, starszy pan odpowiadał po francusku. Obaj wzruszali ramionami i uśmiechali się grzecznościowo. Potem naczelny wyszedł i wrócił z młodzieńcem,

310

który po angielsku umiał tylko tyle, aby powiedzieć mu, że jest tu jeden, który doskonale mówi po

angielsku, teraz go nie ma, ale będzie między godziną trzecią a czwartą po południu, niech i on przyjdzie wtedy. Powiedział, że przyjdzie na pewno. Podziękował i rozstali się w pokłonach.

Kiedy wyszedł z redakcji stracił sporo nadziei, ale nie dawał za wygraną. Zobaczył pod ratuszem zbiegowisko krajowców i górującego nad nimi Jana w stetsonie. Oczywiście, rozłożył ceratę i rozpoczął kwestę. Zeby go nie peszyć skierował się w przeciwną stronę, do portu.

Był ciągle pod wrażeniem redakcji. Nie był to organ w poszanowaniu, jeśli wydzielono mu takie ubożuchne pomieszczenie. To dziennikarze stwarzają jednak redakcję, przy takim lekceważeniu przez górę społeczną, winni być tym bardziej zespołem wojującym, ciętym jak osy. Wydawali mu się raczej nijacy, bez osobowości. Celowo byli takim wytworem, by panujący biali mogli nimi łatwo powodować. Nie było to dla jego planów wesołe. Czy znajdzie się wśród nich ktoś odważny? W imię szeroko pojętego humanizmu? Wątpił w to. I ta niemożność porozumienia się. Śmieszna, a dla niego wprost tragiczna. Po południu, gdy porozumie się z nimi, wszystko może się odmienić. Ten ich bezwład, spuścizna ucisku. Czy uda mu się wykrzesać z nich ducha? Jeśli nie, to będzie z nim źle. Co wtedy robić, żeby nie wpaść w łapy oficerów imigracyjnych? Żałował, że nie było tu Ambasady Polskiej, może tu urzędnicy

byliby świątlejsi, pocieszał się po smutnym doświadczeniu. Zapraǳnął obejrzeć książkę telefoniczną. Poprosił o nią w najbliższym sklepie z telefonem, szybko podał mu ją krajowiec. Pod hasłem: ambasady była spora litania różnych państw, ale wszystkie rezydowały w stolicy w Jaunde.

— — —

— Od Atlantyku do Indyjskiego to brzmi ładnie. Ale przejść to trud niemały.

— Myślę raczej o jeździe autostopem. W poprzek Afryki idą trakty i w porze suchej jeżdżą po nich samochody. Czasy heroiczne Stanleya i Livingstona minęły. Zresztą Stanley szedł w kilkadziesiąt strzelb i był raczej dobrym rzeźnikiem. Livingston miał liczny, pokojowy poczet jak udzielny władca i przyjmowano go gościnnie. Teraz jest bezpiecznie, samochodami, dlatego chcę iść w pojedynkę.

— A dlaczego w twojej ambasadzie odebrano ci paszport?

— Powiedzieli, że czynią to dla mojego dobra, że zamiar mój jest trochę wariacki, że Murzyni utną mi głowę.

— I zjedzą ciebie — dopowiedział.

— I zjedzą — tak powiedzieli — przywtórzył.

– A ty uparłeś się i chcesz być zjedzony.

– To bzdura — wymówił dobitnie. Zresztą urzędnicy nie zrobili tego z miłości. Jestem krańcowo różny, jestem zaprzeczeniem ich i to najbardziej ich gniewało. Oni boją się komarów, wody, słońca, Murzynów

312

A już ogarniała ich szewska pasja, że wybieram się bez pieniędzy.

– Z ich powodu możesz mieć dużo nieprzyjemności, kiedy wrócisz do swego kraju — upominał konsul.

– Żadnych nieprzyjemności, w moim kraju są rozsądni i mądrzy ludzie — odpowiedział zdecydowanie.

– Publikowałeś dwie książki, o czym one są?

– O wojnie, przygodach wojennych.

– A teraz chciałbyś o Afryce.

– Przede wszystkim podróż, byłaby inna od wszystkich innych, według wskazań de Brazzy: „Idźcie do nich bez broni, pożywiajcie się z nimi i śpijcie, i pamiętajcie zawsze jesteście tylko intruzami”. Żyłbym z łaski tutejszych ludzi, więc moja książka byłaby zupełnie inna od wszystkich książek o Afryce. Jestem pewny, że im dalej od wielkich miast białych ludzi, tym ludzie są lepsi. O nich właśnie chcę pisać, biali znają ich powierzchownie, według stereotypów, współżyją z

nimi stosując siłę wmówili sobie, że we wszystkim są górą i lepsi. Co za widoki ogromnych krajobrazów, budzące zachwyt i chęć kontemplacji. Wielkie drzewa, puszcza, zwierzęta, może jeszcze i to pokolenie, i ta cywilizacja, zniszczy to wszystko. To byłaby moja książka! — wybuchnął.

— — —
By ochłonać skierował się do portu, miejsca najbliższego w tej obczyźnie. No i statki. Przeważnie

313

małe, najwięcej „francuzów”, między nimi musiał być „grek” i „norweg”. Krany przerzucały wiadra, garnki w wielkich pęczkach, skrzynie drewniane, błyszczące sztaby aluminium. Cały port spowity w odurzającym zapachu kakao i kawy. Zawrócił do miasta. Przysiadł się na skarpie w cieniu drzew, z widokiem na port, morze. Tuż za plecami miał miasto. Cień, chłodny przewiew pod drzewami idący z morza, dawał wspaniałe wytchnienie, mimo popołudniowego upału. Spoglądał na port jak na mapę plastyczną, za nim ciągnęły się mokradła porośnięte dżunglą. Był tak przejęty oczekiwaniem, że nie chciało mu się jeść, w ogóle nie myślał o jedzeniu. Poderwał się pół godziny przed piętnastą. Plac le Clerka leżał na najwyższym wzniesieniu w mieście. Łatwo trafił na skróty.

Wszedł w skupieniu do skromniutkiej redakcji. Zaraz po pierwszym pomieszczeniu posadzono go na

krześle. Chłopiec, który umiał kilkadziesiąt słów .po angielsku, powiedział, że trzeba czekać. Pokoik był bardzo maleńki, ledwie starczało miejsca dla dwóch pracowników i maszynistki, teraz z nim był to już ścisk. Mimo ciasnoty wszyscy mieli zadowolone i przejęte miny. Pod koniec został tylko młodzian, jego opiekun. Układał papiery, czasami spoglądał na niego i uspokajał najprostszymi słowami. Ale kiedy minęła szesnasta z takim samym spokojem oświadczył, że już nie przyjdzie dziennikarz znający język angielski. Niech przyjdzie jutro to zastanie go na pewno.

314

Już na ulicy zdał sobie sprawę, że tego rozmówcę mógłby spotkać jedynie przez szczęśliwy przypadek. Był nieuchwytny ale istniał w słowach krajowców. Słowa ich jednak niewiele oznaczały. Jeśli zaraz za nimi nie szło działanie, ulatniały się zupełnie. Pojęcia czasu i prawdy miały tu inne wymiary.

Do stacji benzynowej szedł w radosnym podnieceniu, że nareszcie ruszy, rozpocznie swoją podróż. Ich pakunki stały na froncie. Jana nie było.

Jego myśli zajęte były już drogą. Nie mając paszportu z wizą wiedział, że każde zetknięcie się z przedstawicielami władzy było niebezpieczne. Oby tylko dobrnąć do Jaunde. Zrozumiał z całą jasnością, że powinien mieć franki kameruńskie, by nie komplikować kupna biletu kolejowego, żeby odbyło się to gładko. Trzeba zmienić funty nigeryjskie, które

dostał za reportaż w Lagos.

Popędził do restauracji niedaleko, po drugiej stronie tej samej ulicy. Przy wystawionych na zewnątrz stolikach, zupełna pustka. Wewnątrz kilku gości. Za kontuarem dama w średnim wieku, piersiasta, ubrana bogato, wyzywająca.

– Mam funty nigeryjskie, chciałbym je wymienić na kameruńskie franki — powiedział po angielsku.

Nie zwracając żadnej uwagi na elegancika podchodzącego do bufetu, spytała z chrypką w głosie:

– Ile ich masz?

– Pięć funtów.

Zzymnęła się, że to nie skarb i powiedziała cenę.

315

Podał jej funty. Wziął plik franków i wsadził do kieszeni. Kiedy już odchodził odszedł do niego elegancik i szepnął:

– Ja dałbym ci więcej.

– Trzeba było powiedzieć wcześniej.

– Tak nie można. Nie wchodzimy sobie w paradę. Masz jeszcze do wymiany?

Zaprzeczył ruchem głowy i odszedł.

Był już wieczór. Na pustych ulicach paliły się lampy.

Na stacji benzynowej drzemiący krajowiec w firmowym kombinezonie odchylił powiekę i przymknął. Zdawałoby się, że śpi w najlepsze a czujniejszy od żurawia. Usiadł na stopniu przy swoim bagażu. Może przyjdzie Jan, przeklęty, skazany na włóczęgostwo, jedyny, bliski mu człowiek w tym morzu obcości. Narzucały mu się — stetson noszony z dziecinną wyniosłością oraz zagubienie i uśmiech rezygnacji świętego. Świetnie by się nadawał na wędrującego z Biblią sekciarza. Nie zdobyłby się jednak nigdy na odprawianie mszy, prowadzenie modłów, spowiedzi...

Powstał, popatrzył daleko czy nie nadchodzi. Zarzucił chlebak na ramię. Oby mu się dobrze wiodło — pożegnał się z nim myślą — i ruszył z przekonaniem, że nigdy go już więcej nie zobaczy. Odchodząc podziękował tubylcowi w firmowym kombinezonie za opiekę nad jego dobytkiem i wchłonęła go noc.

Coraz mniej światła. Kierował się w dół. Szopa stacyjna w zupełnych ciemnościach. Skąpa żarówka nad

316

okienkiem orientowała, że to kasa biletowa. Stanął w kolejce: jedyna blada twarz. Stojący przed nim wojskowy oficer, tuż przed okienkiem, ustąpił mu pierwszeństwa. Przyjął to, żeby nie wdawać się w przekomarzania grzecznościowe. Podziękował i spytał kasjera o cenę biletu drugiej klasy do Jaunda. Podał

pieniądze, wziął małą resztę. Z biletem w kieszeni odszedł na drugą stronę szopy, gdzie były szyny wąskotorówki. Minął mały tłumek w oczekiwaniu i zatrzymał się na osobności. Tu nie było żadnego światła: zadowolony, że nie będzie rzucał się w oczy. Po chwili zjawił się krajowiec, z fotelem, postawił tuż przy nim, ruchem ręki i dźwięczną francuszczyzną zapraszał gościnnie. Usiadł i podziękował. Krajowiec w sandałach i okazałej czapce, pewno zawiadowca stacji, stanął tuż przy nim i nie myślał odchodzić. Niebo w chmurach błysnęło jak przed burzą.

— To tylko tak — nie będzie deszczu — odezwał się zawiadowca płynną angielszczyzną.

Nie odpowiadał. Nie chciał dać się wciągnąć w rozmowę. Niepotrzebnie zdradził się angielskim, jakby chciał wyzyskać okazję, by wygadać się, pochwalić w tym języku. Mówił o pogodzie, o kolei, bawił go rozmową. A on siedział jak mruk i tylko słuchał, ale to zupełnie odpowiadało zawiadowcy. Niezmordowany w swej wymowie zapytał w końcu:

— Dokąd jedziesz?

— Do Jaunde — i zaraz dodał — w ważnej, urzędowej sprawie — ze znaczącym brzmieniem głosu.

317

Teraz mógłby usłyszeć pytanie — w jakiej sprawie — wtedy z ironią powiedziała by to, co pomyślał. Zawiadowca nie zapytał jednak. Wyczuł, domyślił się

i powstrzymał swoje gadulstwo, ciągle jednak stał przy nim opiekuńczo.

Wtoczył się pociąg, w przedziałach światełka. Robił wrażenie rześście oświetlonego. Mała lokomotywa pędzona dieslem i cztery wagoniki.

— Ten wagon przy lokomotywie to pierwsza klasa — powiedział zawiadowca.

Podziękował mu. Ten sprężył się, wtedy uścisnął mu dłoń i odszedł.

Skierował się do wagonu tuż za pierwszą klasą.. Wewnątrz wcale nie było brudno, tyle że farba wytarta zupełnie. Podłoga czysta, krajowcy chodzili boso i o stopy dbali bardziej niż my o buty. Położył chlebak na półce i usiadł przy oknie w pustym przedziale, twarzą w stronę jazdy. Przechodzący korytarzem krajowcy zaglądali i szli dalej zostawiając go samego.

W końcu pociąg ruszył z trzaskiem i dzwonieniem. Opuścił szybę w oknie. Na zewnątrz gorąco, smolista noc, ledwo widoczne chaszczki, palmy, drzewa. Zobaczył kilka szałasów wioseczki, owite skołtunionym gąszczem. Pociąg zatrzymał się, ani śladu ludzkiego zamieszkania. Wyłoniła się ludzka gromadka i wsiadła w pośpiechu. Wesoły gwizd i znów dzwonienie żelastwa. Nowi pasażerowie także mijali jego przedział. Był z tego rad, nie musiał bronić się przed jakimś rozmownikiem. Jeszcze ze dwa przystanki, na

których wsiadło kilkoro ludzi. Potem, na następnym, z gąszczy runęła na pociąg nawałnica. Charczenie mężczyzn, piski kobiet. Korytarzem przewalała się w galopie, zawróciła, o dziwo, nikt nie wchodził do jego przedziału. Cóż to mogło być — respekt przed bladą twarzą, kolonijny wychów?

Do przedziału wetknął głowę stary Murzyn i powiedział coś, pewnie pytał się czy można usiąść. Za nim stała kobieta z dzieckiem na ręku. Niech lepiej wejdzie rodzina niż inni. Wskazał ręką pustą ławę po przeciwnej stronie i zawołał:

– Silwuple — jedno z kilku francuskich słów, które umiał.

Weszli w podziękowaniach, pełni pokory. Widocznie nigdzie nie mogli znaleźć wolnego miejsca. Troska o dziecko i matkę tchnęła w starego odwagę. Matka położyła swoje dzieciątko na ławie pod oknem na białej szmatce. Czarnusieńkie jak smoła, żywa, śliczna zabawka. Rodzice uśmiechali się z tkliwą radością, chłopaczek zawzięcie machał odnóżami, jakby zrywał się do biegu. Matka poprawiła swoje odzienie, starannie udrapowała się w spory kawałek kretonu. Z dbałością wzięła dziecko na ręce. Usiadła i podała mu dużą, ciężko nabrzmiałą mlekiem pierś o przedziwnym kształcie gruszy. Chłopaczek cmokał z ukontentowaniem. Oczy matki uległe, powolne, o wyrazie cielicy, przymrużone jak przy syceniu

rozkoszą. Nos płaski, wargi grube, wywinięte; duża, masywna o jedwabistej, błyszczącej skórze. Może z rówieśników nikt jej nie chciał i tak dostała się staremu

319

A może trzeba było mieć siwą głowę jak jej mąż, by ocenić jej urodę, którą było zdrowie, krzepkość i witalność. Dla niego, o twarzy porytej życiem, bruzdami, była prawdziwym Skarbem. Cicho mówili coś do siebie w swoim narzeczu. Stary pogrzebał w torbie plecionej z łyka i podał matce szmatki, czyste i schludnie złożone. Jedną rozłożył na ławie jak obrus, wyłożył spory placek i kilka dużych mango. Stary zwrócił się do niego w swoim narzeczu, widocznie nie umiał po francusku, potem gestem obu rąk zapraszał do jedzenia. Wziął mango i podziękował ruchem głowy. I tak wszyscy wzięli się do jadła. Chłopaczek sennie przymykał oczki, ale cmokał jeszcze, matka żuła powoli, jak cielica a stary jadł i uśmiechał się, że wszystko tak dobrze się składa.

W korytarzu panował ciągły ruch. Ludzie przepychali się, chodzili w tę i z powrotem w poszukiwaniu wolnego miejsca. Przez szybę spoglądali do przedziału i mimo, że były tu jeszcze wolne miejsca, szli dalej. Pojawiła się elegancka para, zatrzymała się i spoglądała do wnętrza. Młodzieniec wsunął głowę i spytał po francusku. Rodzina nie reagowała więc on skinął głową, że można usiąść. Weszli szybko i zasunęli drzwi. Zajęli miejsce tuż przy nim. Siedzieli

w milczeniu. Młodzian wyjął papierosy i częstował go pierwszego. Odmówił ruchem głowy. Papieros zobowiązuje towarzysko co mogło być dla niego szkoda. Młodzian pominął starego i jego żonę, co zdawało się być normalne. Zapalili z towarzyszącą mu

320

młodziutką damą, obutą w szpilki i ubraną w mini-spódnice i mini-bluzkę. Miała kozie nogi i sterczące piersi, dziwnie duże przy swojej szczupłości.

Wyprostowane włosy, jasnoszkarłatne wymalowane wargi. Miała małą głowę i twarz łasicy. Młodzian zdjął marynarkę, był w śnieżnej koszuli, jaskrawym krawacie, w ciemnych, zaprasowanych spodniach i kolorowych butach. Pałac rozmawiali między sobą po francusku, dość głośno, czasami zwracali się do niego, wtedy uśmiechał się nikle i tężał. Nie rozumiał nic, ale oni to brali za wyniosłość, co zupełnie mu odpowiadało w tej sytuacji. Gdyby przeproszał po angielsku mógłby wpaść, bo i oni mogli znać ten język. Chłopskiej rodziny nie zauważali, jakby mieli ich za dzikich. Rozmawiali w ciągłych uśmiechach i flirtowali. On czarny Francuz, ona kameruńska karioka. Zdawało się, że sobie bliscy, z rodziną siedzącą naprzeciw byli krańcowo różni i wzajemnie obcy.

Z korytarza dochodził potęgujący się hałas. Nastąpiło poruszenie, wszyscy zaczęli szukać aż w dłoniach pojawiły się bilety kolejowe. Z trzaskiem odsunęły się drzwi, ukazało się wielkie chłopisko z dziurkaczem w

podniesionej dłoni jak symbolem władzy, posługiwał się nim ceremonialnie, uroczyście. W drzwiach rozparł się żandarm pijany jak bela, z wielkim pistoletem na brzuchu. Przekrwionymi oczami toczył wrogo po wszystkich. Odetchnął z ulgą, żandarm za bardzo „zmęczony”, by trudzić się legitymowaniem a może był tylko dla asysty biletera. Ten ostatni uporał się z dziurkowaniem i poszli sobie

321

Poczuł się swobodniejszy. Kiedy w drugim przedziale wybuchł hałas, wyszedł na korytarz. Tam widocznie nikt nie miał biletu, żandarm inkasował pieniądze i chował w przepastną kieszeń spodni, a bileter machał dziurkaczem nad głową i śmiał się zdrowo. Wrócił na swoje miejsce pod oknem. Znów częstowano go papierosami, tym razem czyniła to kokieteryjnie karioka, jakby chciała przełamać jego rezerwę, ale i jej się to nie udało. Palili dużo w potoku słów uczonej i kulturalnej konwersacji, jak im się zdawało.

Siedząca naprzeciw cichutka rodzina przyglądała im się w niepojętym zdziwieniu. Matka szepnęła prawie niedosłyszalnie. Stary zakrzętnął się, wyjął z torby gliniany dzbanek o wąskiej szyjce zaszpunowanej drewnianym kołkiem. Odkorkował i podał matce, ta piła powoli jak cielica, odczekała chwilę i oddała dzban. Stary schował go szybko, trochę wstydliwie. Wyjął z torby wielki orzech kokosowy. Póbował rozłupać go nożem potem daremnie uderzał o ławę. Elegancik usiłował obcasami butów, też da-remno.

Wtedy włączył się i on z pomocą sąsiedzką. Ujął orzech w prawą dłoń i z rozmachem uderzył nim o podłogę. Orzech rozleciał się ku radości wszystkich. Stary pomógł mu pozbierać skorupy na białą szmatkę na ławie i zapraszał wszystkich do jedzenia.

Elegancka para jakby nie słyszała tego, ale kiedy on wziął kawałek skorupy zaraz po nim wzięła karioka i jej partner. Zabrał się do wyjadania białego miąższu, słodkiego i tłustego. Stary patrzył na jedzących i gęba śmiała mu się z radości. To picie

322

w dzbanku było widocznie tylko dla matki, więc zaraz wyjął orzech. Sfrancuziali pobratymcy nie częstowali go papierosami, jakby nie zauważył tego i sam częstował ich orzechem. Mały Murzynek spał pod oknem, przymykały się oczy i matce. Stary czuwał, spoglądał na syna.

Pokazało się dużo świateł. Domy wyrastały z dżungli. Most, czarna rzeka, wagony załadowane srebrzystymi sztabami aluminium. Edea, Edea — podniosły się głosy. Pociąg stanął. Za oknami straszny tumult, gromadna bijatyka, zawzięta, okrutna. Wesoły gwizd i odjazd.

Były tu raczej przystanki a nie stacje; mogły pokazać się również słonie. Od czasu wyjazdu ciągle jednolita dżungla, czarna, pochłonięta przez noc, Wtopił się w nią szumiący pociąg i lokomotywka dudniąca jak tam-tam. Ludzi ogarnęła śpiączka. Chłopaczek cmokał

przez sen, pewno śniła mu się duża, pełna mleka pierś. Matka drzemiąc zastawiła ręką brzeg ławy, by nie zleciał jej skarb. Stary Murzyn często budził się powstrzymując chrapanie i natychmiast zasypiał. Para elegantów ciągle trwała w rozmowie.

Wtulony wygodnie w sam róg pod oknem, daremnie przymykał oczy, aby zasnąć. Poprzedniej nocy zdrzemnął się trochę przy stacji benzynowej, teraz też pragnął nabrać sił przed trudami ważnego dnia. Często otwierał oczy, czuwał, żeby nie stracić czegoś nadzwyczajnego. Może pokaże się polana z cieniami

323

stada słoni? Wielkie ognie z tańczącymi, krajowcami?... Dziewczyna widocznie miała dość konwersacji, wstała i podeszła do okna. Podniosła rękę, zaplotła palce na tyle głowy i oddychała głęboko. Za nią poderwał się chłopiec, stanął z drugiej strony przy jej boku. Przyciśnięci do siebie trwali nieruchomo.

Otworzył oczy, by nie stracić oczekiwanego widoku stada słoni... Łapczywie rozczapierzona dłoń zanurzona w skąpej bluzeczce obejmowała nagą pierś, ugniatała ją, głaskała, palce szukały sutki. Dziewczyna skrzyła głowę i spotkali się oczami. Nie uciekała z nimi, odchyliła się od okna. Stchórzył i zamknął oczy. Kiedy otworzył je po chwili, wiotkie plecy prężyły się, przebiegały po nim skurcze i drzenie. Teraz już nie otwierał oczu, okno i tak było

przesłonięte, zatarasowane. Sen jednak nie przychodził. Uczuł koło siebie delikatnie siadającą dziewczynę. Okno znów było Wolne. Pociąg szumiał czarną, zbitą dżunglą. Wypatrywał niezwykłych widoków, ale nie pojawiały się. Coraz bardziej odczuwał ciężar bezwładnie osuwającej się na niego dziewczyny. Chwilami zapadała w sen i wtedy całym ciałem spoczywała na nim, budziła się, prostowała, by znów opaść. Nawet otworzyła oczy i przepraszała. Wskazał jej, żeby oparła się o niego. Dziewczyna skwapliwie z tego skorzystała i zapadła w sen. Musiało jej być wygodnie, spała jak dzieciątko z naprzeciwką. Znów pilnował za oknem widoków. Czasami spoglądał

324

na śpiącą. Twarz, włosy smoliste aż ciemno-błękitne w odcieniu. Kiedy spała na wznak miała otwarte usta, wewnątrz czerwone, z lśniąca bielą zębów i ostro sterczące piersi. Budziła się i poprawiała, spoglądała na niego z migotliwym uśmiechem, jaki miała stojąc przy oknie. Za oknami po obu stronach płynąca dżungla i przy nim drzemiąca dziewczyna jak duża łasica. Czasami w wyrwie dżungli kilka domków-szałasów. Raz dostrzegł nawet pojedynczy, samotny, z bananowym półkiem. Zupełne współistnienie ze światem zwierzęcym. Pociąg jakby piał się w górę, z zachodzącymi na siebie pagórami, pokazały się nawet wypryski skał, jak gdyby góry. Ogromne trawy przesłaniały okno. Nastawa chłód. Niebo jaśniało aż

wyszło słońce. Zieleń gąszczy ciężka od rosy, skąpana w niej jak w deszczu. Pociąg przebijał się w rozpryskach wody wśród traw. Daleko na horyzoncie ściana wielkich drzew; w pobliżu toru zginęły pod siekierami. Z dolin wznosiły się opary jak dym. Przystanki z szopkami, budami, gromadki krajowców. Obrazki jak nie z tego wieku.

Najsamprzód przebudziła się rodzina, krzątająca się pracowicie. Potem elegant. Spoglądał na swoją kariokę i zaraz zapalił papierosa. Przebudziła się dziewczyna jakby zdziwiona własnym snem. Poprawiała sobie przyodziewek, włosy. Zaszcebiotała do swojego towarzysza, ale ten odpowiadał powściągliwie, z rezerwą. Jakby wypominał jej; że spała na ramieniu innego.

Bawiło go to. Chłopak jednak nie dawał się udobruchać

325

Kiedy pokazała się prawdziwa stacja w Jaunde, z pociągu schodził sam, okrutnie karał dziewczynę. Ta spoglądała na białego intymnie jak po razem przespanej nocy, ale on przejęty był zupełnie swoimi chimerami. Ludzie rozeszli się z peronu. Pasażerowie pierwszej klasy, przeważnie biali; czekali już na nich Murzyni zabierając ich bagaże i prowadząc do samochodów. Ale stacja nie opustoszała. Samotni starsi, gromadki młodzieży. Przychodzili tu miejscowym zwyczajem, żeby popatrzeć na pociągi i

pasażerów, a później pobyc tu trochę.

Zszedł z peronu na ulicę, zatrzymał się i rozejrzał wokoło. Domy piętrowe o jasnym kremie tynków, w zabudowie wolnej, nie przylegające do siebie, ulice asfaltowe. Wszystko wyglądało jak nowe, jakby zbudowane po wojnie. Tłumek odziany z miejska. Krajowców z buszu w przepaskach ani śladu. Każdy, albo prawie każdy tutaj posługiwał się francuskim — językiem, którego on nie znał. Wybrał sobie krajowca i zastąpił mu drogę — zagadał.

Afrykańczyk zapuścił się w śpiewną francuszczyznę. Spostrzegł, że, jego słuchacz nie rozumie i wtedy włączył ręce.

Zrozumiał, że miał iść pod górę.

Podziękował mu i podążył we wskazanym kierunku. Płytkim łukiem ulica pięła się coraz wyżej. Szedł z dużym wysiłkiem. Gdy tylko zszedł z pociągu i stanął na nogach, uczył w sobie napór zmęczenia, senności i głodu.

326

— — —

Wybrał leciwego przechodnia, wyglądającego nobliwie. Nie wiedział i ten. Dolatywały ich czyjeś wykrzykiwania. Stateczny krajowiec odchodząc napomknął tak sobie:

– Te gmachy pod górą — w nich mieści się cały rząd.

To musiało być tam, przeniknęło go w jednej chwili. Kilkupiętrowe zabudowania stały o kilometr stąd, jakby w czworobok, przypominały fortyfikację. Skierował się tam noga za nogą. Potem każdy krok odmierzał napięciem całej woli, zdawało mu się, każdy już ostatni, i zwali się. Będzie wreszcie rozkosz wypoczynku i snu. Dobrnął pod gmachy. Wokoło żołnierskie warty w panterkach, z bagnetami na karabinach. Murzyni, ci najłagodniejsi z ludzi, z takim ekwipunkiem wyglądają strasznie, demonicznie. Przeszedł luką na przejeżdżające samochody. Nikt nie zatrzymywał go ani nie pytał. Na przestrzennym podwórzu odbywała się zmiana warty w sile co najmniej kompanii. Pod podsieniami chodzili i kucali żołnierze. Cywile na skróty przechodzili podwórko. To wszystko wyglądało trochę na oblężenie, spodziewany zamach stanu. Normalnie, po afrykańsku: rządzącym dodać otuchy, słuchającym strachu. Przepatrywał żołnierskie twarze i nie znajdował w nich nadziei na pomoc. Spostrzegł oficera. Skierował się do niego. Ten popędził bez słowa jako przewodnik. Wydało mu się to cudowne. Zapomniał o zmęczeniu

327

i pędził na piętro. Na korytarzach żołnierze. Oficer zapukał do drzwi, wszedł pierwszy, sprężył się, zasalutował i odszedł zostawiając go.

**Na tym urywa się maszynopis pozostawionej przez
Jana Papugę powieści „Papierowa dżungla”.**

Redaktor techniczny KRYSTYNA SURMACZ

Opracowanie graficzne ANDRZEJ TOMCZAK

Copyright by Krajowa Agencja Wydawnicza,
Szczecin 1982

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA

RSW „Książka—Prasa—Ruch” Szczecin

Nakład 20000+250+25 egz.

Ark. wyd. 12. Ark. druk. 10,25 Nr prod. 50/82

Druk: Szczecińskie Zakłady Graficzne

Zam. nr 860/11.10/82/I, P-5/33